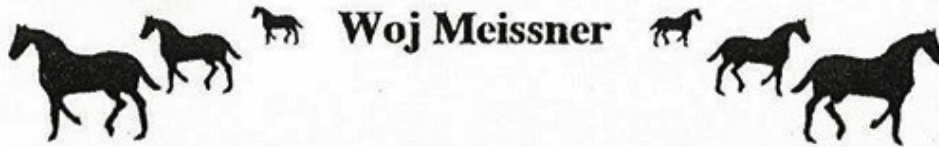


Wojciech Wietrzykowski - Meissner



Zapamiętane

Cykl wspomnień
1922 - 1998



Editio a fratruele Auctoris A.D. 1998 facta

Spis treści

Brzezie - moje Gniazdo

- Dzieciństwo
- Wozownia i konie
- Sąsiedzi
- Nauka wstępna
- Gimnazjum
- Początek wojny
- Okupacja

Żydzi

Wojna trwa

Bandyckie napady pseudopartyzantów

Czernichów

Pędzel do golenia (Jeleniów)

Pławowice

W ruchu oporu

Racot

Szczecin

Rodzina mojej żony Anny Świercz

Sopot

Pływackie ratownictwo

Proces Mazurkiewicza

Udział w powstaniu "Krzyżaków"

Wczasowiska w PRL

PAN i Goczałkowice

Hodowla jamników

Piłkarskie wspomnienia

Tomek w Anglii

Krakowski taksówkarz

W Danii

Notatki w prasie

Moje podróże po 1985 roku

- Kopenhaga
- Sztokholm
- Wiedeń
- Hamburg
- Paryż
- USA
- Tyrol
- Florencja
- Rodos

Nauka i wykształcenie w rodzinie

Konie w moim życiu

Sport w moim życiu

Palenie papierosów

Gdzie jest moja ojczyzna?

Wybrali wolność

Ofiary z mojej rodziny

Moja najbliższa rodzina

Indeks nazw własnych

Pierwszy raz ujrzałem świat w dniu 6 października 1922 r. (ojciec mylnie podał mój dzień narodzin 7 października) w miejscowości Brzezie położonej 10 km na północ od pasma Gór Świętokrzyskich i ok. 10 km na południe od Starachowic.

Nasza najbliższa okolica ograniczała się do kilkunastu km² mniej więcej w trójkącie Bodzentyn - Nowa Słupia - Starachowice. Leżały tu mniejsze i większe posiadłości ziemskie należące do prywatnych właścicieli. Koło Bodzentyna w Sieradowicach wzorową gospodarkę prowadził pan Wojciech Gumowski, o parę kilometrów na wschód leżał Tarczek pana Mieczysława Rafalskiego, a 3 km dalej było Brzezie należące do mego dziadka, a potem do mego ojca Wacława Wietrzykowskiego. Największą posiadłość, Łomno, z pięknie prowadzoną hodowlą koni remontowych posiadał pan Ignacy Kotkowski o 2 km na południe od Brzezia, dalej o parę kilometrów, u podnóża góry Świętego Krzyża ze znanym więzieniem, leżały Baszowice pana Jerzego Janeckiego. Trochę w bok na północny-wschód znajdowała się Pokrzywnica pana Jerzego Niepokojczyckiego. Bliżej Starachowic położony był Rzepin Jana Budzyńskiego, Radkowice pana Gustawa Pomianowskiego, Jadowniki pani Komornickiej. To byli nasi najbliżsi sąsiedzi. W stronę Opatowa na wschód aż do Sandomierza znajdowały się liczne i piękne majątki już w dalszej okolicy. Było tam osiem folwarków pana Wincentego Reklewskiego i trzy pani Marii Ośniałowskiej z pięknym Chocimowem i wiele innych.

Dzieciństwo

Ojciec, inżynier-chemik (tytuł uzyskał na Uniwersytecie w Sorbonie w Paryżu, a studiował również w Petersburgu), gospodarował w odziedziczonym majątku rolnym. Mama moja, Aleksandra, pochodziła ze starej rodziny Targowskich w Sandomierskiem (jej kuzyn, Józef Targowski, był ministrem spraw zagranicznych przed Józefem Beckiem). Ojca znałem właściwie z opowiadań, i to raczej wyidealizowanych.

Z ustnych przekazów słyszałem, jak nasza praprababka tańczyła "Pod Blachą" w Warszawie w latach napoleońskich, jak w czasie powstania 1863 roku kwaterował w Brzeziu dowódca rosyjskich oddziałów wysyłanych przeciw Langiewiczowi, Czengiery. Słuchałem opowiadań o pierwszym patrolu legionowym z udziałem mojego wuja, Antoniego Jabłońskiego (zginął nad Bohem w r. 1920).

Babcia Leokadia miała surowe obyczaje. Co dzień długo odmawiała pacierze na specjalnym klęczniku, despotyczna. Młodo owdowiała wyszła drugi raz za mąż i jakby wstydziała się tego postępku, bo o tym się nie mówiło, nie używało nazwiska drugiego męża. Dożyła osiemdziesięciu trzech lat, a jej córka, Irena Egiejman, dziewięćdziesięciu sześciu. Każdego piątku pościła całkowicie.

[Wujostwo Egiejman mieli trzy córki: Janinę (ur. w 1917 r.), Zofię (ur. w 1919 r.), i Marię (ur. w 1922 r.). Syn Janiny, po mężu Kamińskiej-Rozmiarek, Piotr, uciekł na Zachód, kilka lat pracował jako redaktor rozgłośni Wolna Europa w Monachium pod pseudonimem Górski, potem Paris; Zofia, po mężu Hebdzyńska, wdowa od wielu lat, była bezdzietna - umarła w r. 1994; Maria, po mężu Bero, miała jednego syna, Marka, namiętna palaczka, tłumaczka książek z literatury Danii - umarła w r. 1986].

Jako czterolatek pamiętam ojca w roku 1926. Na polowaniu, tuż za starą oborą, spudłował mój ojciec do zająca. Ogromnie lubiłem bawić się wtedy ogonkami zajęczymi - po każdym polowaniu dostawałem jeden. Przywiózł tato z Warszawy portret dziadka Teodora i natychmiast, nie zdejmując okrycia, wbił gwóźdź nad kanapą w rogu stołowego pokoju i zawiesił portret. Również z Warszawy przywiózł kiedyś wiatrówkę dla mego starszego brata, siedmioletniego Włodka. Strzelało się kolorowymi bolcami do tarczy. Pamiętam, jak mój brat wycelował do Józki Małkiewicz, pełniącej rolę półopiekunki czy półpomocy domowej - ona zasłoniła lufę wiatrówki dłonią i boleć ją skaleczył. Odebrano bratu wiatrówkę na dłuższy czas. Potem, gdy nie było bolców, strzelaliśmy solą do much i rdza zniszczyła sprężynę wiatrówki. Ojciec lubił puszczać bańki mydlane napełnione dymem. Pamiętam, że ojciec, namiętny gracz w brydża, po powrocie do domu po nocnych grach przynosił w kieszeniach po kilka pudełek zapalek - przez roztrągnięcie zabierał zapalki machinalnie ze stołu. Był namiętym palaczem. Pamiętam smutny dzień, gdy mama prosiła ojca, aby nie jechał do Warszawy. Żegnali się na drodze koło "Krakowiaka". Potem mama położyła się na ziemi i smutna milczała dłuższą chwilę. Pamiętam wyrwykowo, jak urodziła się moja siostra Marysia (26. 10. 1925). Byliśmy wtedy na przymusowej wizycie w Rzepinie u Budzyńskich. Po powrocie mieliśmy już małą siostrzyczkę, z której podobno byłem niezadowolony. Moja mama karmiła mnie bardzo długo piersią.

Najgłupszą rzeczą, jaką robią dzieci, jest zjadanie np. ziemi; ot naśladują ryjące zwierzęta. Pamiętam, jak gryzłem grudki ziemi i połknąłem wraz z jajami glistę ludzką. Skutki okazały się dla mnie tragiczne, prawie śmiertelne. Zacząłem tracić na wadze, byłem blady, chociaż jadłem normalnie. Mama wozila mnie do licznych lekarzy, byłem podejrzany o chore płuca, ale prześwietlenia nic nie dały. Przyszły dni, gdy traciłem przytomność i nie mogłem chodzić. Z opowiadań wiem, że stracono już nadzieję,

czy wyżyję. Ciotka Malczewska, siostra mej mamy, zauważyła u mnie duże, białe glisty ludzkie, które panoszyły się w całym przewodzie pokarmowym i zagrażały płucom. Teraz szybko zaaplikowano mi odpowiednie środki, pozbyłem się olbrzymiej ilości pasożytów - szybko powróciłem do zdrowia. Moja pobożna mama uważała, że to modlitwy pomogły.

Zapamiętałem metody wychowawcze mej mamy. Mając lat cztery do-
siadałem kucyka. Kiedyś jednak chciałem spróbować jazdy na wierz-
chowcu mamy. Koń był spokojny, ale gdy mama usadowiła mnie w siodle,
koń być może nie czując ciężaru normalnego jeźdźca - zaczął mocno rzucać
głową. Przestraszyłem się, zacząłem płakać, matka natychmiast odesłała
mnie do domu i z surową miną rzekła, że wstydzi się tak tchórzliwego syna.
Te dwa fakty dobrze utkwiły mi w pamięci. Nigdy później mama nie po-
wiedziała mi, że jestem tchórzem. Jako sześciolatek próbowałem kosić
trawę - rezultatem była głęboka rana prawej stopy. Pobiegłem z płaczem
do mamy poważnie krwawiąc. Spojrzała przerażona na nogę i powiedziała:
"Kto ci to zrobił, to dostanie lanie" i dostałem najpierw lanie ja, potem opa-
trunek oraz nauczkę do dziś, że trzeba być ostrożnym i szanować zdrowie.
Inny fakt charakteryzujący naszą ukochaną matkę. Jeździła konno, wtedy
jeszcze w damskim siodle.

Ojciec często wyjeżdżał do swej matki i siostry Dory do Warszawy -
mieszkali na ulicy Leszno. Raz wstał w nocy i spóźnił się na pociąg odcho-
dzący z Suchedniowa - wrócił rano bardzo niezadowolony (do Suche-
dniowa było 25 km, a droga często nieprzejezdna z powodu błota). Pamię-
tam, jak ojciec wymyślał Pawłowi Latale, naszemu sąsiadowi za miedzą,
biednemu chłopu mającemu morgę ziemi, wiele dzieci i piękne wąsy; od-
znaczał się pogodnym usposobieniem. Płakałem wtedy ze strachu, gdy oj-
ciec krzyczał głośno na Pawła. Zachowałem w pamięci jedną z dwu w moim
życiu jazdę wielką kareta czterokonną. Zatrzymaliśmy się na chwilę koło
lasu - prawdopodobnie jechałem wtedy do lekarza do Wierzbnika-Stara-
chowic.

Ojciec zmarł 13 marca 1927 roku w Warszawie, w szpitalu Dzieciątka
Jezus, na zakażenie krwi (na różę). Ówczesna medycyna była bezradna.
Miał 45 lat, 10 lat żył z moją mamą.

[W naszej katolickiej rodzinie tzw. "sprawy towarzyskie" lub, jak inni
określają, damsko-męskie czy odwrotnie, były tabu. Nie mówiło się o nich
wcale lub bardzo rzadko i to ze zgrozą. Jako kilkunastolatek usłyszałem
przypadkowo, jak ciotka Dora mówiła do swej siostry Zoni: "Pamiętasz, jak
Wacek (mój ojciec) przywiózł z Paryża tę rzekomą narzeczoną? Rodzice jej
nie zaakceptowali i odjechała z odpowiednią odprawą pieniężną." Nigdy
nie dowiedziałem się, ile wynosiła ta odprawa].

Ojciec kupił młyn parowy w Wierzbniku - był oszukiwany przez dzierżawcę i ponosił duże straty. Podczas kryzysu lat 29-33 moja mama walczyła o utrzymanie ok. 160-hektarowego majątku. W sierpniu 1927 r. huragan zdmuchnął stodołę - wdarł się przez otwarte wrota w czasie zwózki koniczyny. Mama w czasie kryzysu budowała nowe budynki mając do pomocy głuchego rządcę Eligiusza Krełowskiego. Musiała posyłać do Warszawy 600 zł miesięcznie dla babci Niuty i ciotki Dory, które mieszkały tam z moim starszym rodzeństwem, Ewą i Włodkiem, uczącym się w szkole podstawowej. W roku 1928, w czasie zwózki kamienia na budowę obory, przydarzył mi się pierwszy wypadek, który omal nie zakończył się dla mnie tragicznie. Rządca Krełowski pozwolił mi dosiąść swego wierzchowca burej maści. Nie mogąc dostać normalnie do strzemion, trzymałem nogi powyżej, w puśliskach. Jechałem obok wozu Jana Wójcika. Gdy on ruszył końmi szybciej, zrobił to też mój wierzchowiec. Niespodziewanie straciłem równowagę na siodle i koń wlokł mnie ok. 40 metrów z nogą uwięzioną w puślisku. Długą chwilę byłem nieprzytomny. Krełowski był przerażony, powiedział, że to był ostatni raz mojej jazdy na koniu. Z przeraźliwym bólem głowy dotarłem do domu przez płot w nowym ogrodzie. Mamy w domu nie było. Obecna ciotka Malczewska położyła mnie do łóżka zasuważając roletę. Spałem długo, potem ból głowy ustąpił. Przeszedłem pierwszy w życiu wstrząs mózgu (drugi raz spotkało mnie to, też podobnie przez upadek z koniem, w dniu 30 lipca 1944 r. we wsi Wielgus, co dokładniej opiszę w dalszej części pamiętnika).

Do Brzezia przychodził szukając obstalunków Jojne, krawiec ze Słupii Starej. Pamiętam, był to rok 1928 (rok po śmierci ojca), Jojne czekał w starym ogrodzie na naszą mamę chyba pół dnia. Cierpliwie spacerował wśród opadłych jesiennych liści. Po powrocie mamy Jojne zdołał ją przekonać, że jest dobrym i tanim krawcem. Postanowiono uszyć dla mnie płaszcz na zimę, na wyrrost. Po jednej przymiarce płaszcz z ciemnego brązowego sukna został tak uszyty, że idąc zamiatałem nim podłogę. Uznano płaszcz za dobry, a ja szybko z niego wyrosną - miałem 5 lat. Utkwiła głęboko w mej pamięci podróż do Radomia w nowym brązowym płaszczu. To, że ludzie się oglądali i uśmiechali, mało mnie obchodziło - wiele było ciekawych rzeczy do oglądania dla malca w dużym mieście. Przeszkadzało mi jedynie, bo szło się w tym płaszczu ciężko i zamiatałem nim dużo liści w parku i innych śmieci. Co kilkadziesiąt kroków musiałem płaszcz podnosić i uwalniać się z niepotrzebnego balastu, ku nieklamanej uciechu przechodniów, a zwłaszcza dzieci nieco starszych ode mnie, do których należały trzy moje - o których wspomniałem - kuzynki z Radomia: Jasia, Zocha i Marysia Egiejman. Nasza mama była ogromnie pobożna. Wybrała się na ranną mszę do kościoła, zostawiając mnie śpiącego. Gdy, po przebudzeniu, ujrza-

łem, że mamy nie ma w pokoju i jestem sam w obcym domu, byłem przeżony i długo nie mogłem się uspokoić. Duża różnica w samodzielności była u dzieci wychowywanych w warunkach wiejskich i wielkomiejskich. Jojne rzeczywiście był dobrym krawcem. Na przyjęciu w Baszowicach jedna z pań zapytała gospodynię, panią Janecką, gdzie szyje dla swych synów tak ładne ubrania, odrzekła: „To u krawca w Kielcach”. W tym momencie zjawiał się Cenio, który, usłyszawszy też to pytanie, wyjaśnił, że to właśnie Jojne ze Starej Słupii jest ich nadwornym krawcem (było to w r. 1938, przed wyjazdem chłopców Janeckich do gimnazjum do Śniatynia, gdzie ciotka ich, pani Gutowa, została dyrektorką).

Wozownia i konie

W naszej wozowni stały dwa duże powozy, czterokonna ciężka karetka, dwie bryczki, wolant, petersburskie czarne eleganckie sanie, sanki koszykowe dla młodszych pasażerów, zdobione dębowe wyjazdowe sanie. Wisiała na kołkach ozdobna uprzęż dla koni, siodła, jedno zamszowe damskie o dwu jakby rogach. Kulbaka oraz różne uzdy. Niezapomniany, intensywny mieszany zapach skóry, lakieru fartuchów ochronnych i koni tkwi w mej pamięci do dziś (r. 1992). Do wozowni przychodziłem zawsze z radością i przyglądałem się, jak kolejni furmani zaprzęgali konie. Jankiewicz w latach 1927-28, Grześ Kupisz i Wacek Woźniak do roku 1933, a potem Jasiek Loranty, brat karbowego Sewera, aż do lat 1944-45. Do wozowni przychodziłem również inną drogą, jakby tajną, zwykle ze Stachem Małkiewiczem, kilka lat ode mnie starszym, inteligentnym synem pracownika folwarku. Wozownia i stajnia znajdowały się w jednym budynku przedzielonym drewnianą ścianą, a u góry, dwa i pół metra nad ziemią, były drewniane listwy. Nad stajnią układano koniczynę, siano lub inną suchą karmę dla koni. Gdy pomieszczenie nie było zupełnie pełne, przechodziliśmy przez górę stajni do wozowni szparą między listwami, a następnie, po różnych wystających belkach, dostawaliśmy się do wnętrza. Tu zasiadaliśmy w karcie lub powozie. Stach Małkiewicz miał wyobraźnię i barwnie opowiadał o wyścigach koni w Kielcach. Wielokrotnie odwiedzał mieszkającą tam rodzinę. Gdy ma się 5-6 lat nawet niedoskonałe opowieści o szybkich koniach na wyścigach robią mocne wrażenie. Słuchałem, a wyobraźnia ukazywała mi wysiłek finiszujących koni i jeźdźców. (Parę lat potem specjalnie chodziłem w Kielcach oglądać nie używany już tor biegów koni). Pojazdy, które stały w wozowni, dzielono na często używane: wolant, dwie bryczki, i rzadko używany mniejszy powóz oraz wcale nie używaną karetkę i wielki powóz. Karetkę pamiętam dwukrotnie w użyciu: raz za życia ojca, przed ro-

kiem 1927, i raz potem, gdy byłem chory i wieziono mnie do lekarza. Wymagała czterech koni, była ciężka. Ulubionym pojazdem był wolant, zwany też tarantasem, dobrze resorowany, o wysokim koźle i niskim siedzeniu dla pasażerów. Był zwrotny na miejscu, wygodny i elegancki. Służył w r. 1939 przez długą ucieczkę na wschód, aż do Kaniego-Chełmna i dalej.

[Kanie to była duża, ok. 1000 hektarowa posiadłość z pałacem, lasem, stawami. Kupił ją w 1913 roku mąż mojej ciotki Zoni od książąt Woronieckich. Sonia (Zonia) była urodziwa. Starał się o nią zamożny właściciel sąsiedniego Nosowa, Stanisław Woyciechowski. Małżeństwo zostało zawarte. W posagu ciotka Sonia otrzymała 80 tys. rubli. Jej mąż sprzedał Nosów i chcieli kupić wielki pałac z majątkiem. W tym celu młodsza siostra Soni, Dora, która nie miała na razie konkurenta, zgodziła się, aby i jej posag (też 80 tys. rubli) przeznaczyć na kupno pięknego Kanie. W jakiś czas potem starał się o Teodorę pan Sztejnbock, ale jako bezposażna została starą panną, choć urody jej nie brakowało. Ojciec mój po ślubie z moją mamą mieszkał prawie dwa lata (1917-18) w Kaniem.]

Kareta i wszystkie pojazdy pochodziły z czasów, gdy mój dziad, Teodor, był bogatym ziemianinem.

Pierwsze niby wyścigi konne przeżyłem w lecie r. 1930 jako siedmiolatek. Było nas trzech uczestników: brat Włodek, Pietrek Kalisz (syn pracownika folwarku) i ja. Trzy młode klacze: Kara, Koza i Kwiatek, zmuszone do wyciągniętego galopu przez mało doświadczonych jeźdźców, dużo większą szybkość osiągały pędząc w kierunku stajni, niż w przeciwną stronę. Najwolniejszą okazała się Kara, która w każdym wyścigu zajmowała 3 miejsce. Jeźdźcy solidarnie po każdym wyścigu zmieniali konie. Ostatni nasz wyścig zobaczył głuchy rządca Eligiusz Krełowski i oburzył się, że małolaty męczą konie i ryzykują upadek w galopie. Naganę z wymyślaniem otrzymał Pietrek Kalisz, jako najstarszy [Tenże Pietrek powtarzał: "Marcin Luter krowy pasł, aż go nagle piorun trzasł". W 1997 r. czytałem w niemieckich źródłach naukowych: „2 lipca 1505 roku na wolnym polu, całkiem blisko Lutra, uderzył piorun. Luter w przerażeniu poprzysiągł zostać mnichem.”]. Pozostało wspomnienie upojnej szybkości. Czuję pierwszy raz w życiu szum w uszach, osiągnięta szybkość wydawała nam się wtedy nadzwyczajna. W wiele lat potem, gdy dosiadałem rzeczywiście wyścigowych koni, przy najszybszym galopie nie miałem już tak głębokiego przeżycia (Racot 1945).

Utkwiło mi w pamięci z r. 1928 wspomnienie, gdy cztery nasze młode konie uciekły poza ogrodzenie, a potem w nieznaną dal. Były to trzyletnie wtedy: Marmuzela, Kwiatek, Koza i bułana, z ciemnym kręgosłupem, Burka. (Kwiatek i Koza służyły nam wiernie do roku 1944, Burka potem okulała i została sprzedana, Marmuzela urodziła w r. 31 pięknego Gogo po foolblucie). Konni, stary Surma, Grześ i inni, znaleźli te młode klacze po

wielogodzinnym pościgu w okolicy Świętej Katarzyny, ok. 14 kilometrów od Brzezia. Był to jedyny wypadek tak dalekiej ucieczki naszej końskiej młodzieży.

Brzeskie konie były przeciętne, półszlachetne w okresie 1928-1943. Zachowałem w pamięci burego wierzchowca rządcy Krełowskiego. Długie lata koń ten woził potem mleko do Starachowic razem z Drobnikiem. Kupiona w 1933 r. siwa Baśka i dwie dereszowate klacze od wuja Bielińskiego z Kielc zapisały długą, wierną końską służbę w naszej stajni. Był też gryzący kasztan, świetny koń w rękach Władka Surmy. Kalisz jeździł do Warszawy Borowcem i gniadym Sokołem. Rachtan miał parę siwych koni, wytrwałych i niezawodnych w ciężkiej pracy folwarcznej. Parę siwych szronków po Baśce i Bonie zabrali nam Niemcy w Bodzentynie w r. 1940. Gniadego Witosa, mego wierzchowca z ucieczki roku 1939, też zabrali Niemcy w r. 1944. Do niezapomnianych dla mnie należy też kasztanowata klacz zostawiona przez wojsko polskie, na której pierwszy raz przeskoczyłem drabiniasty wóz pod fachowym okiem Sewera Lorantego (wachmistrz 10 PSK Łańcut) - też zabrali ją Niemcy na spędzie koni w Pawłowie w r. 1942. Wiernym koniem wierzchowym był kasztan Kłaniacz z 15 KOP. Nosił stukilogramowego administratora Witolda Wróblewskiego i - jak wspominałem - potrafił się kłaść, klękać i skakał też w miarę wysoko i daleko. Cugowy nasz zaprzęg w latach 1936-40 tworzyła dwa karogniade, urodziwe konie, Gogo i Waluś. W całej okolicy tylko kasztany pana Ignacego Kotkowskiego z Łomna przewyższały nasz zaprzęg klasą i szykiem. W czasie okupacji cugantem był jakiś czas gniady Witos i "przystojny" gniady o białych pęcicach zdobyty przez p. Wróblewskiego. Stajnia brzeska liczyła 20-22 konie i młodzieży do 10 sztuk.

Często w letnie pogodne wieczory, jak sięga moja pamięć, przysłuchiwałem się opowiadaniom byłych uczestników wojny bolszewickiej z r. 1920, np. Jana Gliny (pracownika, który przyszedł do nas od p. Komornickiej z Jadownik). Brał on udział w tej wojnie jako piechur i maszerował do Kijowa i z powrotem. Raz tylko jego pułk szykował się do natarcia na bagnety, ale atak kawalerii rozproszył oddział bolszewików i - jak mówił - "nie musiał dźgać lub być dżgany". Jego opowiadania, jak znęcali się bolszewicy, specjalnie nad wziętymi do niewoli ułanami, były przerażające. Nacinano im nożem lampasy od biodra do kostki i posypywano czarną solą. Widział on też trupy żołnierzy koło drzewa czy słupa. Słup owinięty był jełitami nieszczęśnika, który musiał biegać dookoła, aż wszystkie wnętrzości z siebie wyciągał. Długo konali ci ludzie w mękach. Szewc Stanisław Gromiec również brał udział w wyprawie na Kijów i potrafił barwnie o tym opowiadać. Takie ustne przekazy o faktach historycznych długo pozostają w pamięci.

Sąsiedzi

Najbliżej żyliśmy z Łomnem. Pamiętam z mych dziecinnych lat, gdy mama po śmierci mojego ojca nie zawsze radziła sobie z gospodarowaniem w trudnym okresie lat 29-32, pan Kotkowski służył zawsze bezinteresowną pomocą. Był najbliższym i najlepszym opiekunem i siadem. Miał w tym okresie pięknego dużego Fiata. To był pierwszy samochód, do którego w swym życiu wsiadłem. Często na błotnistej i górzystej drodze Fiat był wyciągany z błota przy pomocy zaprzęgu konnego, a nawet robił to buhaj, który bardzo spokojnie wyciągał naszego dobrego sąsiada z opresji. O fantazji pana Ignacego głośno było nie tylko w naszej okolicy. W tych ciężkich czasach za podanie konia potrafił dać chłopakowi stajennemu nawet 5 zł, co stanowiło więcej niż pięciodniowy zarobek robotnika rolnego. Przyjeżdżali do nas z panem Ignacym również Jerzy Pniewski na pięknym gniadym Jarząbku oraz pan Kwarczyński, późniejszy dyrektor w latach 50-74 stadniny Pruchna-Ochaby na Śląsku. Jako sześciolatek obserwowałem ich piękne rasowe konie. Miały delikatną skórę, a przy zmęczeniu sieć żył i żyłek na piersiach i poniżej do stawu skokowego była bardzo wyraźna. Już wtedy uczyłem się poznawać piękno zamknięte w końskim kształcie.

W latach późniejszych pan Kotkowski również miał trudne gospodarcze okresy, ale nigdy nie obniżał swej stopy życiowej, szerokiego gestu i urządził przyjęcia dla wielu gości z całej okolicy. Na Święta Wielkiej Nocy 38 r. zaprosił nas z Brzezia z moimi kolegami, Stanisławem Wysockim i Władkiem Bandrowskim. W Łomnie były piękne meble, dywany, skóry niedźwiedzie przed lustrami, wspinałe duże okna weneckie z malowniczym widokiem na dalekie pastwiska i górę Święty Krzyż. Liczne dyplomy uznania ze złotymi medalami zdobytymi przez zwycięskie hodowlane konie zdobiły ściany w salonie. Moi przyjaciele ze zdziwieniem zobaczyli na kosztownych lustrach znak sekwestratora, świadczący o ich zajęciu za nie zapłacone podatki. Pan Ignacy takimi detalami się nie przejmował. Wiedział, że potrafi wyjść cało z najtrudniejszej sytuacji i tak było aż do roku 1941, gdy jego piękne Łomno zabrali Niemcy na liegenschaft. Ten sam los spotkał również Chocimów i Jeleniów, o którym będę szerzej wspominał. W latach do 39 r. na różnych przyjęciach był zwyczaj wygłaszania rymowanych toastów. W Łomnie ilość trunków była raczej nieograniczona. Niektórzy, jak przebrali miarę, odjeżdżali wcześniej do domów. Oto kilka toastów, które utkwilo mi w pamięci. Pan Jurek Janecki z Baszowic na imieninach pani domu (Łomna):

"Piękna Pani, pełna wdzięku,
co przed wrogiem nie zna lęku,

bo rycerza ma w zbroicy,
w hełmie czarnym bez przyłbicy. (Pan Kotkowski był brunetem)
Oto moja myśl niezłomna:
Piję zdrowie państwa z Łomna".

lub toast Cichockiego z Chocimowa:

"Choć mi się w głowie przewraca,
ale wciąż piję zdrowie Ignaca".

I w tym momencie potknął się i przewrócił stół z kompletem kryształowych kielichów. Strata była duża, ale pani domu udawała, że to drobny błąd.

Dziedzic z Łomna miał niezwykle silny organizm i umiał dawkować sobie porcje alkoholu bez widocznych oznak. Gdy przyjeżdżały do niego komisje remontowe w celu zakupu jego pięknych koni dla wojska, odbywały się długie libacje. Wśród oficerów kawalerii nie brakowało amatorów alkoholu, ale sława pana Ignacego po każdej libacji wzrastała. On jeden był niemal trzeźwy, a inni już spali. Po nieprzespanej nocy potrafił o 4 rano wydawać normalne dyspozycje gospodarcze. Jego sprawność fizyczna była znakomita: np. brał kosę od mniej wprawnego kosiarza i udzielał mu długiej pokazowej lekcji koszenia. Wysoki (188 cm), o kwadratowych barach, bardzo sprawny i silny. Raz, gdy dwóch jego pracowników pobiło się o dziewczynę, złapawszy obydwu za kark, jednego lewą, a drugiego prawą ręką, stuknął ich najpierw o siebie, a potem odrzucił - takie uczynki sprawiały, że służba dworska bała się go, ale kochała i ceniła. Był bardzo sprawiedliwy, o wielkim sercu i goście. Żona jego, wysoka efektowna pani, zwana przez męża pieszczotliwie "Dziubaskiem", była dumna z niektórych jego wybryków. Opowiadała, jak Ignac zalecając się do znanej aktorki, Jadwigi S., potrafił stracić 2000 zł. Miejscowy proboszcz również cieszył się, gdy pan Ignacy ufundował złotą monstrancję. W roku 1933 odbyło się w Krakowie święto kawalerii polskiej. Nie mogło na takiej uroczystości zabraknąć cenionego hodowcy remontów. Wieczorem odbył się bankiet w hotelu "Metropol" koło kina Wandy. Po wielu latach opowiadano mi, jak to bawił się tu i płacił za wszystkich obecnych liczne kolejki dziedzic z Łomna, pan Ignacy Kotkowski. Wspominając fantazję pana Ignacego muszę nadmienić, że nie była dla niego złych dróg. Jak te drogi były w latach 1927-44 w świętokrzyskich stronach, pamiętają dawni mieszkańcy: np. kilka kilometrów dzielące Baszowice od Łomna jechało się miejscami przez las. Wertepy, wystające korzenie, rzadko wysychające głębokie kałuże powodowały, że należało wychodzić z pojazdu i trzymać go, aby nie przewró-

cił się wprost do bagna. Łamano dyszle i koła, notowało się 2 lub 3 wywrotki - oczywiście pan Ignacy, jeżeli dojechał do celu, twierdził, że drogi są dobre. Raz jednak, wracając z Chocimowa przez Czerwoną i Górę koło Pokrzywnicy, powiedział, że miał trudności z przejazdem w nocy. W kilka dni potem wypadło mi odbyć tę trasę konno. Dość stroma góra, gliniasta, prawie czerwona ziemia po deszczu, stanowiły i dla konia, i dla piechura, bardzo śliską wspinaczkę. Nie ryzykując upadku z koniem, z trudem pokonałem wzniesienie prowadząc ślizgającego się wierzchowca. W nocy ta droga była nie do pokonania dla przeciętnego użytkownika, który wraz z końmi i pojazdem mógł stoczyć się do strumienia u podnóża góry. Dawniej mówiono: "Nie ma złej drogi do swojej niebogi". Na niektórych gliniastych odcinkach dróg widziałem konie, które zapadły się po brzuchy i wiele godzin trwało ich wydobywanie, bo należało wybudować z desek specjalny pomost. W tych okolicach wielu mieszkańców zapadłych wiosek przez całą okupację nie widziało żołnierza niemieckiego, rzadko zapuszczali się tu w lecie na rowerach z odległych o kilkanaście kilometrów Starachowic. Zapamiętałem rozmowę, jaką przeprowadziliśmy z oficerami niemieckiej kawalerii, której oddział stacjonował u nas w Brzeziu w sierpniu 1944 r. Pierwszy raz wymknęły się oficerom niemieckim słowa potępiające Hitlera, a nawet całkowicie lekceważące jego autorytet. Było to po nieudanym zamachu wykonanym przez Staufenberga.

Wróćmy jednak do losów pana Ignacego Kotkowskiego. W r. 1941 został wraz ze swoim najstarszym synem Franciszkiem, zwanym od dziecka Tyło, uwięziony w Oświęcimiu. Umarł na tyfus tuż przed oswobodzeniem w roku 45. Przeżył lat 47. Postać jego przypominała dawne, burzliwe szlacheckie czasy.

Nauka wstępna

Naukę rozpocząłem w roku 1929 w Radomiu, w szkole "U Sołtyka". Pierwsze klasy były koedukacyjne, a gimnazjum dla dziewcząt. Nauczyłem się tu przez pierwsze cztery lata przede wszystkim kochać sport i gimnastykę. Uczniem byłem raczej słabym, zawsze kłopoty z matematyką. Jako zdecydowany mańkut musiałem pisać i jeść prawą ręką, co sprawiało mi wtedy olbrzymie trudności.

U Sołtyka był dobry zespół pedagogów. Pani Cymerska - przyrodnik - oraz mała gimnastyczka, pani Serwatowicz, były moimi ulubionymi nauczycielkami. Polskiego uczyła pani Helena Osochówna. Ciekawą postacią jako nauczyciel był brat dyrektora, pan Feliks Sołtyk, niski, łysy, znakomicie grający na harmonii. W czasie wielkiej pauzy dzieci chętnie tańczyły do jego muzyki. Pan Sołtyk był wychowawcą mojej klasy. Potrafił w nagrodę

za dobre postępy siłować się z nami w klasie po lekcji. Mówił wtedy: "Ja jestem niepokonany Szteker lub Pytłasiński". Oczywiście zawsze zwyciężał kładąc po kolei wyróżnionych na łopatki. Umiał jednak trzymać autorytet. Gdy np. chciał opuścić salę w czasie godziny wykładowej, mówił: "Silentium" i do chwili jego powrotu w klasie panowała idealna cisza. Na ławie szkolnej poznałem Hankę Przybytniewską (Brzozowską), moją pierwszą sympatię (spotkałem ją w 1981 r. w Sztokholmie, zwiedzaliśmy razem muzea).

W roku 1933 zostałem umieszczony wraz bratem, Włodkiem, w Gimnazjum im. Stanisława Kostki w Kielcach. Był to kosztowny, półelitarny internat pod opieką księży. Nazywano nasze gimnazjum "biskupie". Nauka stała na dobrym lub nawet, z poszczególnych przedmiotów, bardzo dobrym poziomie, np. łacina, język polski, biologia, no i oczywiście wychowanie fizyczne. Było też dobrze organizowane harcerstwo, często męczące piesze wycieczki i różne podchody. W czasie wycieczek urządzano nocne alarmy, stanie w nocy na warcie, nawet w czasie deszczu, było sprawą normalną. Myśmy to wtedy bardzo lubili. Zdobywanie sprawności harcerskich dawało też wiele radości, a konkurencja była liczna. Zdobyć sprawność pływaka nie było łatwo. Jak wspomniałem, pasjonował mnie bardziej sport niż nauka. Lubilem historię, geografę, biologię, łacinę, ale fizyka, chemia, algebra, geometria sprawiały mi kłopoty. Systematycznie podnosiłem moją sprawność fizyczną. Jako piętnastolatek byłem kandydatem do reprezentacji szkoły w piłce nożnej.

* * *

Pamiętam, jak kiedyś w czasie nabożeństwa majowego w naszej szkolnej kaplicy Władek Szulc i Zbyszek Okorski usiłowali moją rzekomą pobożność urozmaicić, wbijając mi długą szpilkę w pośladek. Klęczałem w ławce przed nimi i czułem początkowo delikatne ukłucie, a potem stopniowo coraz silniejsze. Gdyby uczynili to gwałtownie, niewątpliwie odczułbym to boleśnie, ale stopniowanie bólu można wytrzymać i udawałem, że nic nie czuję, rzekomo zatopiony w głębokiej modlitwie. Słyszałem jednak ciche chichoty, a potem jak Władek szeptał coś o tej szpili, pokazując Zbyszkowi, jaką długość bez rezultatu umieścili w moim pośladku.

Był u nas w kieleckim internacie przy Gimnazjum St. Kostki zwyczaj, że wszyscy wychowankowie internatu przystępowali w każdy pierwszy piątek miesiąca do spowiedzi i komunii. Najgorsze było to, że spowiednikiem był nasz ksiądz wychowawca, Eugeniusz Skrzypczyk. Bardzo niechętnie poddawaliśmy się temu obowiązkowi. Zbyszek Okorski, który w wieku 15 czy 16 lat miewał już tzw. "przygody z kobietami", nie chodził do spowiedzi,

ale do komunii przystępował. Aby nie popełnić tzw. świętokradztwa, chował w odpowiedniej chwili komunikant do czystej chusteczki, a następnie palił - miał więc, zgodnie z regułami Kościoła i swoim mniemaniem, czyste sumienie.

Zdolny i pomysłowy był Maciej Kosicki, młodszy brat Prota. Pochodził z ziemiańskiej rodziny w Sandomierskiem. Ojciec jego był znany z wesołego usposobienia i powodzenia u dam (siostra jego wyszła za mąż za prof. Prawocheńskiego, syna wybitnego hipologa w latach 1920-37). Maciej Kosicki był najlepszym pingpongistą - jak dawniej nazywano tenisistów stołowych - mógł więc zostać mistrzem szkoły czy internatu, ale nigdy nie uczestniczył w mistrzowskich rozgrywkach. Uważał, że on "gra sobie a Muzom, dla przyjemności". Pomysły jego długo zachowały się w naszej pamięci. Raz, w czasie rekolekcji 1937 roku, gdy zobaczył grupę znajomych sztubaczek oczekujących na spowiednika, zakradł się tajemnie w półmroku kościelnym do konfesjonału. Oznajmił pukaniem, że czeka na penitentki. Wysłuchał wiele spowiedzi dopytując się szczegółowo o przykazania 6 i 9, udzielając wyjątkowo łagodnej pokuty. Tak więc obie strony były ze spowiedzi zadowolone. Był moim starszym kolegą u "Kostki", a w 41 r. również na rolniczych studiach w Czernichowie. Zginął tragicznie w czasie snu rozerwany przez granat, który miał przy sobie, w okresie partyzantki w roku 1944.

Do znakomitych naśladowców szczekających psów należał Zenek Gryga i jego brat. Jeden szczekał cienko, drugi basem. Odpowiednio, jakiego psa prowadzonego przez atrakcyjną kobietę zobaczyliśmy, szczekał jeden lub drugi. Reakcja psów była prawidłowa. Rzuciły się radośnie w naszym kierunku pociągając za sobą zdeorientowaną właścicielkę - nawiązanie bliższej znajomości nie było potem trudne. Zenek Gryga był też czołowym graczem w pingponga. Stosował on metodę tzw. podpuszczania w grze. Już wtedy grywało się o 50 gr. lub nawet o 1 zł. Tuż przed wojną 39 r. mistrzem Polski był żyd Gutek, a mistrzem świata - Erlich, również żyd polskiego pochodzenia. W żydowskich klubach Makkabi był ten sport ogromnie popularny. Kilkakrotnie chodziłem z Zenkiem Grygą i obserwo wałem jego sposób wygrywania kilku złotych. Początkowo grywał kilka partii próbnych i badał przeciwnika - zawsze wtedy nieznacznie przegrywał. Gdy jego przeciwnik proponował partię na pieniądze, Zenek wzdragał się, że nie stać go na większą grę niż na 1 zł (normalnie grywano na 50 gr.). Zenek po rozpoznaniu możliwości przeciwnika zwykle wygrywał. Podobną metodę stosowali również bilardziści.

* * *

W czasie wakacji, w lipcu 1937 r., za namową mamy odbyłem samotny rajd rowerowy z Brzezia, przez Usarzów, Chwałki pod Sandomierzem, Winiary (majątek stryjenki Targowskiej) do Zofipola, gdzie gospodarowali Dulińscy. W ich gościnnym domu spotkałem mą kuzynkę (siostrzenicę), Hankę Sołtys. Zapamiętałem dokładnie, jak pokazywała mi album rodzinny. W pewnej chwili zapytałem, kogo przedstawia ta "zbójcka morda". Hanka z uśmiechem odpowiedziała: "To mój tatuś". Zdjęcie rzeczywiście było niekorzystne. Od tej chwili wstrzymuję się od jakichkolwiek negatywnych komentarzy w podobnych okolicznościach. Matka jej, Jadwiga, dożyła lat 92, odznaczała się znakomitą pamięcią. Brat Hanki, Stanisław, podczas wojny był w Anglii. Jako cichociemny wylądował na spadochronie w G.G. Schwytany potem przez Gestapo nie wydał nikogo, zginął jak bohater. Szkoda, że ciotka Jadzia Sołtysowa, nie miała wnuków i prawnuków.

Nasz ceniony polonista, profesor Rachwał, uczył nas zapamiętywać całe strony dobrej prozy. Początkowo opanowanie jednej strony prozy wymagało dwóch godzin, a później tylko kilkunastu minut. Taka sztuka przydała się w życiu ogromnie.

Wielu z mych dawnych kolegów nie przeżyło wojny: Kosicki, Piątkiewicz, Panuszewski, Mazurkiewicz, Zakrzewski, zginęli w czasie działań wojennych, Lonka Bukato, mego przyjaciela, zabił żandarm niemiecki za zniewagę - Leon uderzył Niemca w twarz.

Blisko żyłem z grupą chłopców ze Starachowic. Należeli do niej: Andrzej Jabłoński, Andrzej Rogowski, Dudek Bębenek, Jerzy Pinkas, Zbyszek Kozarzewski, Zdzisław Kański, Stasiak Wysocki. Byli to synowie inżynierów tworzących elitę Zakładów Starachowickich. Przed wojną tzw. COP, czyli Centralny Okręg Przemysłowy, tworzyły Radom, Pionki, Stalowa Wola i Starachowice. Produkowano tu armaty 105ótki. Pamiętam jak we wrześniu 39 ostrzeliwały te 105ótki niemieckie samoloty nad Starachowicami. Na pogodnym niebie widać było doskonale rozrywające się pociski tuż koło celu, kilka tylko zostało trafionych - podobno urządzenia celownicze nie były należycie dopracowane.

Przed rokiem 1939 pamiętne były dla mnie dwa wielkie wydarzenia sportowe. Olimpiada 1932 r., gdzie Kusociński i Walasiewicz byli polskimi bohaterami. Na Olimpiadzie 1936 r. w Berlinie ekipa polskich jeźdźców zdobyła srebrny medal w najtrudniejszym w historii sportu konnego konkursie WKKW, tzn. "military" - co podkreślają źródła sportowe z lat 90-tych. Znana była sprawa, jak to Niemcy w torze przeszkód, pod wodą, wykopali tajemne doły, w które wpadali cudzoziemcy i zaliczali wiele punktów karnych. Uczestnik Olimpiady, rotmistrz Henryk Leliwa-Roycewicz, bardzo dokładnie to opisał.

Początek wojny

Wracam do września r. 1939. Komunikaty radiowe siały panikę - Należy uciekać przed Niemcami za Wisłę, może tam zostanie zorganizowana linia frontu. 3-go września wszyscy mężczyźni z naszego dworu wyruszyli na ucieczkę - pracownicy folwarczni, administrator, mój starszy brat i ja. Jako środek lokomocji służyły konne wozy odpowiednio przygotowane. Administrator, pan Wróblewski, i brat jechali tzw. wolantem, a ja osiodłałem gniadego Witosa i ruszyliśmy na wschód przez Starachowice, lasy Iłżyckie do Wisły. Już następnego dnia pracownicy po dłuższych rozważaniach postanowili wracać logicznie twierdząc, że jest czas zasiewów i przy tak koniecznych pracach rolnych Niemcy nic złego im nie zrobią. Również cały liczny inwentarz wymaga opieki, a samotne kobiety mogą temu nie podołać. Pod wodzą karbowego, Sewera Lorantego, wrócili do domu zabierając mego wierzchowca, który lekko utykał. Zostawiłem sobie jednak siodło, które później bardzo się przydało. Drogi były już pełne uchodźców i jechaliśmy coraz wolniej. W okolicach Puław widziałem pierwsze naloty i liczne ofiary. Niektórzy lotnicy niemieccy zniżając lot ostrzeliwali bezbronych uchodźców z karabinów maszynowych. Gdy słyszeliśmy nadlatujące JU 88 czy Messerschmity, uciekaliśmy jak najdalej od drogi. Nie wszyscy jednak zdążyli i ofiar było dużo, głównie wśród starszych. Widziałem podczas nalotu koło jakiejś wsi kobietę, która zupełnie spokojnie szła trzymając szufladę na głowie. Dotarliśmy szczęśliwie do Kurowa, tu w dużym majątku nocowaliśmy. Administrator czy właściciel nazywał się Jaruzelski. Koło Chełma, w miejscowości Kanie, mieszkała siostra mego ojca, Zonia Wojciechowska. Tam dotarliśmy po kilku dniach pełnych wrażeń. Dom w Kaniem, zwany pałacem, liczył ponad 30 pokoi. Bywali tu letnicy z Warszawy i Lublina jak również liczni krewni z całej Polski. Do 15 września w towarzystwie ponad 100 osób prowadziliśmy prawie normalne życie. Pamiętam, że tam ostatni raz z Wojtkiem Michalskim, mym kuzynem z Warszawy, polowaliśmy na kaczki. Po ostrzegających komunikatach radiowych, że Niemcy się zbliżają, większa część towarzystwa postanowiła uciekać na wschód. Mieliśmy wolant i duży dworski wóz. Wolantem jechały cztery starsze osoby, na wozie zostały ułożone walizki i inne rzeczy, a cała grupa młodych, około 30 osób, podróżowała jak mawiał ongiś pan Zagłoba "chamską modą". Przeszliśmy Krasnystaw i trudne piaszczyste drogi. 17 września gruchnęła wieść, że Sowieci wkroczyli, a następnie, że gdzieś niedaleko Witkacy popełnił samobójstwo.

Nocowaliśmy raz we wsi o ciekawej nazwie Nudyże. Zapamiętałem ją dokładnie, bo tu spotkaliśmy odpoczywającą stadninę koni z Kozienic,

którą prowadził znany jeździec, major Marian Fabrycy. Jechał również, ale bryczką, zasłużony, wybitny hodowca Copi. Prowadzili oni 72 młode (trzyletnie) ogiery zakładu treningowego i 8 ogierów czołowych. Były wśród nich najlepsze: Bafur, Villars, King Idler. Trzy dni pieszej wędrówki boleśnie obtarły moje nogi - wysokie buty nie są najwygodniejsze do długotrwałych marszów po piachu. Szczęśliwie się złożyło, że nasz administrator, pan Wróblewski, znał majora Fabrycego i poprosił go, bym mógł być u niego zatrudniony jako chłopiec do opieki nad końmi. Major zgodził się chętnie. Każdy masztalerz prowadził luzaka. Miałem własne siodło, więc nie było problemu. Od 19 września nie obcierałem nóg pieszą wędrówką. Przydzielono mi wysokiego (172 cm) siwego ogiera o nazwie Mer i zapowiedziano, abym bardzo uważał i nigdy nie zbliżał się do gniadego Hermesa, bo te dwa ogiery żywiłowo się nienawidzą. Na końcu szedł zawsze samotnie piękny "łysy" kasztan łotrzyk, który odznaczał się wyjątkowo łatwo fruującym zadem - był rzeczywiście niebezpieczny. Konie były już zmęczone prawie trzytygodniową wędrówką, niedostatecznie karmione i pielęgnowane. Jechaliśmy nadal na wschód, marsz był powolny, głównie stępem, rzadko przechodziliśmy w kłus.

W dużym majątku Worona wypadł nam kolejny postój na noc. Była tam studnia z długim korytem do pojenia licznej inwentarza. Podprowadziłem Mera do koryta; spragniony chciwie pił. Nagle gwałtownie wyrwał mi się z rąk, przesadził koryto i z kwikiem mrozącym krew rzucił się z obnażonymi zębami na Hermesa, którego niebezpiecznie blisko przyprowadził jego jeździec z drugiej strony koryta. W jednej sekundzie ogiery stanęły na tylnych nogach, przednimi wymachując w powietrzu i usiłując chwycić zębami za szyję przeciwnika. Towarzyszył tej walce przeraźliwy kwik. Widok był groźny - po raz pierwszy widziałem z tak bliska jak walczą dwa rozjuszone ogiery. Były zmęczone, spragnione, a jednak jakaś nienormalna i rzadko spotykana wzajemna nienawiść zmuszała te dwa konie do walki - nadmieniam, że przy wodopoju nie było żadnej kłaczy. Dwóch jeźdźców po chwili rozdzieliło walczące ogiery, inni oblewali je wodą. Walka trwała kilkanaście sekund, ale widok jej pamiętam do dziś. Nigdy więcej tego nie widziałem, pracując później w stadninie Racot czy przebywając często w "końskim towarzystwie". W tejże Woronie nie mogliśmy zdobyć dość prowiantu dla siebie, bowiem najpierw należało zadbać o konia. Z nowym towarzyszem, Musiewiczem, piliśmy wtedy mleko w dużej oborze "prosto od krowy" leżąc pod sutkami i dojąc sobie do ust.

Major Fabrycy zdecydował o powrocie do Kozienc. Dalsza ucieczka na wschód mogła być bardziej niebezpieczna niż pozostanie pod władzą Niemców. Dochodziły już wieści o bestialstwach, jakich dokonywali Sowieci. Po kilku dniach konnego marszu przeszliśmy wpływ Bug, wreszcie dotarliśmy do pięknego majątku Podzamcze koło Maciejowic. Tu major

Fabrycy po rozmowie z właścicielką, hrabiną Zamojską, postanowił dać koniom zasłużony kilkudniowy odpoczynek. W pobliskim miasteczku Maciejowice ujrzałem po raz pierwszy stojący na rynku niemiecki czołg. Smutnie zakończył się dla kilku z nas zakup kielbasy u przygodnego sprzedawcy. Zachorowaliśmy poważnie na żołądek. Przewód pokarmowy spełniał w tej chorobie rolę szybko działającej przepustnicy. Przestaliśmy jeść, bardzo osłabiliśmy. Dobrze, że pobyt w Podzamczu przedłużał się. Pewnej nocy przybył konny oddział polskich żołnierzy i żądał od majora zmiany koni. Major wyjaśnił, że konie nasze stanowią materiał zarodowy, są młode i do służby wojskowej zupełnie nieprzydatne. Okazało się, że dowódcą tego oddziału był major Henryk Dobrzański, późniejszy sławny Hubal. Stał wtedy w Podzamczu ukryty w jednej z licznych stajen tarantowaty biały koń o nazwie Grom - używał go podobno marszałek Śmigły-Rydz.

W pierwszych dniach października dotarliśmy do Kozienic. Stajnie stadniny zajęte były przez Niemców. Około dwóch godzin czekaliśmy na decyzję, gdzie zakwaterować nasze konie. W tym czasie żołnierze niemieccy zainteresowani czołowymi pięknymi ogierami, gdy dowiedzieli się, że jest tu sławny Bafur hodowli niemieckiej, namówili masztelarza, aby pozwolił go dosiąść. Jeden z nich był dobrym jeźdźcem i z powodzeniem galopował na dostojnym (18-letnim) ojcu wyścigowej młodzieży. W takiej chwili wrócił major Fabrycy i oburzony zwymyślał masztelarza za oddanie konia w obce ręce. Masztelarz wyjaśnił, że Niemiec go do tego zmusił gestykulacją - języka niemieckiego nie znał. W Kozienicach zakończyła się moja przygoda ze stadniną.

W dniu 19 października z przygodnie poznaną rodziną Sobolewskich z Sosnowca dotarłem do mego rodzinnego domu. Trasę z Kozienic ok. 110 km pokonaliśmy wózkami jednokonnymi, zaprzęgiem w hołoble - w naszych stronach ten hadziajski konik wzbudzał zrozumiałą sensację. Nocując wtedy po drodze w Sycynie koło Zwolenia poznałem Izę Czaplińską, koleżankę mej siostry, Ewy, z SSGW. Musiały być zaprzyjaźnione, bo bardzo serdecznie się dopytywała.

Okupacja

Fatalne, nie utwardzone drogi w okresie jesiennym były trudne do przebycia. Komunikacja samochodowa nie istniała. Najłatwiej podróżowało się konno. Monotonie wiejskiego życia przerwał w końcu listopada przyjazd kreislandwirta ze Starachowic. Dotarł on przed nasz dom na wozie z mlekiem - samochód oczywiście utknął gdzieś w błocie. Był wściekły z tego powodu. Otworzyłem mu drzwi, przedstawił mi się jako kreislandwirt, na co ja odpowiedziałem: "Ich weiss nicht", czyli "Nic nie wiem".

Chciałem powiedzieć, że mało rozumiem po niemiecku - on uznał to za obelgę. Nadbiegła nasza ciotka, Maryla Wolmanowa, biegle mówiąca po niemiecku, sytuację wyjaśniła i załagodziła. [W latach studiów mojego ojca na Sorbonie kształciła się w Paryżu również jego kuzynka, Maryla Wieszczycka (córka gubernatora Krymu) - studiowała malarstwo. Raz, na spacerze na Placu Inwalidów, spotkał mój ojciec Marylę i stwierdził, że jest w stanie błogosławionym, co go niepomiaralnie zdziwiło, bo nie wiedział, że poślubiła ona kolegę malarza, Wolmana. Małżeństwo było bardzo krótkotrwałe. Po urodzeniu córki w Warszawie w 1907 r. Maryla powróciła do Paryża i przekonała się o niewierności męża. Nigdy mu tego nie przebaczyła, żyła do śmierci samotnie. Córka Ala de Wolman odwiedzała swego ojca. Urodziwa sportsmenka wyszła za mąż za inżyniera Bolesława Froma, znanego automobilistę w Warszawie. Emigrowali w r. 1940 do Toronto i tam mieszkali do śmierci (Ala zmarła w r. 1991). Maryla Wolmanowa była portrecistką naszej szeroko rozgałęzionej rodziny, pracowała w biurze Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie, robiła m.in. portret Rydza-Śmigłego i kardynała Hlonda. W 1948 r. otrzymałem od niej jako prezent portret mej żony Anny. Ciotka Maryla mieszkała u nas w Brzeziu przez okres wojny w latach 1939-43. Jej opowiadania o jej szczęśliwym życiu - córki gubernatora Krymu, pamiętam do dziś. Znała dobrze cztery europejskie języki i była ogromnie pożyteczna, gdy niemieckie władze odwiedzały nasz dom.]

Kreislandwirt von Szczepański, podobno ziemczyły Polak z Poznańskiego, rozumiał polski język, nigdy się jednak z tym nie zdradził. Był dobrym fachowcem i wiele maszyn rolniczych oraz zarodowy materiał żywego inwentarza otrzymały za jego pośrednictwem okoliczne majątki po stosunkowo niskich, przydziałowych cenach. Znałem w tym okresie właścicieli ziemskich, którzy więcej otrzymali od Niemców niż sami oddali w kontyngentach.

Od grudnia 39 r. uczyliśmy się u prof. Antoniego Cybińskiego, wysiedlonego z Inowrocławia, który wraz z żoną u nas zamieszkał. Przerabiałem materiał z 1 i 2 klasy liceum. Profesor Cybiński był humanistą. Matematykę, chemię i fizykę uzupełniłem później u pana Kazimierza Barnasia z Krakowa (znanego w wiele lat potem dyrektora teatru w Tarnowie). Mieszkał on u nas jako nauczyciel po wyprowadzeniu się prof. Cybińskiego do Starachowic.

Zima roku 1940/41 była wyjątkowo długa, mroźna i śnieżna; np. pani Cieśla, żona nauczyciela z Garbacza, wsi oddalonej o kilkanaście kilometrów, przebywała u nas dwa tygodnie czekając, aż drogi będą możliwe do przejazdu. Zasy były ponad 12 m. wysokości. Pamiętam, jak moja mama potrzebowała pilnie leku. Najbliższa apteka była w Bodzentynie od-

ległym o 7 km. Znałem tę drogę na pamięć. Pojechałem po obiedzie do apteki na nartach. Trasa była uciążliwa, wszędzie głęboki śnieg. Szybko zapadł zimowy zmierzch. W drodze powrotnej długo błądziłem, bo olbrzymie zasy zmieniły zupełnie krajobraz. Powstały nowe doliny i góry ze śniegu. Dwukrotnie pytałem o drogę zajeżdżając do obcej mi wioski. Wróciłem do domu po 5 godzinach morderczej wędrówki z zupełnie innej strony.

Zające, które się ogromnie rozmnożyły, były chwywane "na piechotę" przez wiejskich chłopców: zając zapadał się w śnieg po uszy, a człowiek do pasa - ucieczka i pogoń odbywała się w komicznie zwolnionym tempie. 20 kwietnia wypadła Niedziela Palmowa. Jechaliśmy sankami do kościoła, śniegi zakrywały jeszcze wiejskie płoty. Najstarsi ludzie nie pamiętali takich śniegów. Jako mały chłopiec widziałem zamrożone wrony i inne ptaki, w roku 1929 drzewa pękały od mrozu z hukiem - wtedy było poniżej 400 minus.

Tej zimy 1940 roku został zabity w Waśniowie znany w całej okolicy ziemianin, pan Wincenty Reklewski. Wystąpił w obronie napadniętego proboszcza - bandycka kula pozbawiła życia wyjątkowo zacnego i dobrego człowieka. Zjazd na pogrzebie był ogromny, ponad 150 sań przybyło z całej okolicy. Dzień ten upamiętnił mi się specjalnie - w czasie dość długiej drogi odmroziłem palce nóg, miałem martwicę do kości. Ślina zmieniała się natychmiast w grudkę lodu, mróz był 250 minus przy ostrym wietrze.

W czerwcu 1941 r. gruchnęła wieść, że trzech nasi młodzi sąsiedzi z Baszowic, Jerzy, Franciszek i Czesław Janecy zostali uwięzieni przez Gestapo za ukrywanie polskich oficerów. Jerzy był oficerem 10 pułku S.K. w Łańcucie. Pułk ten jako jeden z pierwszych zmotoryzowany brał udział w akcji Zaolzie w r. 1939. Franciszek był starszy ode mnie 3 lata, a Czesław moim rówieśnikiem. Żyliśmy w wielkiej przyjaźni. Chłopcy Janecy byli ulubieńcami całej okolicy jako znakomici tancerze o ujmującym sposobie bycia. W miesiąc później zostali wszyscy straceni i zakopani w masowych grobach koło Skarżyska. Wspomina o nich w swym ciekawym pamiętniku (str. 202-205) "Mój XX wiek" Władysław Okoń. Był on w tym czasie nadleśniczym pod Skarżyskiem. Niestety jego notatki nie są dokładne. Siostra Janeckich, pani Irena Cywińska, mieszkająca obecnie w Krakowie, chce nawet zamieścić notkę prawdziwą. (Druga siostra, pani Krystyna Hemplowa [Platerowa] straciła również swego męża z rąk Gestapo w r. 1944. Obecnie od wielu lat żyje w Kanadzie). Śmierć naszych sąsiadów rzuciła cień żałoby na całą okolicę.

Żydzi

Mój stosunek do żydów był pozytywny. Najlepsi krawcy, rymarze czy kupcy to byli żydzi z pobliskiego Bodzentyna czy Słupi Nowej. Np. krawiec Jojne szył naszym sąsiadom z Baszowic tak dobrze, że chodzili lepiej ubrani niż ich koledzy w Kielcach. W latach 40-41 na jarmark do Bodzentyna zwykli przyjeżdżać Gestapowcy z Kielc. Wybierali lepsze konie i płacili przydziałową cenę 800 zł za konia. Musieliśmy w ten sposób oddać Niemcom parę młodych, świetnie dobranych "szronków", oryginalnie siwych z dereszowatym odcieniem. Głównym celem przyjazdu Niemców był jednak rabunek żydowskiego złota. Zabierali np. dwóch najbogatszych żydowskich kupców (w Bodzentynie był nim Nusym Szachter, solidny i odpowiedzialny właściciel żelaznego sklepu, i jego zięć) - byli oni zakładnikami. Niemcy zapowiedzieli, że jeżeli mieszkańcy Bodzentyna nie zbiorą do godziny 15 np. dwóch kilogramów złota, to przekonają się, jak smutne czekają ich następstwa. Bodzentyn w tym czasie był przepelniony żydami, bo mieszkali tu przesiedleni z Łodzi i innych ziem włączonych do Reichu. Oczywiście życzenia gestapowców były punktualnie spełniane. W październiku 41 r. Bodzentyn liczył już tylko kilkudziesięciu Polaków, ponad 7 tysięcy obywateli żydowskich stracono w Treblince. Dziwnie wygląda nagle wyludnione miasteczko. Moje znajomości z żydami urwały się właśnie w tym roku. Koledzy moi "Od Sołtyka" ze szkoły podstawowej, Borensztein, Rubinsztein i Klar, byli wyróżniającymi się uczniami. Należeli do zamożniejszych. Matka Klara odwiedzała np. w r. 1930 Palestynę, a była to kosztowna podróż - wtedy ponad 1000 zł. Solidarność rodowa czy narodowa żydów jest większa niż u Polaków. Żydzi wcześniej dojrzewali niż my i wielokrotnie z tego powodu były wśród nas komiczne nieporozumienia.

Poszczególne komendanci garnizonów niemieckich dopuszczali się w miastach i miasteczkach z dominującą ludnością żydowską złośliwych i upokarzających czynów. Widziałem kilkakrotnie, jak grupa żydów podczas ulewnego deszczu szorowała chodniki. Uszeregowani potem w kolumnę maszerowali śpiewając głośno:

"Jak był w Polsce Śmigły Rydz, tośmy nie robili nic; a jak przyszedł Hitler złoty, to nauczył nas roboty", itp.

W roku 1941, przed wysłaniem na stracenie gromady żydów, na rynku w Jędrzejowie Niemcy wygłaszali przemówienia na temat "odżydzenia społeczeństwa" - tak to brzmi w niemieckim języku - a potem każdy z mówców wyciągał pistolet i oddawał tzw. "honorowy strzał" do grupy bezbronných. Na przykre doświadczenia narażeni byli katolicy, którzy z wyglądu

byli podobni do przedstawicieli rasy semickiej. Należał do nich Staś Kruzewski z Kotlic. Ilekroć odwiedzał miasto, musiał Niemcom na ulicy udowodniać, że nie był chrzczony przy pomocy noża. Ceremonia taka odbywała się zazwyczaj w najbliższej bramie. Później postarał się o specjalny dokument z fotografią, że jest katolikiem i szczęśliwie doczekał końca okupacji niemieckiej.

Kuzyn mój, Włodzimierz Woyciechowski, z narażeniem życia ukrywał żydów w stercie. Doczekali szczęśliwie końca wojny, zamieszkali w Izraelu i w latach 70-tych zaprosili swego zbawcę do Izraela. Jako całkiem starsi ludzie przeżywali razem dawne tragiczne wspomnienia z dni hitlerowskiej okupacji w Polsce. W latach 46-47 spotkałem się również z fabrykantami żydowskimi. Ci w handlu odznaczyli się bez porównania większymi zdolnościami i możliwościami od swych polskich konkurentów. Nigdy nie byłem oszukany przez żyda, natomiast Polacy, a szczególnie mieszkańcy Warszawy, z dumą opowiadali, jak to przed wojną cwaniacy sprzedawali naiwnym tramwaj lub pomnik. Warszawiacy od 45 r. byli uprzywilejowani, bo dla zburzonego miasta pracowała cała Polska. Jednak w sporcie Warszawa wykorzystwała to sprowadzając najlepszych sportowców z całego kraju. Znałem bardzo nieprzyjemne nadużywanie stanowisk służbowych dla własnych korzyści, na wyjazdy i delegacje zagraniczne jechała zgrana sitwa, zwykle partyjna, zupełnie niepotrzebnie.

Wojna trwa

Dowóz żywności do miast był przez Niemców zabroniony i chłopci chwyтали się różnych podstępów. Wozili np. zabita świnię w trumnie, przykrytą czarnym okryciem.

W lecie 1941 roku przebywały u nas na wsi Zosia Urbańska i Janka Treutler, siostry mego późniejszego szwagra, Juliusza. Zosia, zgrabna i wiotka, w dwudziestym roku życia została wdową. Bardzo interesowała ją jazda konna, lecz nie miała odwagi sama dosiąść konia. Raz pod wieczór spieszyło jej się do domu, a byliśmy dość daleko w polu przy stertowaniu pszenicy. Zosia poprosiła mnie, abym zabrał ją na konia przed siebie. Nie przypuszczałem, że jest tak lekka. Nie schodząc z konia podniosłem ją i umieściłem przed sobą. Dojechaliśmy szybko do domu. Zosia uważała, że taka jazda nie należy do najwygodniejszych. Ulubionym koniem wierzchowym był wtedy u nas jasny, łysy kasztan zwany Kłaniacz. Miał wypalony znak na szyi "15 KOP", umiał klękać z jeźdźcem, a potem kładł się na ziemi na specjalne polecenie. Był znakomicie ujeżdżony, wytrzymywał długie galopy. Do zaprzęgu nie nadawał się zupełnie. Wiele koni wojskowych trafiło wtedy do nas przy przymusowej wymianie. Przyjeżdżali głównie w

końcu 39 r. różni uciekinierzy i zabiedzone, odparzone, ledwie trzymające się na nogach konie wymieniali na zdrowe i silne. Pamiętam, jeździłem też na takiej wojskowej klaczy, która, gdy przyszła do swej normy, skakała swobodnie przez drabiniasty wóz. Zabrali ją później Niemcy. Karbowy Sewer Loranty, wachmistrz 10 pułku S.K., był moim pierwszym instruktorem jazdy przeszkodowej. On nauczył mnie też zmiany nóg w galopie konia.

Do ciekawych postaci wśród pracowników dworskich należał furman Grześ, lubiany, bo zawsze w dobrym humorze, o inteligentnej twarzy. Ojcem jego był setnik kozacki. Dzieci jego i wnuki osiągały później dobre wyniki na studiach uniwersyteckich.

Wyjątkowo zdolnym mechanikiem był Stanisław Przygoda. Samouk, obsługiwał i naprawiał wszystko, od parowej lokomobili do nowoczesnych samochodów. Pamiętam, jak w 39 r. przyjeżdżał Talbotem wuj Jan Michalski z Warszawy. W jego wozie przeciekała chłodnica. Naprawiano ją dwukrotnie w Warszawie, ale bezskutecznie. Dopiero polutował ją swoim sposobem Stanisław Przygoda. Wuj mówił, że od tej pory już nie przeciekała. Bywał u nas znany przed wojną rajdowiec From (miał szkołę jazdy na Nowym Świecie 17) ożeniony z Alą Wolman. On też wyrażał się z uznaniem o zdolnościach naszego mechanika.

Sportowym wzorem był dla mnie nasz sąsiad Janek Budzyński z Rzepina. Na Uniwersytecie Warszawskim był czołowym zawodnikiem AZS. Z miejsca przeskakiwał dość wysoką, ogrodową ławkę z oparciem, świetny tenisista. Do dziesiątki najlepszych tenisistów polskich należał w przedwojennych latach nasz kuzyn, Włodzimierz Woyciechowski. Był stałym partnerem Hebdy, Tłoczyńskich, Tarłowskiego, Spychały, Jędrzejowskiej i Witolda Horaina, znanego oryginała i kolekcjonera, ale też zdolnego sportowca. Ostatnim sukcesem Włodzimierza Woyciechowskiego było zwycięstwo nad Władysławem Skoneckim w r. 50, przed wyprawą mistrza Polski na Zachód.

Bandyckie napady pseudopartyzantów

17 września 41 r. przeżyliśmy pierwszy napad bandytów. Dom nasz pełen był krewnych z Warszawy i częściowo z Poznańskiego. Brat mój, Włodek, i ja spaliśmy w pobliskiej oficynie. Dwóch uzbrojonych wskoczyło do nas przez uchylone okno. Obudzony z głębokiego snu, oślepiony na chwilę światłem latarki elektrycznej, ujrzałem zamaskowaną twarz i skierowany we mnie rewolwer. Po narzuceniu czegoś na piżamę byliśmy z bratem prowadzeni do domu od strony kuchni. Zastukałem i powiedziałem, że muszę wejść do domu po jakiś lek. Otworzyła służąca, śpiąca normalnie w dużej kuchni. Pobiegłem szybko przez szereg ciemnych pokoi i pobudziłem tam

śpiących ogłaszając, że jest napad. Pilnujący mnie, nie znając rozkładu drzwi, zgubił się. Zdażyłem wtedy ukryć nowe buty pod szerokim łóżkiem mej mamy. Chciałem uciekać przez okno, ale pod każdym stał uzbrojony bandyta. Gdy cały dom został postawiony na nogi, bandyci zebrali nas w stołowym pokoju i kazali położyć się twarzą do podłogi. Było nas razem kilkanaście osób. Starszy wuj, Woyciechowski, nie mógł zbyt długo leżeć w tej niewygodnej pozycji, więc po godzinie pozwolono mu na siedzenie w fotelu. Leżeliśmy parę godzin, a w tym czasie wszystko z szaf, biurka, kredensów itp. zostało wyrzucone na podłogę i splądrowane - cenniejsze rzeczy ładowano na wóz, który w międzyczasie bandyci kazali sobie przygotować. Łupem bandy padły drobne kosztowności, pierścionki, obrączki, buty, ubrania, płaszcze zimowe i futra. Ze spiżarni zabrali też cały zapas cukru, suszone kiełbasy itp. Po takim napadzie robiliśmy w domu przez kilka dni porządki. Wóz z końmi został na drugi dzień przyprowadzony przez znajomych sąsiadów ze Starachowic; stał w wiosce Krzyżowa Wola. Po kilku tygodniach otrzymaliśmy list i torebkę orzechów. W liście było kilka słów mówiących o twardym orzechu do zgryzienia. Później, w latach 43 i 44 różne napady były tak liczne, że nie zamykało się drzwi na noc, aby nie wstawać i otwierać. Przychodziły różne uzbrojone zbiry i żądali głównie wódki. Wiedzieli, że dom był wielokrotnie ograbiony, a odzież nasza była też niewiele warta. Wszystkie starsze osoby mieszkały już w Starachowicach. Ja bywałem też w domu sporadycznie. Raz jeden bandzior, który za dużo wypił, strzelał do portretów naszych dziadków, ale kule uszkodziły tylko ścianę. Kobiety w dworach przeżywały różne chwile grozy, jednak u nas nie wydarzył się żaden gwałt.

Czernichów

We wrześniu 41 r. rozpocząłem z bratem Włodkiem naukę w czynnej wówczas Państwowej Rolniczej Szkole w Czernichowie. Studiował tu kiedyś znany dramaturg Hubert Rostworowski, ojciec historyka Emanuela Rostworowskiego. Budynek szkolny, przystosowany z pałacu Badenich, był położony w pięknym parku. O kilkaset metrów płynęła czysta jeszcze wtedy Wisła. Spotkałem tu mych dawnych kolegów z kieleckiego gimnazjum (Kosicki, Konarski, Nowakowski, Karbownicki) jak również kilku sąsiadów. Nauka trwała dwa lata, egzamin dyplomowy zdawaliśmy z czterech przedmiotów: rolnictwo, hodowla, ekonomika i język niemiecki. Program był szerszy i obejmował: biologię, gleboznawstwo, korespondencję, chemię, botanikę, weterynarię oraz sadownictwo i warzywnictwo. Kadra profesorów była na wysokim poziomie, wykładali u nas znani fachowcy z uniwersytetów: dr Mulak - weterynaria, dr Wanic - botanika, dr Niemczyk

- język niemiecki, mgr Jedliński - korespondencja, mgr Pietsch - gleboznawstwo, dyr. K. Kuczyński - chemia. Nauki było dużo, do tego dochodziły liczne praktyczne zajęcia: dyżury przy pielęgnacji rasowego czerwonego byka, które wysoko cenił profesor hodowli Walenty Wesołowski, specjalista od normowania paszy. Braliśmy również udział przy pracach polowych: gdy nie było pracowników do wykopania buraków, to ten obowiązek wykonywali uczniowie, również musieliśmy pielęgnować niektóre uprawy i plewić ognicę. Pewnym powodzeniem cieszyły się dyżury w kurniku - niektórzy koledzy chętnie kręcili kogel-mogel z jajek i ci chętnie nawet wykupywali taki dyżur za papierosy. Mieszkaliśmy w dużych, kilkunastoosobowych salach, mieliśmy zapewniony wikt w stołówce. Oczywiście wszystko było odpłatnie. W tym czasie wikt ten nie zaspokajał potrzeb młodego organizmu potrzebującego dużo więcej kalorii. Na śniadanie otrzymywaliśmy czarną kawę i kromkę ciemnego, przydziałowego chleba z marmoladą z brukwi lub buraków. Obiad był możliwy i zazwyczaj dobrze przyrządzony, ale porcje były dla młodych za małe i zwykle wstawaliśmy od stołu półgłodni, choć kartofli można było dostać dużo. Jeden z naszych kolegów Sławek Gościcki, rosły syn lekarza ze Zduńskiej Woli, robił zakład, że pochłonie po obiedzie normalny półmisek ziemniaków - zakład wygrał. Na kolację dostawaliśmy różne kasze z wodnistym sosem lub to, co na śniadanie. Jeżeli ktoś nie otrzymywał żywnościowych paczek z domu, to chodził głodny. Ci, co mieli pieniądze, szli do restauracji pani Oczkoś lub do Barcika w miasteczku Czernichów ładnie usytuowanym nad Wisłą. Pani Oczkosiowa była przystojną 40-letnią kobietą, a jej córka, 20letnia Krystyna, też nie narzekała na brak powodzenia, więc restauracja prosperowała; można było też tam grać w bilard.

Pod koniec każdego roku studiów, zwykle w połowie czerwca, odbywały się tradycyjne mecze piłkarskie: Kurs II przeciw Kursowi I. Wybrani po kilkakrotnym zgraniu się i rozpoznaniu swoich umiejętności piłkarskich tworzyli drużyny reprezentujące dany kurs. Oczywiście starszy rocznik miał przewagę, bo dłużej ze sobą trenował, był lepiej zgrany. W okresie zimowym urządzaliśmy turnieje ping-ponga i w bilard-karambol. W roku 1942 wygrałem taki turniej tenisa stołowego pokonując w finale Staszka Webera.

Studiowało wtedy 120 adeptów rolnictwa. Pochodzili ze wszystkich klas społecznych. Obok Potockiego, Bnińskiego, Ponińskiego, Horodyńskiego, Groblewskiego, Kalinowskiego, Byszewskiego, Hempla, Skotnickiego, Romera i wielu innych potomków znanych rodzin w Polsce, uczyli się tu również synowie chłopów lub średniozamożnych rządców i plenipotentów, lekarzy i adwokatów. Były nazwiska Żebrak czy Orczyk, i ci chłopcy, jeżeli chcieli się jakoś podciągnąć, zawsze byli koleżeńsko traktowani. Pamiętam, że Stanisław Żebrak miał głośne spanie. Nazywaliśmy go

Gromko-śpieszek. Został raz wyniesiony z łóżkiem do toalety - tam obudził się po kilku godzinach. Kursiści starszego roku, gdy przybywał pierwszy rocznik, urządzali niby badania lekarskie. Kilku poważnie wyglądających, ubranych w białe chałaty, polecało świeżo przybyłym rozebrać się i ustawić w kolejce do badań przed prawdziwym gabinetem lekarskim. Odbywało się to z należytą powagą. Pojedynczo wprowadzany pierwszokursista miał mierzony wzrost, wagę, wzrok, słuch, a następnie klejnoty rodzinne - zapisywane to było w specjalnej ewidencji. Jedni otrzymywali ocenę pozytywną, inni zostali pouczeni, że muszą pracować nad poprawą swej kondycji, bo mogą mieć kłopoty w życiu rodzinnym. Niektórzy brali te badania serio. Dopiero, gdy po kilku dniach rozpoznali przebranych lekarzy jako kolegów z wyższego kursu, byli ubawieni lub wściekli. Wiele takich kawałów przeszło do historii czernichowskiej uczelni. Pięknisie i eleganciki, do których należał niewątpliwie kolega Adam Suchecki, stosowali z upodobaniem znakomite angielskie wody kolońskie. Mogli się czasem przekonać, że butelka została zamieniona, a płyn, który znajdował się w takiej samej zastępczej butelce ani z zapachu ani z działania nie był pachnidłem, a wręcz czymś mocno odwrotnym.

Wielu dobrze sytuowanych kolegów z ziemiańskich domów uprawiało chętnie gry hazardowe. Grywało się zwykle w bacarata czy pokera. Widziałem też dobrze zorganizowaną ruletę z krupierem wyrażającym się poprawną francuszczyzną. Jeden z naszych kolegów, były marynarz, zawsze wygrywał w pokera - później nie znajdował chętnych do gry, bo oszukiwał. Niektórzy byli bardzo lekkomyślni. Młody Tomek S. z Lubelskiego potrafił przegrać w karty ubranie, buty, walizki - wracał do domu jednak bez trwogi; może to była tradycja rodzinna? Urządzaliśmy często loterie fantowe. Np. ktoś miał wysokie buty do sprzedania, stawiał za wysoko cenę i kupca nie było. Chciał otrzymać np. 600 zł, wypisywał więc 200 losów po 3 zł i wciągu kilku dni łatwo tę ilość losów rozprowadził. Zadowolony był wygrywający i organizator.

Wiem, że w r. 1943 została dobrze zorganizowana na terenie Czernichowa komórka AK. Działał w niej nasz kolega Bogusław Nowakowski.

Czerwiec w r. 42 upamiętnił mi się małą pływacką przygodą. Woda w Wiśle była wówczas jeszcze względnie czysta, pływaliśmy przy każdej okazji. Ćwiczyliśmy nurkowanie pod galarem do przewozu węgla. Długość galara wynosi ok. 60 m., szerokość prawie 20 m. Początkowo nurkowaliśmy obok galara, aby dokładnie poznać swoje możliwości. Gdy przepłynięcie 20 m. pod wodą nie sprawiało trudności, robiliśmy zwykle zakłady, kto przepłynie nurkiem pod galarem. Płynąłem pod galarem ok. 2 m. od skraju. Gdy dopływałem do końca galara i widziałem, że robi się w wodzie jaśniej, poczułem silne ukłucie i ból między prawą łopatką a kręgosłupem. Po wyjściu z wody koledzy ujrzeli głęboką ranę od gwoździa, który wystawał z dna

galara - wynurzałem się zbyt blisko. Nigdy więcej nie popełniłem tego błędu. (Sztuka długiego nurkowania przydała mi się później, gdy zdawałem egzamin na ratownika w krakowskiej pływalni YMKA, czyli w MDK, u znanego instruktora, p. Wacława Kowalskiego, i byłem ratownikiem pływakim w latach 50-tych).

Pędzel do golenia

We wrześniu 1943 r., po ukończeniu Szkoły Rolniczej w Czernichowie, pracowałem jako praktykant rolny w majątku Jeleniów w Paśmie Gór Świętokrzyskich. Miałem 21 lat i wielką radość z poznawania świata i ludzi. Główny plenipotent majątku, inżynier Kraczkiewicz z Warszawy, mieszkał z żoną i teściową w wygodnej oficynie. Teściowa, pochodząca ze znanej malarzkiej rodziny Suchodolskich, wyszła powtórnie za mąż za popularnego jeźdźca, porucznika Latawca, który zginął w czasie wojny. W majątku był piękny park, a w nim dziwny dwór zwany pałacem - wysoki na ok. 7 m budynek przerobiony z dawnego zboru ariańskiego. Poprzednio dom był zamieszkały przez właściciela majątku, pana Konarskiego. W roku 1940 majątek został przejęty przez Niemców i darowany pilotowi za zbombardowanie Kurowa. Młody pilot był tu kilkakrotnie i sprowadził rodziców z Niemiec, którzy szybko umarli; pilot zaś zginął na froncie. Od tego czasu rozeszła się pogłoska, że w pałacu straszą duchy. Stał pusty, więc urządzono w nim magazyn zboża. Wielkie pokoje na dole miały piękne posadzki, na ścianach wisiały obrazy, dobre reprodukcje Brandta i Chełmońskiego. Na pięterku były 4 pokoje gościnne i łazienka. Otrzymałem pokój koło łazienki; urządziłem się przyjemnie przynosząc dwa fotele, tapczan i obraz Brandta "Kozacy na stepie". Obowiązkiem praktykanta był dozór przy karmieniu koni i dojeniu bydła. Wstawałem normalnie o czwartej, potem był objazd pól i kontrola wykonanych poprzedniego dnia prac, sprawozdanie u głównego plenipotenta, a następnie zaplanowanie i wykonanie kolejnych zadań oraz dozór prac polowych. Cały dzień spędzałem poza domem. W niedzielę odwiedzało się sąsiednie majątki.

Od października zaczęły nadchodzić wieści o bandyckich napadach i gwałtach. Zdarzyło się to już poprzednio w Waśniowie w roku 40, gdzie zginął pan Wincenty Reklewski z Mirogonowic. Zamordowano również jego córkę, panią Rauszer, w Grzegorzowicach. Tym razem wieść przyszła z niedalekiego Wronowa, gdzie zgwałcili młodą właścicielkę, panią Różę Reklewską, i zabili jej męża. Znałem dobrze tę rodzinę, bo przyjaźniłem się z młodszym bratem Róży, Rysiem Ośniałowskim z Chocimowa. (Ryś, a właściwie Marian, był zdolnym poetą. Pisał wiersze i bardzo udane teksty

piosenek, później, w latach 50tych dla Jana Pietrzaka. Popęłił samobójstwo w 1957 r. w Paryżu). Raz, podczas księżycowej październikowej nocy, usłyszałem gwałtowne łomotanie do frontowych drzwi "pałacu" - były dobrze zabezpieczone żelazną sztabą. Duże okna na dole miały okiennice zamknięte na specjalne uchwyty, ale nie stanowiły wielkich trudności do ich wyważenia. Tą drogą dostali się rabusie do "pałacu". Mój pokój znajdował się na górze, ale w ciszy nocnej wyraźnie słyszałem zachowanie się nieproszonych gości - byli wyraźnie rozczarowani, gdy zobaczyli w dawnych pokojach po prostu zboże jak w spichlerzu. Na górze - jak wspominałem - znajdowały się 4 gościnne pokoje i łazienka - spałem w ostatnim. Rabusie zaczęli wyważać drzwi, pokoje były oczywiście puste. Już zrezygnowani mieli zaprzestać, uważając, że dom jest niezamieszkały, gdy nagle usłyszałem radosny okrzyk: "Ktoś tu jest, patrzcie, pędzel do golenia; jeszcze mokry". Teraz, gdy łotali do moich drzwi, udałem, że się budzę i szybko otworzyłem. W świetle latarki elektrycznej ujrzałem czterech uzbrojonych w obcięte karabiny. Jeden przyłożył mi lufę do piersi i z radością i ulgą wykrzyknął: "Nie boisz się tu sam mieszkać? Kim jesteś? Co tu robisz?" Pierwszym moim wrażeniem nie był strach, a odczucie jakby zadowolenia, że ci ludzie wyrazili pewien podziw dla mnie. Wyjaśniłem im spokojnie, że pracuję tu jako praktykant rolny. Nie ograbili mnie nawet z butów, ale szybko kazali się prowadzić do właściciela lub plenipotentą. Szliśmy piękną aleją parkową, liście szeleściły, czułem zimną lufę, tym razem przy kręgosłupie. Na piżamę narzuciłem jakieś okrycie. Plenipotent mieszkał ok. 100 m. od "pałacu" w obszernej oficynie. Było już chyba po drugiej, gdy zapukałem - zaspany i zdumiony otworzył. Był przerażony gośćmi, których mu przyprowadziłem. Największy strach ujrzałem w oczach jego młodej, atrakcyjnej żony, która w przeźroczyściej koszuli wyglądała bardzo interesująco. Bandyci pozwolili mi odejść. Rano dowiedziałem się, że inżynier Kraczkiewicz został ograbiony z pieniędzy, drobnych kosztowności, a przede wszystkim z butów i okryć. Powiedział, że to moja wina i nie powinienem przyprowadzać ich do niego. Zapytałem, co uczyniłby na moim miejscu. Nie otrzymałem odpowiedzi. W kilka tygodni później dostałem oficjalne wypowiedzenie.

Malowniczą postacią był wtedy w Jeleniowie pan Karol Gron. Sprawował funkcję zastępcy szefa. Wysoki, przystojny, zawsze radosny i pewny siebie nosił cholewy z czerwonymi wszywkami do wewnątrz. Urodzony warszawiak, używał języka raczej frywolno-wulgarnego; specjalnie wyżywał się, gdy np. do zbioru buraków cukrowych przychodziły wiejskie kobiety. Pan rządca - bo tak był tytułowany - dawał lekcję poglądową, jak należy prawidłowo obcinać buraki. Brał do ręki źle obcięty burak i głosił profesorskim tonem: "Taki to możecie sobie do d... wsadzić", potem pokazywał, jak należy prawidłowo obcinać. Na twarzach tych kobiet widziałem

jakby zażenowanie i wstyd z prostackiej mowy pana rządcy. Ludzi cechowała wtedy większa delikatność w słowach niż obecnie. Pamiętam inny mały fakt. Do sprzątanego mego pokoju w "pałacu" była przeznaczona 18-letnia ładna dziewczyna z folwarku. Oczywiście sprzątanie odbywało się rano w czasie mojej nieobecności. Raz jednak spotkałem dwie dziewczyny, które opuszczały mój pokój. Zapytane, czemu aż dwie muszą tu sprzątać, odrzekły, jedna boi się tu przychodzić sama. Pytam: "Czy ja jestem taki straszny?", "Nie - odrzekły - ale duchy w pałacu".

Posiadałem wtedy duży wybór pocztówek z obrazami Juliusza, Wojciecha, Jerzego Kossaków, Michałowskiego, Chełmońskiego, Orłowskiego, Verneta, Suchodolskiego i innych twórców malujących konie. Pani Latawiec, która była miłośniczką koni, z radością te pocztówki u mnie oglądała. Raz posiedziała trochę dłużej, było już ciemno, więc prosiła, abym ją odprowadził, ba bała się samotnie iść przez park. Było wietrzno, więc przytuliła się do mnie i rzekła: "Podoba mi się ten zbiór obrazów z końmi, ale nie przypuszczałam, że ma pan tak mało doświadczenia". Nie zrozumiałem wtedy, co miała na myśli. Była to 40-letnia, szczupła, dystygowana dama.

Do bliskich sąsiadów Jeleniowa należała pani Krystyna Jaglińska z Garbacza. Tam w poprzednim roku, w czasie napadu na Garbacz, bandyci zabili pana Stanisława Szembeka z Poznańskiego, uroczego człowieka. Cała okoliczna ludność uczestniczyła w pogrzebie potępiając morderców z komunizujących się band. Właściciel majątku Gołoszyce, pan Dembiński, stworzył ze swego domu twierdzę. Otoczył park murem, sprowadził z Warszawy sześciu czy ośmiu uzbrojonych z AK, którzy nie dopuścili do żadnego napadu, mimo wielokrotnych prób ze strony bandytów.

Wyróżniającą się wówczas postacią w tych stronach był profesor z Warszawy, pan W. Pytkowski z Nagorzyc. Urządzał często wykłady dla młodych rolników, którzy prowadzili okoliczne duże gospodarstwa. Jego pozytywna działalność dawała widoczne wyniki. Po 1945 roku wrócił do Warszawy na uniwersytet.

Obok Garbacza był również piękny dwór pana Horocha w Boksycach. Dwóch jego synów walczyło z okupantem. Młodszy, Mieczysław, był znany z brawurowej ucieczki z niemieckiego transportu do Rzeszy, starszy natomiast z przymusowego poślubienia, tuż przed wojną, córki znanego generała Fabrycego.

Majątek Chocimów należał do rodziny Ośniałowskich. Przodkowie ich zapisali piękną kartę w wojnach napoleońskich. Pani Maria Ośniałowska, drobna, szczupła, jeździła konno z niezwykłą brawurą. Jeden z jej prawników jest obecnie dyrektorem stadniny wzorem swego ojca, inżyniera Tomaszewskiego z Łącka.

Pamiętam z tamtych lat ogromnie interesującą rozmowę o autorze Ferdydurke, Gombrowiczu. Było to w roku 1940 w majątku Łomno należącego do Ignacego Kotkowskiego. Gombrowicz był blisko spokrewniony z tą rodziną, ale miał tu opinię nieudacznika i dziwaka, twórczość jego była równie niezrozumiała.

Komentowaliśmy również wielokrotnie przepowiednie królowej Saby - kto przypuszczał, że tym namiestnikiem z Krakowa będzie Karol Wojtyła, obecny papież.

Pławowice

Po opuszczeniu Jeleniowa odwiedziłem moją siostrę w Krakowie, która mieszkała tu po wyjściu za mąż za inżyniera elektryka, Juliusza Treutlera. Spotkałem u niego pana Formańskiego, który elektryfikował właśnie majątek Pławowice należący do Ludwika Hieronima Morstina. Pan Formański był administratorem Pławowic, bardzo obrotny warszawiak, dobry organizator. Zaproponował od zaraz mi pracę w Pławowicach. Był luty 1944. Pan Formański zrobił wtedy zakład z moim szwagrem, że wojna skończy się w tym roku - przegrany miał dać konia. Od połowy lutego pracowałem już w Pławowicach.

Pałac w Pławowicach, znany był wielu literatom polskim, a specjalnie panu Zinowi, który przeniósł po roku 45 dwa lwy z bramy wjazdowej z Pławowic i umieścił je obok wieży koło Sukiennic na rynku w Krakowie. Poznałem tu wtedy ogromnie ciekawe towarzystwo literacko-aktorskie. Ukrywał się przed Niemcami przyjaciel domu, Arnold Szyfman, dyrektor teatrów z Warszawy. Wtedy nie domyślałem się nawet, że pani domu, Nina Morstinowa, znana z tego, że jej profil ozdabiał polskie przedwojenne srebrne 2, 5 i 10-cio złotych, była kiedyś ukochaną pana A. Szyfmana. Mieszkałem w małej oficynie ze znanym łódzkim poetą, Marianem Piechałem. Niebywale dowcipny, ale i często złośliwy. W Pławowicach był zwyczaj, że przed każdym obiadem, do którego siadało codziennie ok. 35 osób, hrabia Morstin zapraszał wszystkich chętnych mężczyzn na małą przekąskę i ulubiony jego alkohol z jałowca. Przy takich okazjach Marian Piechał chętnie cytował to, co aktualnie pisał. Np. satyra na samochwałę:

"Przed wojną - mówił - był wielkim panem, tuczył się mięsem, poił szampanem. Miałem - wywodził - liczne pokoje, przepyszne meble, bogate stroje. Miałem aplauzy na salach tańca, miałem pochwały Bractwa Różańca. Miałem tych, co w senacie siedzieli, miałem syfilis krwi - po kądzieli. Miałem w Savoju echt-separatkę, miałem rozwódkę, wdowę, mężatkę. Miałem sygnety i złote ręce, miałem bieżącą wodę w łazience. (...)

"Miałem" ciągnęło się przez cztery strony, zakończenie zaś było takie:

Miałem wazonik z kwiatem na słupie,
a ty co miałaś? Miałem cię w d... "

Utwór ten był drukowany w latach 50-tych w pismach satyrycznych PRL. Urywki innego jeszcze utworu:

Czy nie męczy cię gwiazda, co bez przerwy mruga?
Z jakiego materiału wariatów się struga?
Ile stopni Celsjusza ma miłość gorąca?
Czy można się właściwie rozmnażać bez końca?
Czy można użyć zegar do bicia śmietany?
Czy ten, kto jest bez pasa, to jest rozpasany?
(Czy koń bez uzdy też jest wyuzdany?)
Czemu zdanie przeciwne, to już zaraz bzdura?
Czy aniołowie w skrzydłach mają wieczne pióra?
Czy to boli, jak komuś przyprawiają rogi?
Dlaczego stu nóg nie mają stonogi?

Piękny majowy dzień 1944 roku. Poeta Piechal kroczy dostojnie przez podwórze. W jednej chwili wypada z zagrody duży baran i uderza uzbrojonym łbem dokładnie w pośladek poety, który wykonuje klasyczne salto i ląduje bez uszkodzeń o kilka metrów dalej. Było nas trzech świadków: kowal Mróz, furman Woźniak i ja. Nie wątpię, że było to jedyne niezamierzone salto wykonane przez poetę w jego życiu. Widok spowodował obok początkowo małego przerażenia gromki wybuch śmiechu. Poetę Piechala spotkałem potem w Szczecinie w roku 1947 na wieczorze zorganizowanym na cześć jego twórczości. Zapisany został w literaturze PRL jako postępowy i prorządowy.

Przyjeżdżał z Krakowa znany satyryk Fijas, który lubił towarzystwo, ale przede wszystkim alkohol, którego tu nie brakowało, specjalnie u doktora Ciszaka. Mieszkał on w sąsiednim folwarku i miał niewątpliwy talent w uzdrawianiu chorych.

Wydarzeniem, które głęboko mi utkwilo w pamięci, był nalot na Brzesko Nowe leżące 4 km od Pławowic. W lipcu, gdy działania partyzanckie specjalnie się nasiliły, jakaś grupa ostrzelała koło Brzeska Nowego samochód wiozący kilku oficerów niemieckich. W dwie godziny później przyleciał z Krakowa Storch i rzucił kilka bomb na rynek, gdzie właśnie był dzień targowy. W tym dniu pani Morstinowa miała wrócić z Krakowa, gdzie czę-

sto przebywała u rodziny. Poszedłem do Brzeska, aby ją w razie czego poprowadzić inną drogą. Nigdy nie zapomnę tragicznego widoku: wielu zabitych leżało z otwartymi czaszkami. Okropne wrażenie robi otwarty mózg i wnętrzności. Miasto było puste, tylko kilku przygodnych rabusiów wynosiło spirytus z magazynów. Po godzinie nadjechała pani Morstin i zabrałem się z nią do Pławowic. Opowiadała o swoim ulubionym furmanie Woźniaku, który zawsze właściwie dostarczał listy adresowane do licznych znajomych i rodziny w Krakowie. Dla każdego czytającego było to proste, ale Woźniak był całkowitym analfabetą - jak on to robił, było jego tajemnicą.

Udział w A. K.

Wypadki wojenno-polityczne następowały w lipcu 44 r. z olbrzymią szybkością. Wszyscy młodzi i odważni znaleźli się w partyzantce. Najbliższy oddział był we wsi Wielgus odległej o kilkanaście kilometrów. Pewnej nocy podjąłem decyzję. Napisałem pożegnalno-wyjaśniający list, przypiąłem do ściany kartkę: "Tu mieszkał bez troski Wojciech Wietrzykowski" i wyprowadziłem ze stajni upatrzonego konia. O ile ta karteczka przysporzyła mi trochę popularności (dzięki pani Morstinowej), to wybór konia okazał się raczej fatalny. Był to "przystojny" kasztan z foremną łysiną, wytrzymały i sprawny, ale nie pozwalał na siebie normalnie wsiadać. Musiałem na niego szybko wskakiwać, co nie w każdej sytuacji było łatwe. Do wsi Wielgus dotarłem po dwóch godzinach i zakwaterowałem się u gospodarza pod lasem. Rano wskoczyłem na mego wierzchowca chcąc zameldować mój akces do grupy, której dowódcą był znany mi "Pszczółka". Wtedy to z lasu wyjechał na motocyklu również partyzant Franek Postawka, później wielokrotny obok Zasady samochodowy mistrz Polski. Koń przestraszył się, stanął dęba i upadł wraz ze mną. Straciłem przytomność. Motocyklista zawiadomił natychmiast dowódcę grupy. Ocucili mnie amoniakiem i zabrali do siebie. Czułem mocny ból głowy i oczu, miałem mdłości, leżałem kilka godzin. Miejscowy felczer stwierdził wstrząs mózgu i polecił, abym leżał w ciemnym pomieszczeniu. "Pszczółka", który znał pana Formańskiego, zatelefonował, aby po mnie przyjechał. Zjawił się po kilku godzinach, zabrał konia, ja odmówiłem powrotu, chociaż czułem się fatalnie fizycznie i psychicznie. Gdy skutki wstrząsu mózgu minęły, zostałem dołączony do grupy Brzozy II, która zginęła prawie w całości w znanej sierpniowej bitwie z czołgiem niemieckim pod Skalbierzem. Ocalił się chyba jeden Boguś Imiela. Na kilka dni przed tą bitwą przyjechał do oddziału Brzozy. Porucznik Jastrząb (Roman Byszewski, przyrodni brat Władysława) i Józio Deskur (brat Andrzeja Deskura, obecnego kardynała w Rzy-

mie) pytali, czy ktoś z grupy dobrze jeździ konno i zna okolice, bo potrzebują konnego kuriera do grupy "Tysiaca". Angażując mnie nie przeczuwali, że uratowali mi życie.

Nową moją kwaterą był Sancygniów, majątek rodziców Józefa, Andrzeja i Stanisława Deskura, późniejszego znawcy i naukowca w hodowli koni w Instytucie Rolnictwa w Balicach, autora cenionych prac w fachowych pismach krajowych i zagranicznych. Z Sancygniowa odbywałem długie rajdy po 50-70 km co dla konia było dużym wysiłkiem. Wozłem szyfrowane depesze do dowódców innych partyzanckich oddziałów. Raz miałem dłuższą rozmowę z Moczarem, o którym Franek Postawka miał skrajnie negatywną opinię. Jeździł również jako kurier Michał Śląski, mój gimnazjalny kolega z Kielc. Wiele lat potem śpiewał on w operze w Bytomiu. W tym czasie utworzono Rzeczpospolitą Kaźmiersko-Pińczowską, która przetrwała dwa tygodnie wolna od Niemców. Ruch partyzancki po upadku powstania w Warszawie stracił swą żywiołowość i większość młodzieży wróciła do domów. Smutny był koniec roku 1944. Wróciłem do rodzinnego Brzezia.

* * *

Styczeń 1945 dał nam rzekomą wolność przyniesioną na bagnietach i czołgach Armii Czerwonej. Tylko nieliczni cieszyli się rzeczywiście. Wszyscy starsi, którzy przeżyli I wojnę i najazd bolszewicki w roku 1920, bardzo sceptycznie patrzyli w nadchodzącą przyszłość. Gdy Sowietci szli na zachód, postanowiliśmy iść do Lublina: Maciej i Józef Bojanowscy, moi kuzyni z poznańskiego i ja. Opuściliśmy Starachowice pełne trupów żołnierzy z Hitlerjugend - dosłownie leżały ich stosy. Piechotą dotarliśmy do Sandomierza, następnie okazyjnym samochodem ciężarowym do Rozwadowa. Tu nocując u przygodnie poznanego kolejarza, miałem komiczną przygodę. Spaliśmy całkowicie ubrani. W nocy myszy zjadły mój szalik. Czulem przez sen jakieś łaskotania na szyi, ale dopiero rano ujrzałem zamiast modnego szalika w pepitek same dziury. Z Rozwadowa dotarliśmy do Lublina już koleją. Mieszkała tu moja ciotka, Zonia Woyciechowska, która opuściła już wcześniej majątek Kanie. Sowietci panowali tu od czerwca (lipca) 1944 r. Lublin był miastem nowego rządu, przepełniony do granic możliwości. Po wielu godzinach bezskutecznych dopytywać o adres mej ciotki, zrezygnowany odpoczywałem w małej herbaciarni. Wynajęcie noclegu przekraczało moje możliwości finansowe. Zbliżał się wieczór, gdy do cukierenki wszedł nagle Maciej Woyciechowski, syn mej poszukiwanej ciotki.

Zdziwienie połączone z radością to bardzo przyjemne uczucie.

Do kwietnia 45 r. mieszkałem u mej gościnnej ciotki Zoni. Pracowałem dorywczo w firmie Buszczyński jako kontrahent od buraków nasienych. W kwietniu zatrudnił mnie inżynier Stanisław Schuch, przygodnie poznany u Buszczyńskiego. Pełnił funkcję głównego organizatora hodowli koni. Otrzymałem nominację na zootechnika stadniny koni w Racocie, powiat Kościan. Jechałem do Poznania nocą, pociąg stawał często, jakieś samoloty nad nim krążyły, dojechaliśmy jednak szczęśliwie do celu. Racot ujrzałem w kwietniowym słońcu. Był to piękny obiekt na ok. 1000 koni. Olbrzymie stajnie, padoki, wybiegi, tory do wyścigów. Było tu widać dobrą organizację niemieckich gospodarzy. Dyrektorem stadniny był wtedy Stefan Alexandrowicz, zdolny organizator, człowiek z wielką fantazją, ale despota. Potrafił w czasie zgromadzenia podwładnych tak przemówić z odpowiednią intonacją i krzykiem, tak zmieszać z błotem tych rzekomo źle pracujących, że błąd strach rodził się nawet w najbardziej niewinnych sercach. Było nas trzech zootechników: Jacek Droste z Uchorowa, Hubert Wroński, a właściwie Stanisław Wolański, późniejszy autor wielu interesujących artykułów w "Koniu Polskim" i ja. W kancelarii pracował Tadzio Nabiańczyk z Białki. Pięknie pisał końskie rodowody i znał je wyjątkowo. Materiał zarodowy do powstającej stadniny był dostarczany z sąsiednich majątków, w których hodowla koni stała wysoko. Pamiętam, jak prowadziłem roczniaki i dwulatki z Parzęczewa i Wielichowa. Mimo fachowej opieki masztelerzy i młodszych stajennych były dwa wypadki ucieczki młodych klaczy po rasowym Kartaczu z Parzęczewa. W kilka miesięcy później spotkałem je w okolicy Gryżyny. Właściciel miał znakomicie podrobione rodowody tych koni. Odkryliśmy później specjalistę fałszerza wśród starych, zaufanych pracowników stadniny. Niskie uposażenie zmuszały porządnych ludzi do nielegalnych źródeł dochodu. Gdy stadnina w Racocie liczyła ok. 1000 sztuk, mieliśmy już spokojniejszą pracę. Ewidencja, opieka weterynaryjna, treningi poranne wielu koni, wymagały znakomitej kondycji jeździeckiej. Jacek Droste, o słabszym zdrowiu, przeszedł do prac kancelaryjnych.

Często bywało w Racocie "naczalstwo" z Warszawy. Profesor Witold Pruski, inżynier Stanisław Schuch, generał Bukojemski. Ten ostatni potrafił korzystać z gościnnego pokoju pałacu tygodniami, tak kochał konie. Wybitnym znawcą i hodowcą koni był inżynier Stanisław Hay, wysoki, szczupły, opanowany, o obyciu angielskiego lorda, wieloletni dyrektor Białki i Sierakowa. Cieszył się olbrzymią sympatią otoczenia, oczywiście również u dam. Pracował tu również hodowca z Surhowa w Lubelskiem, pan Skolimowski. Trener Stanisław Kowalski, malutki ex-dzokej z czasów carskich z Moskwy i Carskiego Sioła, miał dar opowiadania, a znał wielu ciekawych ludzi i wszystkich zwycięzców Derby z ostatnich 30-tu lat. Słuchaliśmy go chętnie. Do ulubionych jego wspomnień należały zakłady, jakie robił po

wyścigach. Właściciel zwycięskiego konia, jego trener i dżokej wieczorem ucztowali w znanej moskiewskiej restauracji. Pan Stanisław umawiał się z dorożkarzem, aby czekał na niego, aż on wyjdzie po kolacji i go wynajmie. Dawał mu zawsze rubla zadatku i obiecywał dobry kurs. Umówiony fiaker miał stać zawsze pierwszy. Towarzystwo często wychodziło między pierwszą a trzecią. Posiadacze koni, jak baron Kronenberg, Łazariew i inni, mieli zwyczaj robić między sobą zakłady: Jaki numer ma dorożka czekająca przed restauracją? Zakłady były wysokie, od 20 do 50 rubli. Gdy pan Stanisław Kowalski uczestniczył w tych zakładach, zawsze był pewny wygranej.

W Racocie życie było barwne, ale niebezpieczne. Samochód dyrektora Alexandrowicza został raz niebezpiecznie ostrzelany przez zamachowców, którym nie podobał się despotyczny sposób jego bycia. Dobry kierowca zdołał jednak uciec.

* * *

Za przykładem Jacka Droste postanowiłem studiować w Poznaniu Akademię Handlową, niestety nie miałem tu możliwości takich jak on. Jego rodzice zapewniali mu studia i normalną egzystencję, mieszkali bowiem w Poznaniu. Znalazłem więc stosunkowo dobrze płatną pracę w Spółdzielni Zbytu Zwierząt w Bydgoszczy, Oddział Chojnice. Moim zadaniem był skup krów przeznaczonych dla wojska. Obracałem dużą gotówką i otrzymywałem dobry procent od każdej zakupionej sztuki. Chciałem zbierać trochę pieniędzy i dalej studiować.

Raz w Bydgoszczy, w pięknej restauracji Hotelu pod Orłem, wydarzył mi się niebezpieczny fakt. Z poznaną poprzednio młodą piosenkarką, Reną T., jedliśmy raczej wystawną kolację. Przy płaceniu rachunku zauważyłem, że jestem pilnie obserwowany przez dwóch niby żandarmów z ludowego wojska. Było już po pierwszej. Szliśmy ul. Królowej Jadwigi, na końcu której mieszkała u rodziców moja znajoma. Ulica raczej była pusta wśród drzew i ogródków działkowych. Podeszli z tyłu ci "żandarmi", odprawili moją towarzyszkę, zaczekali, aż odejdzie ze sto kroków, a potem zażądali pieniędzy. Miałem przy sobie może 20 czy 30 tysięcy ówczesnych pieniędzy, co przy pensjach ok. 2 tys. było dużą sumą. Rozpiąłem płaszcz i udając, że sięgam w zanadrze po portfel, pchnąłem mocno żołnierza, jednocześnie podkładając mu nogę. Upadł temu drugiemu pod nogi. Podjąłem szaleńczą ucieczkę za niewidoczną już piosenkarką. Po jakiejś chwili bzykały mi kule z pepeszy. Nie wiem, czy nie chcieli mnie trafić, czy ciemność i mój szybki bieg pozwoliły mi się oddalić na bezpieczną odległość. W szkole byłem czołowym sprinterem, a strach pomaga. Tym razem mi się udało. Może w dwa

tygodnie później, idąc przez Rynek Wełniany w Bydgoszczy, zostałem zatrzymany przez UB. Było to niedaleko Hotelu pod Orłem. Zostałem dokładnie zrewidowany, wszystko, co miałem przy sobie położyli na stole i zaczęło się przesłuchanie. Posadzono mnie, że jestem z Warszawy, że byłem tam w AK i działałem na szkodę władz ludowych. Oczywiście nie było w tym słowa prawdy. Łatwo im udowodniłem, że nie znam Warszawy, że całe moje życie spędziłem na wsi w Świętokrzyskich Górach, skąd pochodziłem i miałem na to wszystko dowody. Wtedy zapytali, skąd mam pieniądze na kolację. Uratował mnie dokument wystawiony przez moją Spółdzielnię, iż taki a taki ma prawo kupować zwierzęta na rachunkach tej Spółdzielni i wszystkie władze cywilne i wojskowe proszone są o udzielenie wyżej wymienionemu pomocy. W czasie przesłuchania byłem obserwowany przez dwóch żołnierzy. Jeden wydał mi się tym, przed którym wtedy w nocy uciekałem. Przy zwolnieniu mnie musiałem podpisać dokument, że zatrzymam w tajemnicy fakt zatrzymania i przesłuchiwania przez UB. Pracę w Chojnicach zakończyłem w lipcu 1946 r.

W tymże miesiącu przybyłem do Szczecina, gdzie miała być utworzona Akademia Handlowa z Wydziałem Zagranicznym. Bardzo mnie to interesowało, bo już zaczęła mnie nurtować myśl ucieczki z PRL.

Szczecin

W styczniu 1947 roku, w dniu, w którym odbywały się tzw. "wolne wybory", na PPR głosowało się mając nr 3, a na PSL nr 19. Każdy uprawniony do głosowania mógł zaopatrzyć się w kartę z potrzebnym numerem wycinając ją z gazety. Trzech moich akademickich kolegów i ja zamierzaliśmy oddać głos na PSL Mikołajczyka. Idąc ulicą Pomorską w Szczecinie w pobliżu Placu Wojska Polskiego, zwanego wtedy "placem sztywnych", bowiem był tam tymczasowy cmentarzyk żołnierzy sowieckich, zostaliśmy nagle otoczeni przez kilku funkcjonariuszy UB, zaprowadzeni do ich pobliskiej placówki i zamknięci. Było to po 9-tej. Okazało się, że Ubowcy usłyszeli naszą głośną rozmowę, następnie, po rewizji i znalezieniu przy nas kartek z numerem 19, wina była udowodniona. Przesiedzieliśmy w prowizorycznym zamknięciu, a właściwie przestali całą dobę, bowiem w pomieszczeniu 4x4 m. znajdowała się tak duża ilość ludzi, że każde poruszenie się było ograniczone. W zamknięciu tym znajdowali się studenci i inni posiadacze kart nr 19, ale również różni kryminaliści, pijacy i inni zatrzymani za czyny rzekomo przestępcze. Wolno było palić, więc zaduch panował okropny. Nie wszyscy pozwalali uchylić zakratowane okienko. Jeden z uwięzionych dostawał co jakiś czas szoku i wydawał nie artykułowane

dźwięki przypominające goryle pomruki, a przy tym wydzielał mocno nieprzyjemną woń. Otrzymaliśmy wieczorem wodniste kluski. O warunkach sanitarnych wołę nie wspominać. Po nocy spędzonej na rozmyślaniach, co mogą z nami zrobić, zostaliśmy posegregowani na politycznych i kryminalistów. Polityczni pod uzbrojoną eskortą udali się do siedziby WRN. Tu rozpoczęło się długie, wnikliwe przesłuchanie. Młodzi i nawet inteligentni (dwóch z nich należało do rasy semickiej) ogromnie byli zdziwieni, że studenci chcą głosować na inną partię niż PPR. Usłyszeliśmy długi wykład o zasługach PPR, o Leninie, Stalinie, o świetlanej przyszłości i dobrobycie, który przyjdzie do nas z ZSRR. Miałem już wtedy całkowicie odmienne zapatrywanie na porządki, jakie przynosił nam sowiecki raj. [Rodzina mej ciotki Wolmanowej mieszkała na Krymie do rewolucji 1917 r. i wszyscy jej członkowie przeszli przez doświadczenia, jakie przygotowywali radzieckiemu społeczeństwu Lenin i Dzierżyński. Moja ciotka do śmierci ze zgrozą wspominała te okrutne lata, gdy masowo mordowano niewinnych]. Zostaliśmy zaewidencjonowani jako politycznie podejrzani i około 14-tej następnego dnia, po odbytych "wolnych wyborach", zwolnieni. W jakim stopniu styczniowe wybory zostały sfalszowane, było tajemnicą PPR.

W kilka miesięcy potem spotkałem na ulicy dobrego znajomego Vogla, mego rówieśnika z Poznania. Miał brata bliźniaka, identycznego. Obydwaj usiłowali nielegalnie przedostać się na Zachód, zostali jednak na granicy schwytani. Jak obchodzono się z nimi w więzieniu, świadczyły ślady pobicia na całym ciele i brak zębów. Wybito mu po prostu z głowy chęć emigracji. W ankietach personalnych nie można się było przyznać do krewnych mieszkających na Zachodzie. Psychiczny terror pomału wciskał się w nasze życie.

Upalne czerwcowe dni po wykładach studenci chętnie spędzali na niedaleko położonym jeziorze Głębokie. Była tam wieża do skoków - ładnie zagospodarowane poniemieckie kąpielisko z pomostami. Po egzaminach maturalnych kilku młodych grało na takim pomoście w karty. Siedziałem na sąsiednim pomoście i zauważyłem, jak jeden z karciarzy zawołał: "Jak zagrałeś, Marian?" i pchnął go z żartów do wody. Chłopiec nie wypłynął. Po dłuższej chwili przybiegł ratownik i natychmiast dał nurka. Gdy wypłynął, stwierdził, że chłopiec leży tuż przy słupie pomostu, ale nie może go sam wyciągnąć. Głębokość wynosiła około 5 metrów. Pomogłem mu szybko wyciągnąć ofiarę na pomost, przystąpiliśmy do sztucznego oddychania, które nie dało rezultatu. Przywołany lekarz, który znalazł się wśród plażowiczów, po przebadaniu stwierdził zgon z powodu ataku serca. Tragiczna śmierć Mariana Golonki, młodego maturzysty, była ostrzeżeniem dla lekkomyślnego obcowania z wodą. Więcej niż pół godziny trwała martwa cisza na kąpielisku i nie było chętnych do pływania. Potem wszystko wróciło do normy.

Studenci próbowali na kąpielisku przygotowywać się do egzaminów, kilku moich kolegów zawarło bardzo miłą znajomość z aktorkami ze szczecińskiego teatru, które chętnie pomagały im w nauce. Jedna z nich została w parę dni później zamordowana w Lasku Arkońskich w niewyjaśnionych okolicznościach.

Na uczelni szczecińskiej mieliśmy kilku wybitnych wykładowców. Byli to profesorowie z Poznania, którzy dojeżdżali regularnie do Akademii Handlowej w Szczecinie. Profesor Florian Barciński pochodził ze Skarżyska. Miał dar przedstawiania zawiłych problemów gospodarczych w taki sposób, że pełna sala słuchaczy nagradzała jego wykłady burzą oklasków. Wykładał geografię gospodarczą. Nigdy w życiu później nie spotkałem się z tak pozytywną owacją dla wykładowcy. Profesor Józef Górski od prawa cywilnego cieszył się też dużą sympatią słuchaczy. Z czterech języków, angielskiego, niemieckiego, rosyjskiego i francuskiego, najbardziej obsadzony był angielski, który dzięki wykładowcy, magistrowi Marianowi Pi-sarkowi, stosunkowo łatwo nam przychodził. Jego wykłady to pasmo znakomitych historyjek, anegdot i ciekawych faktów z ostatniej wojny, w której uczestniczył na Zachodzie.

* * *

Od stycznia 1947 r. pracowałem w zarządzie Bratniaka Akademii Handlowej w Szczecinie. Otrzymaliśmy dla Bratniaka wagon darów z USA od miss Farley. Były to mało używane rzeczy: ubrania, płaszcze, buty itp. Po pięciu latach okupacji niektórzy pierwszy raz otrzymali np. rękawiczki. Byłem przy rozdzielaniu tych darów i widziałem ogromną zachłanność niektórych kolegów - po prostu tracili przy tym godność osobistą. Najwięcej było oczywiście rzeczy damskich. Nasze koleżanki, których był niewielki procent, miały teraz możliwość dokonania przeróżnych przeróbek, dobrze i ciepło się ubrać. Zadowoleni też byli krawcy w Szczecinie, bo mieli więcej pracy i kupowali różne ubrania na przeróbki. Po raz pierwszy zobaczyłem, jak zamożne jest społeczeństwo USA, jeżeli takie rzeczy uważa się za niepotrzebne. Wybrałem wtedy dobre kąpielówki, jakieś sandały i pojechałem służbowo do organizowania wypoczynkowych domów akademickich w Międzyzdrojach.

Jakie paczki dostarczała wtedy UNRRA dla biednych Polaków, pamiętają chyba wszyscy starsi. Było nawet znane powiedzenie, co znaczą litery UNRRA - "Ubogi naród radośnie rabuje Amerykę". Nasze domy akademickie były zaopatrzone właśnie przez paczki UNRRA. Mieliśmy tam wielki wybór środków żywnościowych, znakomicie opakowanych (przeznaczone były dla armii). Piliśmy np. gorące kakao - podpałało się lont, puszka się

nagrzewała i napój był gotowy. Rozmaitość kompotów, serów, różnych suszonych owoców też była olbrzymia. Porcje czekolady w blaszanych pudełkach stanowiły tzw. żelazną rację. Otrzymaliśmy tego dużo. Niektórzy sprzedawali do kawiarni, gdzie przyrządzano czekoladę do picia. Słyszałem o wielu wypadkach, specjalnie w Warszawie, gdzie była centrala rozdająca dary UNRRA, o wzbogaceniu się nieuczciwych pracownikach dystrybucji. Mieliśmy wtedy pod dostatkiem dobrych papierosów, takich jak Pall Mall, Camel, Lucky Strike, Chesterfield, Fillips Morris i innych, opakowanych mądrze po cztery papierosy w paczce.

Nasz szczeciński Bratniak zorganizował wtedy w Międzyzdrojach trzy piękne domy. Były puste, meble bowiem zostały wyszabrowane - jak to się popularnie mówiło - przez wcześniej od nas przybyłą okoliczną ludność. Od maja do września przebywałem w Międzyzdrojach jako organizator i pracownik Bratniaka, a później jako wczasowicz. W lipcu i sierpniu był duży napływ letników, głównie studentów. Podobne ośrodki akademickie jak nasz stworzyły uczelnie z Poznania, ze Śląska, Krakowa i Warszawy. Czynne były trzy nocne lokale: Oaza, Kanada i Europa. Nie mieliśmy środków na ekskluzywne wydatki w tych lokalach. Pamiętam, poszło nas raz, sześćoosobowe towarzystwo, na jakieś imieniny do Oazy. Ładny lokal. Miał duże kwadratowe jakby filary z lustrami. Była wśród nas koleżanka o rzucającej się w oczy urodzie, Zyta W. Jej adorator i narzeczony był nieobecny. Po pierwszym tańcu podszedł do naszego stolika przyjemnie wyglądający pan około czterdziestki, przedstawił się, powiedział, że należy do RIP, i zapytał, czy zgodzimy się, aby zatańczył z naszą koleżanką. Gdy ona wyraziła zgodę, przyjęliśmy go do towarzystwa. Zabawa potoczyła się dalej już na wyższym poziomie, jeśli chodzi o trunki, bowiem nasz nowy znajomy okazał się zamożnym właścicielem wytwórni win. Piliśmy tylko szampa. Zatrudnił mnie on potem jako akwizytora w swojej wytwórni.

Dowiedziałem się od niego, że RIP to skrót od "Resztki Inicjatywy Prywatnej". Dobrze przewidział, że RIP potrwa może rok lub dwa. Wyemigrował później na Zachód, a stamtąd do Izraela.

Mieliśmy wtedy w Międzyzdrojach trochę ryzykowny zwyczaj pływania nocą, np. po małym towarzyskim "party". Byliśmy raczej dobrymi pływakami. Raz, w czasie nocnej kąpieli, nie zauważona belka uderzyła Zdzisława W. w głowę. Był nieco oszołomiony, ale holowany przez nas dopłynął do brzegu.

W tym czasie każdy ośrodek akademicki organizował u siebie taneczne zabawy. Odwiedziliśmy w ten sposób kolegów z Krakowa, Poznania, Warszawy i Gliwic zawierając wiele znajomości (np. tam zaczęła się moja przyjaźń ze Szczepanem Kruczkiem z Krakowa trwała aż do jego śmierci, to jest przez czterdzieści lat). Ostatni wieczór taneczny organizował nasz szczeciński ośrodek. Licznie poznane koleżanki i koledzy orzekli, że najbardziej

życi, rozumiejący się i wzajemnie sobie pomagający, są właśnie studenci ze Szczecina. Było to łatwo wytłumaczalne - my nie mieliśmy podpory w domach rodzinnych, tworzyliśmy w obcym mieście nowe życie akademickie, pochodziliśmy z całej Polski, głównie z Wilna, Lwowa, Tarnowa, kieleckiego i innych miast i miasteczek. Dawne, duże ośrodki akademickie, miały swoje tradycje, ale nie były tak żyte i gotowe do udzielania sobie pomocy jak my. Oni byli dużo od nas zamożniejsi i nie zaznali często surowych warunków wojny i biedy.

Do najlepszych moich kolegów z Bratniaka należeli: Czesław Michna, syn dyrektora gimnazjum ze Zgierza, i Zdzisław Wojtasiewicz, dawny kolega z uczelni rolniczej w Czernichowie. Ci dwaj wielokrotnie pomagali mi w najróżniejszych sytuacjach. Czesława spotkałem po wielu latach. Był dyrektorem Domu Towarowego w Kłodzku. Kilku z mych kolegów zrobiło później partyjną karierę na wysokich stanowiskach jako zagraniczni radcy handlowi, np. Andrzej Onacik w Argentynie. Dyplomatą został Witold Cupała. W roku 1949 spotkałem Bolka Trofimowicza, który ocalał jako jedyny z sześciuosobowej załogi z tragicznie zatopionego jachtu "Poświt". Wiele kilometrów od brzegu urwał się kil, jacht zatonął. Załoga zaopatrzona w korkowe pasy długo walczyła o życie w zimnym Bałtyku. Po kolei tonęli wszyscy, tylko Bolek, półprzytomny, został po kilkunastu godzinach wyrzucony przez fale na brzeg. Jak to się stało, że przeżył, on sam dokładnie nie wiedział. Mówił o nadprzyrodzonych siłach, które go ocaliły - był głęboko wierzący. Zupełnie inną postacią był mieszkający jakiś czas ze mną w Bratniaku Roman K. Zawsze pogodny, przystojny brunecik, pokazywał białe zęby w uśmiechu. Ulubieniec kobiet, a zwłaszcza mężatek. Akademii Handlowej nie ukończył, zajął się natomiast z powodzeniem leczeniem chorych gdzieś na Dolnym Śląsku. Brakowało tam lekarzy, Roman miał dobre chęci, ale nie miał dyplomu. Podobno osiągał dobre wyniki, nikomu nie zaszkodził, doczekał się jednak sprawy w sądzie za nielegalne uprawianie zawodu lekarza.

* * *

Studiowało u nas kilku kolegów, byłych lotników RAF-u. Niektórzy mieli więcej niż 200 wylatanych godzin bojowych. Przyjaźniłem się z jednym z nich o nazwisku Wróbel. Raz wskakiwaliśmy do tramwaju w biegu. On wskakiwał nieostrożnie do pierwszego wagonu - przy odbiciu poślizgnął się i koła drugiego wagonu przecięły mu nogę w okolicy łydki. Widziałem równo przeciętą obnażoną kość. Powiedział wtedy: "Tyle razy byłem blisko śmierci, a teraz przez nieudany skok do tramwaju zostanę kaleką". Jednak, gdy opuścił szpital, nawet nie bardzo utykał. W szpitalu szczecińskim był wtedy znakomity chirurg, dr Arct. Miałem przyjemność

poznać go bliżej, gdy po upadku z pierwszego piętra złamałem dwa żebra. Ból był silny, ale doktor powiedział: "Miał pan dużo szczęścia, że złamane żebro nie przebiło panu płuca. Mogłyby być wtedy bardzo niebezpieczne komplikacje." Spędziłem w szpitalu kilka tygodni na sali połamańców. Pamiętam jednego pacjenta, któremu w czasie zwożenia ponemieckiego złomu zbrojeniowego jakaś lufa uwolniona z mocnej sprężyny wgniotła mostek na głębokość ok. 7 cm. Rana była niby zagojona, jednak w zagłębieniu zbierała się ropa; kości były tak uszkodzone, że ówczesna medycyna nie знаła sposobu na wyrównanie jego klatki piersiowej. Był skazany na śmierć. Nie wiedział o tym. Otrzymał specjalny, lepszy wikt i inne przywileje. Umarł w parę tygodni po moim wyjściu ze szpitala. Dr Arct był bezsilny i miał jakby żal, że nie było u nas odpowiednio wyposażonych sal chirurgicznych. Ten, dla którego nie było ratunku, miał niecałe 24 lata. Wracając do kolegów lotników, opowiadali oni o obyczajach Wyspiarzy. Np. żona pewnego poważnego pułkownika, pełniącego służbę naziemną, nawiązała romans z młodym pilotem. W czasie jednego z nalotów w Londynie została przerwana sieć telefoniczna. Pech chciał, że tego dnia żona przyjmowała przyjaciela. Wchodzi mąż i zastaje parę w łóżku, wycofuje się mówiąc: "Darling, sorry, ale telefony nie działają i nie mogłem cię uprzedzić, że dzisiaj wrócę wcześniej do domu". Anglicy pod tym względem byli zupełnie inni niż Włosi, którzy reagowali nożem lub rewolwerem. Wielu powracających do Polski miało wielkie przykrości do uwięzienia i skazania włącznie, np. znany pilot Stanisław Skalski. [O procesie pułkownika Tatara i innych w roku 50 i 51 było głośno. Dziś czyta się o tym, jak to w PRL likwidowało się najbardziej zasłużonych. Bierut, oficer NKWD, podpisywał lekką ręką wyroki śmierci, które masowo produkował Zarakowski i inni jemu podobni. Te fakty skłoniły wielu emigrantów do pozostania na obczyźnie. Opowiadali mi o tym liczni seniorzy-emigranci w USA (w roku 1991). Należał do nich poznany w Sacramento 86-letni inżynier Wesołowski, który zwiedził Europę, Amerykę Południową. W USA miał wyjątkowo usportowioną i dzielną małżonkę. Opowiadała mi ona, że w młodości była szybkobiegaczką, i tylko dzięki temu nie została zgwałcona przez Argentyńczyków, którzy na widok jasnowłosej, urodziwej kobiety tracili rozum.]

* * *

We wrześniu 1947 r. udałem się na parę dni do Warszawy. Ostatnio oglądałem ją w roku 1945. Przez te dwa lata wiele się zmieniło. Odbudowa robiła olbrzymie postępy. Odwiedzałem licznych krewnych i znajomych. Idąc przez jakiś park spotkałem siostrę mego kolegi. Była mi zupełnie obojętną, ale przywitaliśmy się ogromnie serdecznie, jak ludzie, którzy spotykają się po kilku niebezpiecznych wojennych latach. Zjawił się nagle

sprzedawca kwiatów i wręcz wymusił na mnie kupno bukietka za tak horrendalną sumę, że musiałem skrócić pobyt w Warszawie o dwa dni. Mieliśmy bardzo głupie miny, ona i ja. W Teatrze Polskim był wystawiany "Cyd" w reżyserii Arnolda Szyfmana, zaś w rolach głównych Nina Andrycz i Elżbieta Barszczewska. Bardzo mnie ta sztuka interesowała, więc przy protekcji dyrektora Szyfmana, który nie zapomniał jak razem piliśmy jałowcówkę u Ludwika Hieronima Morstina w Pławowicach, dostałem bilet prawie za darmo w siódmym rządzie. Spektakl był znakomity, dwie czołowe polskie aktorki robiły duże wrażenie wielką urodą i dojrzałym aktorstwem. Specjalnie podobała mi się wtedy Nina Andrycz. Dobrze potrafiła grać dostojne role. Była później żoną premiera Cyrankiewicza. Chodziły plotki po Warszawie w parę lat później, gdy mianowano marszałkiem Polski Rokossowskiego, że jakaś bliższa znajomość łączyła go z Niną Andrycz.

* * *

Znałem trochę język angielski i niemiecki i dzięki temu dostałem pracę w firmie "Baltica". Była to agencja maklerska. Zadaniem jej było klarowanie statków, załatwianie formalności w imieniu kapitana w urzędach portowych i w urzędzie celnym. Wypisywało się dokumenty przybycia i odprawy oraz tzw. konosament, czyli rodzaj listu przewozowego. Urządzenia portowe były wtedy w Szczecinie na wielu nabrzeżach całkowicie zniszczone i robotnicy ładowali węgiel kosztami, co trwało bardzo długo. Przybywały statki głównie ze Szwecji, Norwegii lub Finlandii, ale były też i barki z Niemiec. Mój ówczesny szef, pan Grzegorz Wyszeci, był podobno kiedyś dobrym maklerem, obecnie upijał się często. Gdy przychodziliśmy załatwiać sprawy claringu, potrafił na kozetce statku zasnąć. Patrzyli na to Szwedzi i inni ze szczególną dezaprobatą. Jest zwyczaj, że po załatwieniu formalności kapitan wyciąga butelkę rumu czy dżinu i częstuje. Oczywiście Polacy nadużywali tej gościnności. Jeden armator ze Sztokholmu, gdy odprawiałem jego statek już kilkakrotnie i nigdy nie wypilem więcej niż jeden kieliszek, polubił mnie. Raz wyciągnął swoje rodzinne zdjęcia pokazując swój dom, ogród i żonę z córkami, których miał pięć. Zaproponował mi wtedy, czy nie zechciałbym poznać jego rodziny i ewentualnie zostać zięciem. Propozycja była dla mnie wielce obiecująca, trzymały mnie jednak w Polsce dwie ważne sprawy: byłem już wtedy przecież studentem Akademii Handlowej i miałem narzeczoną, natomiast córki Szweda na fotografii wyglądały mało atrakcyjnie - duże, o długich stopach i rękach dziewczyny w kolorycie raczej rudym. Zostałem w Polsce, studentka zaś, narzeczona, późniejsza żona, była dobrą matką naszych dwojga dzieci i wykazała się wielką energią i pracowitością. Nie ukończyliśmy Akademii Handlowej, ponieważ przenieśliśmy się do Krakowa, do rodziców żony, i tu urodził nam się syn, Tomasz, w 1949 r.

Rodzina mojej żony, Anny Świercz

Rodzinę założyłem w roku 1948. Moja żona była jedną z trzech córek burmistrza (potem prezydenta) Zgierza. Słyszałem kilkakrotnie piosenkę o starym młynarzu ze Zgierza, w której była mała analogia do mego teścia. Córki były rzeczywiście urodziwe. Piosenka mówi: "Najsprytniejsza zaś Hanka, wzięła owsa i sianka, i spotkała kasztanka, na kasztanku ułana, bo chciał na zięcia żołnierza stary młynarz ze Zgierza." Jednak żaden z zięciów mego teścia nie był wojskowym, jedynie ja najbardziej lubiłem kasztanowatą maść koni, a moja żona miała na imię Anna. Teść był wielokrotnie odznaczanym legionistą, przez 20 lat sprawował funkcję prezydenta Zgierza z wyboru. 24 lata mieszkalem z nim w stosunkowo dużym mieszkaniu. Muszę przyznać, że nie spotkałem nigdy tak zacnego, szlachetnego, wyrozumiałego i uczynnego człowieka. Znał dobrze cztery języki i do śmierci uczył się innych. Zginął tragicznie mając 85 lat przejechany "Syrenką" przez Ubeka. Winowajca był nieosiągalny. Żaden adwokat nie chciał podjąć się sprawy przeciw Ubekowi, uważało się to wtedy za beznadziejne. Teść mimo podeszłego wieku cieszył się znakomitym zdrowiem. Starsi zgierzanie pamiętają nazwisko Jana Świercza. Zupełnie inny charakter miała moja teściowa, Celestyna Kieruczenko. Należała niewątpliwie do kobiet urodziwych. Miała pięciu braci, ciekawych oryginałów. Ojciec umarł im wcześniej. Została wdowa z sześciorgiem dzieci. Prowadziła trafikę w Tomaszowie pod Łodzią. Ta samotna, wyjątkowo dzielna kobieta, potrafiła dać synom wyższe wykształcenie i wybronić ich od carskiego wojska. Gdy w r. 1908 Eugeniusz miał być zabrany do wojska, matka, po radzie z lekarzem psychiatrą, pouczyła syna, jak ma udawać wariata. Widocznie jej instrukcje odniosły właściwy skutek, bo Eugeniusz był badany w wojskowym szpitalu w Kijowie. Matka wynajęła wówczas Żyda z parokonną bryczką i udała się w podróż ze Zgierza do Kijowa (obawiała się jazdy koleją). Po długiej i kosztownej podróży wróciła do Zgierza, aby spotkać tu syna, który jako wariat niezdolny do służby wojskowej przyjechał wcześniej do domu na koszt państwa. Patrząc na fotografie mej teściowej wierzyło się, że ta osoba umie osiągać cel. Wysoka, przystojna, energiczna; moja żona wiele po niej odziedziczyła. Młodszego brata mej teściowej, inżyniera Mariana Kieruczenko, poznałem w Szczecinie. Był on świadkiem na naszym ślubie. Wuj Marian fizycznie i psychicznie przypominał Chruszczowa. Ukończył studia w Belgii. Jako inżynier wodnokanalizacyjny miał swoją firmę i zawsze dobrze prosperował. Przed wojną pracował w Kowlu, ożenił się z dentystką w Warszawie, której kupił gabinet dentystyczny. On

często podróżował służbowo, a jego żona przyjmowała pacjentów nie zawsze w celu leczenia zębów. W czasie jego dłuższej nieobecności zabrała wyposażenie gabinetu i uciekła do Warszawy. Wuj długo żył samotnie, dopiero mając 75 lat ożenił się powtórnie i w znakomitym zdrowiu dożył 94 lat. Umarł we śnie. Nigdy nie chorował, trzymała go przy życiu niesłychana nienawiść do komunistów. Niebezpiecznie było z nim podróżować, bo bywało, że w pociągu tak "nadawał", że mógł skończyć w więzieniu. Był niesłychanie oszczędny, sypiał w nie opalonym mieszkaniu, używał kołdry elektrycznie ogrzewanej. W odbiorniku radiowym, który miał skalę oświetloną maleńkimi żaróweczkami, potrafił wyłączać jedną dla oszczędności. Kolekcjonował złote dwudziestodolarówki, carskie pięciorublówki i inne złote monety. Nauczył mnie kilku rzeczy, w które początkowo nie wierzyłem, np. przy bólach reumatycznych spać z woreczkiem ok. 100 kasztanów - przekonałem się, że to pomaga; jeść młode listki pokrzywy - dziś wiadomo, że pomagają utrzymać dobrą kondycję, nawet u biegaczy między 60 a 70 rokiem życia. Wuj przekonywał mnie do spania zawsze w kierunku północ-południe. "Jeszcze się o tym przekonasz" - mawiał i rzeczywiście, obecnie zaleca się ten kierunek snu. Wszystkie zwierzęta na wolności tak właśnie śpią, aby prądy dookoła ziemskie idące od północy do równika przechodziły wzdłuż kręgosłupa, a nie w jego poprzek. Większość hoteli w Alpach ma tak właśnie ustawione łóżko. Do trzech zawodów żywił nasz wuj szczególną abominację: do księdza, lekarza i adwokata. Twierdził, że do dwóch pierwszych zawodów należy mieć powołanie, a prawnicy kształcą się, aby umieć omijać prawo. Wymyślił sobie nawet epitafium, które miało być umieszczone na jego grobie: "Przeżył szczęśliwie swoje lata, nie trudził księdza, lekarza i adwokata". Poszedł na emeryturę tuż przed wojną mając niecałe 50 lat i pobierał ją przez 45 lat robiąc nawet jakieś oszczędności. Miał swój ogród i pszczoły, które prowokował do użądleń zapobiegającym reumatyzmowi. Mając 80 lat wchodził na jabłoń i zrywał jabłka. Przy opowiadaniu potrafił wprowadzać się w stan gniewu czy rozpaczy jak najlepszy aktor. Umarł bezpotomnie do końca powtarzając, że komunistów zniszczy nędza.

Drugim ciekawym typem człowieka był jego brat, Eugeniusz, inżynier-leśnik. Pracując przed wojną w wielkich lasach prywatnych został napadnięty - w obronie własnej zastrzelił napastnika, a sąd go uniewinnił, bo napastnik był recydywistą. Wuj ten przebywał w łagrach sowieckich i gdy wrócił, miał zwyczaj sypiać pod kołdrą w ubraniu i butach z cholewami. Higiena osobista wydawała mu się rzeczą nie najważniejszą. Przyjeżdżał do nas rzadko. W nocy głośno coś wykrzykiwał i jakby bronił się przed kimś przez sen - musiał mieć tragiczne wspomnienia z sowieckich łagrów, o których nie chciał nigdy mówić. Żył samotnie, był milczkiem. Mimo ciężkich przejść dożył osiemdziesiątki.

Tylko jeden z pięciu braci mej teściowej, Bogumił, miał normalną rodzinę - żonę i dwóch zdolnych synów. Jeden z nich, Andrzej, pracował naukowo i dobrze zarabiał w Szwecji jako lekarz. Najstarszy brat, Leopold, mieszkał w Łodzi u Bogumiła, ale gdy skończyły się jego oszczędności i zapadł na zdrowiu, nie mógł chodzić i wymagał opieki, bratowa teściowej przywiozła go do mej teściowej do Krakowa. Zrobiło się wtedy u nas ciasno (7 osób w trzech pokojach). Warunki stawały się nieznośne i teściowa po wielu staraniach ulokowała brata w zakładzie Helclów. Był to rok 1957. Leopold mieszkał tam tylko parę tygodni. Przeziębził się i umarł. Potem dowiedzieliśmy się, że wielu tam przebywającym przytrafia się to samo. Za dostanie się do Helclów brano łapówki, starzejących się było więcej niż miejsc. Bardziej makabryczne rzeczy słyszałem o tym, co dzieje się w domach starców w Reno, mieście hazardów. Pielęgniarze robili zakłady między sobą, czyj podopieczny pierwszy osiągnie metę u św. Piotra. Ten, który najczęściej wygrywał, został potem zasądzony.

Piąty brat, Kazimierz, zdolny matematyk, prowadził gimnazjum. Umarł wcześniej. Teściowa moja wyszła za mąż mając 32 wiosny. Mówiła zawsze, że ona najbardziej musiała pomagać w domu. Zarabiała dobrze jako prywatna nauczycielka ucząc dzieci łódzkich fabrykantów. Dawała lekcje głównie polskiego i matematyki. Gdy w 39 r. zostali wysiedleni do Krakowa, teść musiał się ukrywać przed Niemcami ze względów politycznych. Teściowej bardzo pomogły kosztowne upominki, które otrzymywała od rodziców swych uczniów w dowód uznania za owocną pracę.

* * *

W Krakowie nastąpiła stalinowska inkwizycja. Pracowałem w latach 1949-52 jako księgowy w PSS. Praca księgowego nie była moim "hobby". W 1952 znalazłem pracę w KWSS (Krakowska Wytwórnia Szczepionek). Zarobki moje były małe, nie wystarczały na utrzymanie czteroosobowej rodziny. Od 59 r. pracowałem w Goczałkowicach, w Zakładzie Biologii Wód Polskiej Akademii Nauk, o czym szerzej nieco dalej.

Sopot

W lecie 1950 roku, z rocznym synkiem i żoną, odwiedziliśmy Sopot. Mieszkała tu wtedy starsza siostra mej żony. W sezonie Sopot był przepelniony. W dzień po przybyciu na molo spotkałem mego kuzyna z Warszawy, Wojciecha Michalskiego, który namówił mnie, abym spróbował gry na wyścigach. Warszawskie konie biegały w lecie w Sopocie. Kuzyn miał samo-

chód, mówił, że prowadzi do spółki interes jubilerski w Warszawie. Codziennie rano jeździliśmy na pocztę, skąd kuzyn przeprowadzał około dziesięciminutowe rozmowy z Warszawą. Prawie codziennie też odbywały się wyścigi i bywaliśmy tam regularnie. Grałem małe stawki, raczej bez powodzenia, natomiast on wygrywał regularnie. Nie obstawiał każdego biegu, lecz tylko te, w których mógł więcej wygrać grając przeważnie "na porządek", czyli dwa pierwsze lub nawet trzy pierwsze konie na mecie. Któregoś dnia widząc, że nic nie wygrałem, powiedział: "Stawiaj w tym biegu na 4 i 5". Pamiętam, były to gniade klacze o nazwach Piła i Pika. Nie zdążyłem jednak do kasy przed zamknięciem i już bomba poszła w górę. Stałem przy celowniku obserwując finisz. Na około stu metrach przed metą widziałem wyraźnie, jak dżokej na 5-ce zwalniał, aby dać się wyprzedzić 4-ce. Tak właśnie działała warszawska mafia wyścigowa, w której mój kuzyn miał zapewne jakiś udział. Była to moja ostatnia gra na wyścigach w PRL. Spotkałem w tym dniu przyjaciela z kieleckiego gimnazjum, Janusza Wiltowskiego, który wraz z małżonką w błogosławionym stanie również emocjonował się wyścigami. Drugim moim kuzynem, grającym z upodobaniem, był Józik Bojanowski z Poznańskiego. Opuszczałem z nim razem Starachowice w styczniu 45 r. Mieszkał teraz na Wybrzeżu, był ojcem dwóch udanych córek. Jego żona, Hanka, straciła brata pod Monte Cassino, znanego jeźdźca Stanisława Wołoszowskiego. Dziś Józef Bojanowski prowadzi dobrze prosperujące prywatne przedsiębiorstwo. Podczas okupacji walczył w AK i wślawił się wieloma ryzykownymi akcjami pod pseudonimem "Walter" na terenie kieleckiego, krakowskiego i sandomierskiego. Znany był z zimnej krwi i opanowania w najbardziej niebezpiecznych sytuacjach. Błyskawiczna i właściwa decyzja ratowała życie jemu i jego podkomendnym.

Pływackie ratownictwo

Sztuka długiego nurkowania, którą uprawiałem w czasie pobytu w Czernichowie (1941-42) przydała mi się później, gdy byłem ratownikiem w latach 50-tych. Zdawałem egzamin na ratownika krakowskiej pływalni YMKA, czyli w MDK, u znanego instruktora, p. Wacława Kowalskiego. Pływackie okulary były wtedy w PRL rzadkością. Kilkunastu zdających egzamin pływało z otwartymi oczyma, trzeba było pod wodą obserwować. Zdarzyło się raz, że woda, mimo częstej wymiany, była zainfekowana i dostaliśmy zapalenia spojówek. Nasze oczy były czerwone, a na drugi dzień pełne ropy. Dr Cikowski wyleczył nas olbrzymimi dawkami penicyliny. Od tej pory unikałem małych pływalni i postarałem się o pływackie okulary. Zapotrzebowanie na ratowników było w latach 50-tych bardzo duże, wszyst-

kie wczasowiska nad morzem i nad jeziorami zatrudniały po kilku lub kilkunastu ratowników. Polski Związek Pływacki nie zdołał przeszkolić chętnych, a nie każdy zdawał ten trudny egzamin. Ratownik powinien dobrze opanować trzy podstawowe style pływackie, tj. klasyczny, kraul na grzbiecie i normalny, musi być szybki i pewny przy holowaniu ofiary, najlepiej trzymając ją za żebra, sam płynąc klasykiem na wznak. Najniebezpieczniejszy dla ratownika jest kurczowy chwyt tonącego. Przeciwdziała się temu wykręcając mu rękę szybkim uchwytem za kciuk. Po wyciągnięciu ofiary na brzeg należy natychmiast usunąć wodę z płuc, oczyścić usta i jamę nosa. Stosowaliśmy wówczas wdmuchiwanie powietrza metodą usta w usta i prawidłowe wykonanie sztucznego oddychania przez podnoszenia ramion. Satysfakcję, jaką ma ratownik, gdy na twarzy topielca zakwita rumieniec i po chwili zaczyna oddychać, można porównać do satysfakcji chirurga, który ratuje życie pacjentowi udaną operacją. Matki uratowanych głównie chłopców (ci zawsze bardziej ryzykują niż dziewczęta) gotowe były z wdzięczności wszystko zrobić dla ratownika.

Ratownicy u nas na wybrzeżu mieli często do kontroli paruset metrów odcinki plaży. Najbardziej częste wypadki utonięć zdarzały się u chorych na serce lub u lekkomyślnych po wypiciu nadmiernej dawki alkoholu, starających się imponować swoją zwykle niedostateczną umiejętnością pływania. Widziałem też takich, którzy dla zakładu przepływali odcinek ok. 200 m. paląc papierosa. [Będąc w Syracuse pod Nowym Jorkiem (r.91) odwiedziłem raz w pochmurny dzień swimming pool, pół godziny przed zamknięciem. Basen 50x30 m. miał siedem stanowisk dla ratowników. Zatrudnieni byli studenci i studentki AWF. Byłem jedynym korzystającym wtedy z pływalni, ale komplet ratowników czuwał nad moim bezpiecznym pływaniem. Później przez chwilę rozmawiałem z pięknie zbudowanym ratownikiem żeńskiego rodzaju i opowiedziałem, że i ja w latach 50-tych też się tym zajmowałem, ale w jakże innych warunkach w PRL.]

Proces Mazurkiewicza

W roku 1955 odbył się w Krakowie głośny proces wielokrotnego, wyrefinowanego mordercy, Władysława Mazurkiewicza (ur. w r. 1911). Los zetknął mnie z nim w roku 1950 na kursach samochodowych inż. Jana Szweka na ul. Włóczków w Krakowie. Mazurkiewicz pełnił tu funkcję instruktora jazdy. Niewysoki, o aparycji przypominającej sławnego włoskiego aktora i reżysera de Sica. Miał Opla, którym często odwoził mnie po zajęciach do domu. Mieszkałem przy ul. Moniuszki, a sławny później garaż Mazurkiewicza był przy ul. Marchlewskiego (obecnie Prażmowskiego) na Osiedlu Oficerskim. Mazurkiewicz, jak chciał, miał ujmujący sposób bycia,

obracał się wśród najzamożniejszych sfer ówczesnego Krakowa. Było nawet drwiące powiedzenie, już po procesie: "Nie znałeś Mazurkiewicza? W jakich kręgach ty żyjesz?" Pamiętam pewien fakt rzutujący potem na jego wyrafinowane morderstwa. Miałem kiedyś przy sobie kilkanaście numerów "Detektywa". Pismo to, zabronione dla młodzieży przed wojną, drukował znany koncern prasowy Mariana Dąbrowskiego. W piśmie tym można było znaleźć wszystko o głośnych morderstwach na całym świecie. Przeczytałem tam o aferze "Sinobrodego" w USA, który ileś tam swoich ofiar zabetonował. Później, po procesie, gdy znaleziono zwłoki pani de la Voux i jej siostry Zofii Suchowej zabetonowane w jego garażu, przypomniałem sobie, że Mazurkiewicz pożyczał ode mnie to czasopismo. Mazurkiewicz mordował w latach 1946-54. Pierwszą ofiarą był pan de la Voux, którego Mazurkiewicz podstępnie zwabił, zabił, utopił i zabrał 1000 dolarów. Znałem kilka pań, u których bywał Mazurkiewicz. Były to zamożne żony adwokatów, lekarzy, profesorów. Oto przykład, jak nikczemne metody szantażu stosował Mazurkiewicz. Zapraszał znajomą do kawiarni, tam dosypuje jej ukradkiem środki usypiające do kawy, następnie półsenną kobietę zabiera do swego garażu. Miał tam łóżko i alkohol. Prawie nieprzytomną ofiarę wykorzystuje, a następnie fotografuje - zdjęciami szantażuje później swoje ofiary. Inny fakt opowiadała mi zamożna pani, której w czasie tańca z Mazurkiewiczem zginął kosztowny pierścionek. Była podniecona, dużo piła, bezskutecznie szukali potem zguby. Panią de la Voux poznałem w jej mieszkaniu na ulicy Biskupiej 14 w roku 51. Miała piękną kolekcję obrazów. Mazurkiewicz mieszkał piętro niżej. Po śmierci swego męża obawiała się trzymać kosztowności w domu. Do Mazurkiewicza miała zaufanie, łączyła ich sympatia, a może i coś więcej. Pani de la Voux przed poznaniem swego bogatego męża pracowała w Krakowie przed wojną jako fordanserka. Mazurkiewicz wziął kosztowności na przechowanie i nie chciał ich po latach oddać. Gdy zagroziła sprawą sądową, zaprosił ją do garażu, bo tam rzekomo przechowywał precjoza w zamurowanej skrytce. Gdy przyszła, najpierw czule ją objął, a potem zastrzelił. W dwie godziny później przybyła tam pani Suchowa, siostra zamordowanej. Spotkał ją ten sam los. Zostały zabetonowane w garażu jak u "Sinobrodego" w Detektywie. Raz oglądałem rozprawę sądową Mazurkiewicza. Tłumy chętnych stały przed starym sądem, tylko wpuszczano za specjalnymi przepustkami. Na sali sądowej działy się dziwne rzeczy. Niektóre wielbicielki czy przyjaciółki pana Władzia mdlały, histeryzowały. Pisał sprawozdania z tego procesu specjalnie przybyły z Warszawy znany reporter, Lucjan Wolanowski. O godzinie, gdy rozwożono Echo Krakowa do kiosków, tłumy formowały się w kolejkach. Hofmokl-Ostrowski, adwokat specjalizujący się od wielu lat w obronie morderców, otrzymywał setki telefonów potępiających jego obrończą

postawę wobec Mazurkiewicza. Kraków przeżywał historyczne dni. Mazurkiewicz został osądzony, a pół roku później powieszony. Szczęście miała ostatnia jego, niedoszła ofiara, inż. X z Warszawy. Mazurkiewicz jadąc z nim samochodem z Zakopanego do Krakowa strzelił mu ze swego małego "waltera" w tył głowy, ale kula nie uszkodziła mózgu. Inżynier przeżył, Mazurkiewicz już się ukrywał, a schwytany musiał się przyznać. Tłumy krakowian przychodziły oglądać garaż Mazurkiewicza. "Walter 7" - pod takim tytułem opisał Jacek Wałowski zbrodnię Władysława Mazurkiewicza. Książka miała kilka wydań.

Realizacja planów i marzeń:
Udział w filmie "Krzyżacy"

Od chłopięcych lat marzyłem, aby brać udział w masowej konnej szarży. Lektura bojów i bitew opisywana przez Sienkiewicza, Żeromskiego, Przyborowskiego i Gąsiorowskiego, malarstwo batalistyczne Kossaków, Chełmińskiego, Suchodolskiego i wielu innych, wywierało na mnie magiczną moc i potęgowało moją ciągłą tęsknotę za brawurową szarżą. Historia Samosiery, Rokitny i dawnych bojów pod Kircholmem i Kłuszynem również robiła swoje. Mieszkalem i uczyłem się od 1929 r. w Radomiu u siostry mej babki, Zalewskiej. Jej dwaj synowie i bratanek, Antoni Jabłoński, brali udział w bojach legionowych w latach 1914-1920. Babka pokazywała zdjęcia tych mych bocznych wujów, jak dowodzili oddziałami ułanów, mówiąc przy tym z przekąsem: "Chciałbyś być też takim". Miałem siedem lat i nie byłem dobrym uczniem. Wiele przykrości i małych upokorzeń musiałem znosić jako "nieudacznik". Trzy moje cioteczne siostry mieszkające razem, córki ciotki Egiejman, były bardzo dobrymi uczennicami, stawianym mi ciągle za wzór. Dwa lub trzy razy w roku odwiedzał z Warszawy swą matkę w Radomiu major, a potem podpułkownik 1 pułku szwoleżerów, Jerzy Zalewski. Dzwonił ostrogami, miał piękny paradny mundur. Był dobrym brydżystą i kompanem do kieliszka, Matka jego opowiadała, że wuj Jurek był pomysłodawcą aparatu do badania odwagi u rekrutów. Nosił buty oficerskie od Hiszpańskiego, sławnego szewca. Mijały lata i nadszedł pamiętny rok 1939. Na miesiąc przed wybuchem wojny odwiedził nas wuj Jurek w Brzeziu. Wtedy pasjonował mnie sport, a jazda konna specjalnie. Przyjechał sąsiad, pan Ignacy Kotkowski, na swoim pięknym kasztanowatym ogierze i zaproponował wujowi szwoleżerowi, aby dosiadł jego wierzchowca. Wuj długo się wzdragał, tłumaczył się niedyspozycją żołądka i wypiciem dwóch głębszych, czego zresztą nie było po nim widać. Pod presją licznych spojrzeń i zdziwionych min dosiadł wreszcie tego zupełnie spo-

kojnego konia i objechał dookoła gazon. Nie zauważyliśmy u niego swobodnego dosiada, który daje jeźdźcowi radość i całkowite opanowanie konia. W 1959 roku, gdy brałem udział jako statysta-jeździec w kręceniu "Krzyżaków", zostałem przydzielony do grupy byłych oficerów kawalerii. Zapytałem raz rotmistrza Andrzeja Chrzanowskiego, czy nie znał podpułkownika Jerzego Zalewskiego z 1 pułku szwoleżerów. Odrzekł: "Oczywiście, któżby go nie znał? On bał się jeździć konno". Nie przyznałem się, że był to mój wuj (zginął z rąk okupanta w Warszawie w r. 42), ale przypomniałem sobie wtedy niechęć wuja-szwolężera do próbowania nieznanego mu konia w r. 1939.

W sierpniu 1959 r. nadarzyła się okazja, by zrealizować marzenie o kawalerskiej szarzy. Zostałem zakwalifikowany po egzaminie jeździeckim przez podpułkownika Karola Rómmla do udziału w kręceniu "Krzyżaków" jako statysta konny. Z PAN, gdzie pracowałem, otrzymałem dwumiesięczny urlop - drugi miesiąc bezpłatny.

Otrzymałem kwaterę w namiocie studentów Szkoły Aktorskiej z Warszawy. Poznałem uroczych młodych ludzi: Andrzej Szajewski - świetny pływak; Jerzy Kiszki - później pracował na Wybrzeżu; Tomek Dembiński - przeszedł do pracy w TV; Krzysztof Kowalewski - szczęśliwy późniejszy małżonek Ewy Wiśniewskiej; Jurek Karaszewicz - również znany aktor, wyróżniał się wtedy wyjątkową swobodną wymową, rzucał mięsem z wielką fantazją, i wielu innych, cały ówczesny 4 rok studiów. Było też kilka dziewcząt towarzyszących swoim chłopcom, np. Mirka Krajewska. Wykonanie jej piosenek specjalnie lubiłem. Namiotów mieszkalnych dla statystów było 10, w każdym po 20 osób. Główni aktorzy, jak Andrzej Szalawski (Jurand), Mieczysław Kalenik (Zbyszko), Emil Karewicz (Jagiełło), Stanisław Jasiukiewicz (mistrz krzyżacki), Leon Niemczyk (De Lorche), Sławek Voit (Kuno Lichtenstein), Grażyna Staniszevska (Danusia), Jerzy Pichelski (Powała z Taczewa) i wielu innych mieszkało w budynkach należących do administracji stadniny. Towarzystwo do brydża było znakomite.

Pod kierownictwem Karola Rómmla wyjeżdżaliśmy codziennie rano na Ćwiczenia galopów w bitewnej ciasnocie. Już po kilku dniach wielu jeźdźców miało poważne kontuzje, głównie kolan - biodro konia jest dużo twardsze niż ludzkie kolano, a w ścisłości przy pewnej szybkości takie zdarzenia były bardzo bolesne. Nauczyliśmy się później zakładać nogi koniowi na szyję, aby uniknąć kontuzji. Ćwiczenia polegały na tym, że dwie grupy jeźdźców ustawione naprzeciw siebie w odstępach dwóch metrów ruszały dość ostrym galopem. Należało jak najciaśniej przejechać obok jeźdźcy galopującego ze strony przeciwnej. Nasze uda już na drugi dzień były całe fiołkowe od olbrzymich siniaków. Prawie wszyscy nie używali konia od lat i mięśnie ud musiały się przyzwyczaić do dużego wysiłku - znana to sprawa każdemu jeźdźcowi. Statystów konnych było razem ponad 300. Dzielili się

na kilka grup. Jazdę krzyżacką tworzyli masztalerze na ciężkich ogierach ze stadniny w Starogardzie i innych stadnin. Jazda polska, również na koniach trochę cięższych bardzo pięknie dobranych, stanowiła drugą grupę statystów obsadzonych też masztalerzami. Ja należałem do ekipy tzw. "starych ogierów". Byli to konni statyści, których zaangażował podpułkownik. Rómmel, czyli szczęśliwi ochotnicy. Najstarszym był rolnik spod Kraśnika, który niegdyś służył jakiś czas w armii Budionnego. Liczył 67 lat. Po dwóch tygodniach przybyła jego żona i żądała, aby wracał do domu, bo żniwa. Dał jej wtedy pieniądze na wynajęcie pomocnika, ale sam jeździł z nami do końca. Wspaniały typ starego wiarusa. Gdy my młodzi, po całodziennych męczących Ćwiczeniach szukaliśmy wypoczynku lub kąpieli w jeziorze, to wachmistrz od Budionnego adorował kobiety pracujące w kuchniach - nie przypuszczam, aby chodziło mu o dodatkowe porcje, bo karmiono nas bardzo dobrze. W ekipie "starych ogierów" byłem najmłodszy (36 lat), wiek byłych oficerów i podoficerów wynosił od 42 do 56 lat. Byli to ludzie towarzyscy i często plotkarze, np. Andrzej Chrzanowski z Krakowa potrafił opowiadać, wymieniając imiona i nazwiska, osoby, z którymi kontaktował się w życiu towarzyskim, i bardziej niż towarzyskim, na terenie Krakowa. Nie przypuszczał, że te osoby były mi dobrze znane.

Mietek Kalenik złamał obojczyk. Wypadków było sporo, ale raczej niegroźne. Np. w naszej grupie zaliczonej do jazdy litewskiej i tatarskiej, która miała pierwsza zaatakować Krzyżaków, jeździł wysoki, szczupły major z armii ludowej. Jego sposób bycia był zupełnie inny i był on raczej nie lubiany, bo zarozumiały prymityw. Gdy Ćwiczyliśmy jazdę z różnymi flagami i znakami bojowymi, każdy musiał brać, co podawano. Podjeżdżało się pod magazyn. Ludowy major jeździł na płoczej klaczy, caplerce, która nie ustąpiła chwili spokojnie - może otrzymał ją właśnie specjalnie, bo przechwalał się ciągle bez powodu. Byłem następny po majorze, więc widziałem dokładnie, jak podjechał do magazyniera. Ten chciał mu podać chorągiew z szachownicą i rogami. Klacz stanęła dęba, gdy major wyciągał właśnie rękę. Upadł razem z koniem, i tu miał pecha, koń bowiem poderwał się momentalnie i nadepnął przednim podkutym kopytem udo jeźdźcy robiąc dużą, głęboką ranę. Przy kręceniu ostrych szarż zdarzyło się raz silne potknięcie mego wierzchowca, szczęśliwie jednak złapaliśmy równowagę. Upadek w tych okolicznościach może być tragiczny. Codziennie siedem godzin w upale i kurzu wymagało nie byle jakiej kondycji. Dużo jeźdźców robiło samowolne dni odpoczynku. Obecności nikt nie sprawdzał, ustaliliśmy więc między sobą zmiany na odpoczynek tak, aby wszyscy byli zadowoleni.

Pewnego dnia zastępca głównego reżysera, pan Zbigniew Kuźmiński, zebrał nas wszystkich z ekipy ochotników, tj. ok. 100 osób. Ustawiliśmy się zgodnie z jego życzeniem w dwuszeregu, odstąpiliśmy od siebie o trzy kroki i zwróciliśmy twarzami do siebie. Reżyser Kuźmiński w towarzystwie dwu

asystentów chodził wśród nas, bacznie obserwując nasze fizjognomie. Nie powiedziano, jaki cel ma ten przegląd. Pierwszy został wybrany porucznik Michniewicz, potem dwóch panów o poważnych, jakby nieco semickich rysach, na końcu i mnie poproszono, abyśmy udali się do magazynu kostiumów. Tam powiedziano, że mamy kręcić epizod, jak Jurand odbija kupców z rąk krzyżackich. Ubrano nas w odpowiednie kupieckie kostiumy, dano peruki i przyklejono wąsy tym, którzy własnych nie mieli. Dzień był upalny, scena była nakręcana czterokrotnie, trwało to od ósmej do piętnastej - oglądałem ten epizod w kinie w ciągu kilkunastu sekund.

Życie towarzyskie w obozie filmowców dostarczało wiele ciekawych wrażeń, np. przyjechała do Leona Niemczyka narzeczona, Zula, świetna amazonka, atrakcyjna blondynka o jasnozielonych oczach. Jeździła konno razem z Kalenikiem, bo Niemczyk ciągle miał czas wypełniony. Różne sceny kręcono w miejscach oddalonych o wiele kilometrów. Niemczyk wracał późno, raz jednak Zula wróciła jeszcze później. Zapytana, gdzie była, odrzekła zgodnie z prawdą, że pływała z Kalenikiem w jeziorze. Od tej nocy Zula zmieniła narzeczonego, Niemczyk wymówił jej kwaterę.

Mieszkałem - jak już wspomniałem - w namiocie studentów szkoły aktorskiej. Obok mnie sypiał Andrzej Szajewski. Miał 25 lat i był okazem zdrowia i męskiej urody. Wyróżniał się w tym tłumie. Należy dodać, że miał wyjątkowo ujmujący sposób bycia, dobrze śpiewał. Nie wątpię, że na świecie jest wielu mężczyzn rzucających nieodparty urok na kobiety. Do takich należał - moim zdaniem - Andrzej Szajewski, jak i Czech polskiego pochodzenia, Eugen Balon, który później poślubił wdowę po Hamercheldzie - obecnie prowadzi katedrę na uniwersytecie w Kanadzie.

Sztukę fechtunku Ćwiczyliśmy pod okiem specja w tej branży, popularnego pana Sławka Lindnera. Wszechstronny sportsmen ożeniony z mistrzynią Polski w łyżwiarstwie wydał później ciekawy pamiętnik "A jednak żal".

Wśród wielu młodych z fantazją nie obeszło się bez psot, np. podczas nakręcania sceny, gdy Powale z Taczewa (J. Pichelskiemu) zginął topór, zamiast specjalnie spreparowanego topora z ołowiu podłożono mu normalny - oczywiście scenę musiano powtarzać. Sławek Voit był autorem wielu fraszek, które drukował w prasie krakowskiej, np. "Do jednej znajomej": "Z alfabetu twej postaci, jeśli mam być szczery, czytać tylko się opłaci te cztery litery".

Andrzej Szalawski (Jurand) opowiadał mi, jak barwne i ciekawe było życie na polskim Podolu przed rokiem 1939.

Wielokrotne Ćwiczebne galopy prowadzone przez wspomnianego Karola Rómmla, 72-letniego, ale jakże sprawnego jeszcze weterana jeździectwa, przygotowały naszą ekipę do filmowania scen bitwy grunwaldzkiej.

Wielka szarża filmowa nie obyła się bez kilku wypadków. Jeden młody jeździec upadł przy potknięciu się konia i został potrącony w kręgosłup, co skończyło się dla niego tragicznie - zmarł po kilku dniach w szpitalu. Na nierównym terenie konie wpadały w dołki i przewracały się. W tłoku narażone też były na zgniecenie głównie nogi jeźdźców. Chyba jednak wszyscy uczestnicy mieli wielką satysfakcję z ostrego, ryzykownego cwału - to długo pozostaje w pamięci. Po 30 latach zrealizowały się moje marzenia o konnej szarży, wprawdzie tylko filmowej, o prawdziwej bowiem w tych czasach nie mogło być mowy.

Po sześciu tygodniach, gdy sceny bitwy grunwaldzkiej ukończono, wracałem do mej pracy w Goczałkowicach. "Z radością witać, z radością żegnać" - zwykła mawiać moja mama. Nauczyła mnie również, że życie bez pokonywania przeszkód nie ma uroku.

Wczasowiska w PRL

W latach 1954-85 wykorzystywałem swoje urlopy jeżdżąc na wczasy - były stosunkowo tanie. Każdy wpłacał pewną sumę, zależną od wysokości zarobków. Do atrakcyjnych miejscowości, jak Zakopane, Międzyzdroje czy Lubniewice, trudno było bez znajomości otrzymać skierowanie. Zawsze na 2-3 miesiące przed sezonem w Związkach Zawodowych, gdzie załatwiano skierowania, formowały się wielogodzinne ogonki. Normalny widok w PRL. Byłem wodniakiem, więc brałem urlop najchętniej w sierpniu lub wrzeniu. Po upadku na nartach podczas studenckiej Silezjady w Karpaczu w roku 1947 i urazie kręgosłupa miałem pewien "kompleks nart" i Zakopane w zimie mnie nie interesowało. W roku 1962 dostałem wczasy w Lubniewicach koło Łagowa w województwie zieloniogórskim. Byłem oczarowany. Olbrzymi zamek niemieckiego grafa położony pięknie nad jeziorem, dalej dwa inne jeziora otoczone lasem. Dobrze zaopatrzone wypożyczalnie kajaków, rowery wodne, była również stajnia z końmi wierzchowymi. Kierownictwo ośrodków znakomicie organizowało różne zawody sportowe, a zwycięzcy otrzymywali dyplomy. Można było próbować swych sił w biegu, skoku, ping-pongu, pływaniu, w kajakach - jedynkach i dwójkach. Dla grzybiarzy okolicznych 100 tysięcy hektarów lasów było rajem. Zapach suszonych grzybów panował w każdym pomieszczeniu. Zdarzały się wypadki, że niedoświadczony zbieracz długo błądził i wracał np. po dwóch dniach.

Najbardziej wtedy lubiłem wiosłowanie, więc brałem udział w tych wczasowych zawodach z prawdziwą przyjemnością. Na przystani kajakowej wydarzyło się raz coś, co na kilka godzin wprowadziło w podniecenie komplet wczasowiczów, czyli ok. 120 osób. Miałem w tym wydarzeniu pewien udział. W jadalni siedziałem przy stole w towarzystwie młodej pary.

Nie byli małżeństwem, ale ogromnie sobą zainteresowani. Przyjechali z Prudnika - on był podobno zdolnym muzykiem, ona pielęgniarką, oboje w wieku ok. 30 lat. W dni pogodne całe towarzystwo kajakami płynęło przez trzy malownicze jeziora. W następnym dniu brałem udział w zawodach, więc na przystani kontrolowałem wiosła i kajak. Była trzecia po południu, gdy przybyła jakaś pani i pytała przystaniowego, gdzie może spotkać pana Janka W. Z usłyszanej rozmowy zorientowałem się, że jest to zazdrosna małżonka muzyka z Prudnika. Coś przeczuwała, że jej ślubny wykonuje klasyczny Seitensprung. Miała też dobry wywiad. Właściwie ta sprawa mnie nie interesowała. Pani dowiedziała się, że mąż w licznym towarzystwie jest na wycieczce kajakowej i powinien wrócić za dwie lub dwie i pół godziny. Zajęty konserwacją wiosła usłyszałem jednak jej dalszą rozmowę z pracownikiem przystani. Do obcego człowieka wyraziła się wulgarnie o swym mężu. Słownictwo jej było prymitywne. To zadecydowało. Szybko spuściłem kajak i popłynąłem uprzedzić zakochanych. Spotkałem ich na drugim jeziorze zmęczonych długim wiosłowaniem. Gdy opowiedziałem, kto na nich czeka na przystani, młoda pielęgniarka dostała szoku, a jej towarzysz mocno zbladł. Nie wiedzieli, co robić. Przejąłem więc inicjatywę, zabrałem do swego kajaka przerażoną kobietę, a pana Janka pouczyłem, aby spokojnie wysłuchał zarzutów małżonki, zapewnił ją o swej wierności i oburzył się, że jacyś plotkarze w Prudniku posądzają jego, człowieka zajętego wyłącznie muzyką, o jakieś niepoważne flirty - przyjechał tu, aby wypocząć w samotności i nabrać sił do dalszej pracy dla dobra rodziny, a nawet dla dobra PRL. Czy takie kłamstwa, nie doprowadzające do prymitywnej awantury, są lepsze od prawdy, każdy może osądzić indywidualnie na podstawie własnych doświadczeń. Młoda pielęgniarka wiele zyskiwała przy bliższym poznaniu. Oczywiście nie pojechałem z nią do przystani, ale zabrałem do kawiarni. Umówiłem się z panem Jankiem, że jak odprawi swą ślubną, niech do nas przyjdzie. Przyszedł późno, mocno zdenerwowany. Musiał jeszcze po długiej rozmowie znaleźć dla żony nocleg w Lubniewicach, bo w zamku nie było miejsca, a on mieszkał w pokoju trzyosobowym. Wiele podziękowań i wdzięczności otrzymałem wtedy od tej pary, wystarczyło mi na dłuższy czas.

Wielu pracowników każdego szczebla w PRL lekceważyło całkowicie swoją pracę. Do takich należał niewątpliwie urzędnik wypożyczający kajaki w Łagowie. Był podobno studentem, ale po roku prawa został za sprawy polityczne usunięty z uczelni. Przychodził do niego np. wczasowicz o nazwisku Witold Mickiewicz, musiał pokazać kartę pływacką i dopiero wtedy miał prawo otrzymać kajak. Przystaniowy wpisując w ewidencję nazwisko wypożyczającego mówił w takim wypadku: "Mickiewicz, Mickiewicz, gdzie słyszałem to nazwisko. Ach, już wiem. Tak nazywał się rzeźnik, sprzedawał dobrą kielbasę w Chojnicach." Inny przykład: "Acha, to pan

jest z Warszawy? Co to za miasto i gdzie ono leży?" Gdy przyszedłem do niego pierwszy raz wypożyczyć kajak, powiedział, że nie może wydać, bo nie mam karty pływackiej - pokazałem mu legitymację ratownika - on ma powiedziane, że obowiązuje karta pływacka przy wydawaniu sprzętu wodnego i tak jest nawet napisane w specjalnym rozporządzeniu. Dopiero jak puknąłem go życzliwie w czoło, gdy powiedziałem, że głupców niech robi rządzący, a ja się do nich nie zaliczam, uśmiechnął się i powiedział, że z rządzący w PRL nie trzeba robić głupców; tam siedzą sami wierzący w Marksa, Lenina i Stalina.

W tymże Łagowie w 1969 roku spotkałem na rybach Czesława Nowickiego, "Wicherka" z TV. Skarżył na nadmiar popularności. Gdziekolwiek się pojawił, pokazywano go sobie palcami wykrzykując: "Patrz, Wicherek". Umarł w marcu 92 roku.

Drugą miejscowością wczasową, gdzie jeździłem najchętniej, była Szklarska Poręba. Dobrze oznakowane piękne szlaki zachęcały do dalekich górskich wędrówek. Wielką przyjemność sprawiało mi dorównywać znakomicie chodzącym turystom niemieckim. W latach 67-85 właśnie tam spędzałem swoje urlopy. Domy wczasowe były w tym okresie (koniec września) nie wykorzystywane, turnusy rzadko osiągały komplety. Już później, jako rencista, miałem w takim wypadku szanse nawet dwa razy w roku wyrwać się z dusznego Krakowa. Jeżdżąc po wielu miejscowościach wczasowych porównywałem jakość wyżywienia, np. dom wczasowy "Raszyn" w Szklarskiej Porębie prowadził zupełnie przyzwoitą kuchnię, a za te same pieniądze w uroczym Łądku Zdroju głodowaliśmy lub nie mogliśmy jeść tego, co tam podawano. Nie pomogły książki zażaleń. Mafia od kierownika domu wczasowego do przeróżnych kontrolerów wzbogacała się na bezbronnych w tym wypadku wczasowiczach. Każdy dokupywał przez 14 dni coś do jedzenia. W Łądku Zdroju poznałem znanego śpiewaka K. Kowalskiego.

Praca w Zakładzie Biologii Wód Polskiej Akademii Nauk

W Goczałkowicach, gdzie pracowałem, prowadziłem normalne życie rodzinne z żoną i dziećmi tylko w miesiącach wakacyjnych. Poza wakacjami w ciągu roku prowadziłem sam gospodarstwo domowe. Na obiady jeździłem motorem, również zimą, do Pszczyny lub Goczałkowic-Zdroju. Te zimowe motorowe wycieczki oraz spanie w nie opalanym baraku, często w wilgotnej pościeli, stworzyły warunki do reumatyzmu, który objawił się u mnie jako rwa kulszowa. Pewnego listopadowego dnia 1963 r. odczułem poważny ból lewego biodra. Z trudem mogłem się poruszać. Wylądowałem w dobrym zakładzie leczniczym w Goczałkowicach-Zdroju. Miałem wtedy

41 lat. Lekarz powiedział mi wprost, że tylko lekkomyślni postępują podobnie jak ja. Miał na myśli spanie w nie opalonym baraku i zimowe rajdy na motorze. W dobrze prowadzonym leczniczym zakładzie było dużo górników, u których przed trzydziestką reumatyzm spowodował trwałe kalectwo. Przechodziłem błotne kąpiele i elektryczne specjalne promieniowania. Stan mego zdrowia poprawiał się szybko. Kuracja jednak trwała przez listopad i grudzień 1963 r. Leżałem w dwuosobowym pokoju i głównie czytałem przygotowując się do udziału w konkursie TV na temat geografii Ameryki - zwycięzca miał otrzymać stosunkowo dużą nagrodę. W międzyczasie wymieniono współlokatora. Przybysz był młodszy ode mnie o kilka lat, miał kompletnie zreumatyzowane kolana. Przez kilka dni milczał. Nigdy nie byłem gadułą, raczej starałem się być chętnym słuchaczem. W szpitalach chorzy chętnie się zwierniają, często z braku zajęcia. Mój nowy towarzysz był powściągliwy, mówił ciekawie dobrą polszczyznę. Był już sierotą, gdy kończył szkołę podstawową. Dostał się do seminarium duchownego w Zduńskiej Woli. Opowiadał rzeczy wstrząsające o tym seminarium. Np. wydarzył się nieszczęśliwy wypadek, gdy w czasie oczekiwania na bierzmowanie klęczący bardzo długo byli tak zmęczeni, że jeden z nich przysiadł na piętach. Został brutalnie przez kłeryka poderwany za głowę do góry, doznał uszkodzenia kręgosłupa i pożegnał się z życiem. Pisała o tym ówczesna prasa. Powoli z jego opowiadań wyłonił się obraz stosunków panujących w seminarium. Księża traktowali dobrze zamożnych synów chłopskich, którzy dowozili wiktuały i wszystko, czego seminarium zażądało. Oczywiście kandydaci na księży nie byli ideałami. Raz np. powykładano oczy wielu świętym obrazom. Wszyscy adepci zostali wtedy ustawieni w dwuszeregu, kazano im klęczeć, a "katabasy" - tak nazywał on księży - i inni pseudowychowawcy bili ich po kolei po twarzy, aby wymusić przyznanie się. Oczywiście bez rezultatu. Surowe kary były za niepunktualność. Gdy raz Jan K. (towarzysz pokoju szpitalnego) spóźnił się ze ślizgawki, wychowawca kazał mu dłuższy czas klęczeć na lodzie bacznie pilnując wypełnienia polecenia. Od tego czasu delikwent zaczął miewać bóle w kolanach. Jan K. po ukończeniu seminarium otrzymał dużą i bogatą parafię oddaloną ok. 80 km od Łodzi. Był zdolnym kaznodzieją o przekonującej argumentacji, np. mówił:

"Ukochane siostry i bracia w Chrystusie. Nikt z was nie wie, kiedy przyjdzie nam pożegnać się z tym ziemskim padolem, a wiecie, że bez ostatnich namaszczeń czekają was męki piekielne. Jak może przybyć do was kapłan ze świętymi olejami, jeżeli nie ma samochodu?"

Kazania jego były owocne. Ksiądz wysyłał potem w teren trzech kościelnych z przygotowanymi listami, na których parafianie deklarowali "co łaska" na kościół. Mieli dawać "co łaska", ale kościelny zawsze nadmieniał, że taki a taki to dał, np. 1000 zł i więcej. Parafia liczyła ok. 10 tys. dusz.

Ksiądz kupił wołgę, wybudował nową dzwonnice, odremontował i zelektryfikował kościół, dał nowy mur cmentarny, itp. Parafianie cenili go i szanowali, byli po prostu dumni z jego gospodarności. W okresie spowiedzi wielkanocnych ksiądz Jan ubierał w sutanny dawnych kolegów, co nie ukończyli seminarium, by pomagali w wysłuchiwanie penitentów. Ze wszystkich grzechów, takich jak: kto się z kim kocha nielegalnie, czy kto komu robi na złość, czy inne dziwne wyznania, np. siusianie sąsiadowi do beczki z kiszoną kapustą lub załatwianie naturalnej potrzeby w nocy wrogowi pod drzwiami, dawali dokładne sprawozdania. Ksiądz Jan K. miał świetną pamięć i działał tak, że po każdej spowiedzi ludzie byli dla siebie lepsi, nie czynili sobie głupich złościwostek. Ksiądz Jan nie odprowadzał żadnych pieniędzy do biskupa, postanowiono więc dać mu inną, gorszą parafię. Jak wieść o tym dotarła do parafian, postawili veto i powiedzieli, że nie chcą innego proboszcza. Biskup musiał ustąpić. Ksiądz Jan miał wielkie serce nie tylko dla swych parafian. W Łodzi mieszkała jego przyjaciółka z dwojgiem jego dzieci. Miała oczywiście piękne mieszkanie i pomoc domową, a na Święta Wielkanocne Ksiądz przywoził jej pełną "Wołgę" kielbas i to, czego potrzebowała. Ksiądz Jan mawiał: "Moja królowa musi mieć wszystko".

W rok później (1964) pracowałem już w Krakowie w ZBW. Miałem pecha, dostałem bólów żołądka i znalazłem się w szpitalu na Kopernika. Kierownikiem tego Oddziału był mój dawny znajomy ze "Szczepionek", ceniony specjalista, dr Jerzy Caban. Tym razem byłem tu tylko tydzień. Robiono mi mało przyjemne sondy żołądka, badano wątrobę itp. Leżałem na sali 10-osobowej. Warunki były nie takie komfortowe jak w Goczałkowicach. Moim sąsiadem łóżkowym był starszy, ok. 60-letni kryminalista z Wieliczki, Stefan Kaczor. Miał bielmo na oczach, był gruźlikiem i cierpiał na inne dolegliwości. W całym jego życiu towarzyszył mu alkohol, wypijany podobno w rekordowych ilościach. Opowiadał nawet barwnie. Zabroniłem mu używać wulgarnych słów, więc mówił wolno, z namysłem, np. "Biła mnie przed wojną granatowa policja, byłem bity i kopany przez Gestapo, ale nikt nie znęcał się nade mną tak jak funkcjonariusze UB w PRL." S. Kaczor miał liczną rodzinę, zdobywał podobno nawet większe pieniądze na jarmarkach - grywał w trzy karty, naparstki i inne gry zręcznościowe, w które przy dużej wprawie pozwalały wyłudzić od naiwnych pieniądze. Byłem raz świadkiem gry w trzy naparstki i kulkę, gdzie naiwni przegrywali wiele, a nawet zegarki. Kaczor nie wiedział, że w drugim rzędzie pięciu łóżek dogorywał młody górnik na białaczkę. Męczył się już kilka dni, stan jego był beznadziejny. Przyjechała wtedy jego może dwudziestoletnia żona, przywiozła mu jako lek barszcz z czerwonych buraków. Były to jego ostatnie godziny, spoglądał chwilami już białymi oczami. W takim właśnie mo-

mencie młoda pielęgniarka zemdląa i upadła koło jego łóżka. Szybko zawołaliśmy doświadczoną przełożoną pielęgniarek. Przyniosła parawan i rzekła: "Do śmierci tylko dwie ćwierci", równocześnie zaś Kaczor wspominał ze wzruszeniem, jak to wylewał żydom mieszkającym pod nim nieczystości z wiadra na głowy, jak poszedł za to do kozy, gdzie spotkał krewniaków, z którymi mógł grać w karty. Pamiętam, kilka nocy przespałem w wannie w łazience, bowiem na sali spanie było niemożliwe. Jęki umierającego, kaszel Kaczora i jego niektóre opowiadania były nie do wytrzymania. Wróciłem po tygodniu koszmaru szpitalnego do pracy w PAN-ZBW. Nasza ekipa obsługująca agregat elektryczny do połowu ryb składała się z pięciu osób. Był specjalista od kasarka, którym wyjmowało się ryby porażone prądem. Natężenie było rzędu 1, 5 A. Należało działać szybko, bo ryby po paru sekundach uciekały. Drugi kierował katodą umieszczoną na specjalnym drążku, którą raził ryby, trzeci z nas nosił kabel i odpowiednio go przedłużał - kabel miał do 200 m. długości. Czwarty chodził z wiadrem i odbierał złowione ryby od kasarkowego, piąty natomiast opiekował się agregatem, uruchamiał, nastawiał odpowiednie napięcie i czuwał nad jego prawidłową pracą. Wszyscy przeszliśmy odpowiednie przeszkolenie i wzajemnie mogliśmy się zastępować na każdym "stanowisku pracy". Chodziliśmy w butach biodrowych. Nieraz wlewała się do nich woda. Niedoświadczonym groził upadek i przymusowa kąpiel, która w wodzie poniżej 10 stopni w górskich rzekach była mało przyjemna. Badaliśmy prawie wszystkie rzeki południowej Polski: Dunajec z dopływami, Sołę, Skawę, Rabę i ich dorzecza. Były okresy, że tygodniami pracowaliśmy w terenie bez przerwy. Bardzo mi ta praca odpowiadała - mieliśmy ruch i świeże powietrze. Szefem naszej ekipy był przez wiele lat dr Władysław Kołder, znany w całej Polsce autor licznych prac z dziedziny hodowli ryb. On pierwszy w PRL wprowadził elektryczne połowy. Nasz szef odznaczał się nieprzeciętną fantazją. Przed wojną obracał się w towarzystwie ziemian i oficerów. Jego żona została w r. 1938 vice-miss Polonia. W czasie wojny wyjechała z innym do USA zabierając synka. Dr Kołder podobno z tych powodów zaczął szukać zapomnienia w kieliszku. Ożenił się powtórnie, miał dwoje dzieci, ale druga żona też go opuściła. Pracowałem z nim od 60 r. do jego śmierci w roku 1972. Człowiek zdolny, obdarzony niebywałą pamięcią, urządzał tzw. "trzydniówki" - przez ten czas był na nieustannym rauszu. Brałem raz udział w potężnej popijawie po ukończeniu właśnie kursu agregatowego w Łopusznie. Po kilkugodzinnej libacji został tylko dr Kołder, starszy kierownik z Polskiego Związku Wędkarskiego z Opola i ja jako słuchacz. Ten pan z Opola barwnie opowiadał swoje przeżycia, jak to w 1917 wkraczał do carskiego pałacu. Był tam jednym z pierwszych, znalazł na biurku cara przycisk z rodzimej bryły złota, wsadził go do swej raportówki. Płądrowano da-

lej, a gdy znaleźli większą ilość alkoholu, zatrzymał się z innymi, który zechcieli popróbować carskich nalewek. Na drugi dzień nie pamiętał, gdzie zgubił raportówkę. Dr Kołder miał fantazję i gest, np. w latach okupacji pod lekkim rauszem usunął niemieckiego żandarma kierującego ruchem przed Bagatelą w Krakowie. Wyjaśnił mu, że jest w tych sprawach specem z Berlina. Mówił swobodnie po niemiecku. Żołnierz posłusznie pozwolił się zastąpić. Ruch na tym skrzyżowaniu był wtedy największy w Krakowie. Udzieliwszy pokazowej lekcji przywołał żandarma z powrotem. W latach 60-tych był znany szeroko w całym PZW z takich m.in. faktów: Raz, gdy nie miał kompanów do picia, zabrał z ulicy sympatycznego oberwańca, kupił mu koszulę, ubranie i buty, i pozwolił łaskawie towarzyszyć sobie przy kieliszku. Tego rodzaju życie wymagało odpowiednich wydatków, na które nie zawsze mógł sobie pozwolić, ale, że wszyscy go znali jako naukowca i specy rybackiego, miał wszędzie kredyt. Wielokrotnie, po mocno zakrapianych libacjach w najlepszych nocnych lokalach Krakowa, telefonował do swych zamożnych przyjaciół (należał do nich Julek Treutler), którzy wykupywali go płacąc wysokie rachunki. Oczywiście te długi dr Kołder regularnie zwracał. Raz w Wiedniu, w znanej restauracji, wznosił toast na zdrowie Franciszka Józefa z odpowiednim sentymentalnym komentarzem. Podało się to wielu gościom, a entuzjaści cesarza stawiali mu kolejki, aż do zamknięcia lokalu.

Po kilku latach zżyła się nasza ekipa agregatowa. Edek Rosol operował znakomicie katodą, Stanisław Wolny z PZW łowił kasarkiem, a ja początkowo prowadziłem kabel, później zamieniłem S. Wolnego (w roku 67 Edka Rosola zastąpił nowy kolega, Stanisław Janikowski, pracujący do dziś jako radca prawny). Przełowiliśmy wiele rzek na południu Polski - małe rzeki łowiliśmy brodząc, na dużych używaliśmy łodzi.

W roku 63 odławialiśmy w Czechosłowacji dopływy Popradu w okolicy Czerwonego Klosteru. Okolica mało zaludniona, a ryb, zwłaszcza pstrągów, były wielkie ilości. Pamiętam rekordową ilość po jednym podniesieniu kasarka - 17 pstrągów, każdy powyżej 25 cm. Wszystkie ryby z każdego stanowiska, przeznaczone do dalszych badań, były mierzone, ważone, ewidencjonowane, odpowiednio konserwowane, służyły później jako materiał do naukowego opracowania. W Czerwonym Klosterze mieliśmy kwaterę, wieczorami bawiliśmy się w miejscowym lokalu. Grała tu dobra cygańska kapela. Jako goście z Krakowa byliśmy wtedy pewnym urozmaiceniem dla tubylców. Towarzyszył nam w tych odłowach badawczych przedstawiciel Czechosłowackiej Akademii Nauk, wspomniany dr Eugen Balon. Napisał ciekawą pracę o żabach. Każdy temat w jego opracowaniu wnosił coś nowego. Był dobrym sportsmenem, tancerzem i ulubieńcem kobiet. Będąc kiedyś na jakimś seminarium naukowym w Olsztynie umawiał się na wieczorną randkę z każdą dziewczyną, która wpadła mu w oko. Przypuszczał,

że przyjdą dwie lub trzy, a z jedną z nich pójdzie na dancing. Ku jego przerażeniu w umówionym miejscu znalazło się ponad 20. W Czechosłowacji aprowizacja była wtedy gorsza niż w PRL. W restauracjach na prowincji w spisach potraw widniał głównie samotny knedliczek i smaženica, natomiast wina były dobre i stosunkowo tanie. Z PRL-u przywieźliśmy po litrze spirytusu, który celnicy kazali zaprawić kawą lub herbatą. Nie mieliśmy pomimo tego żadnych kłopotów z wymianą na różne przemysłowe artykuły. Kupiłem za to przerzutkę rowerową dla syna i pierwszy elastyczny kostium kąpielowy dla córki. Był to mój pierwszy wyjazd poza granice PRL.

* * *

Jakie skutki powodują złośliwe i głupie plotki, przekonałem się osobiście. W Goczałkowicach pięknego popołudnia 62 r. wybierałem się nad jezioro, gdy tuż przed barakiem biurowym zostałem zaatakowany przez naszego współpracownika, dozorcę, Mariana H. Trzymając nóż kuchenny w ręku usiłował zadać mi cios. Znałem kilka chwytów obronnych i górowałem nad nim siłą, więc powalenie go i wyrwanie z ręki noża nie było trudne. Po chwili nadbiegła dr Anna R. i sznurem od bielizny skrepowała nieopanowanego - jak się potem okazało - zazdrośnika. Oto kilka dni wstecz żona Mariana H. Prosiła mnie, abym zabrał ją do Pszczyny. Chciała tam kupić mięso. Jeździłem wtedy służbowo WFM-ką. Do Pszczyny było 5 km, więc mniej więcej po 40 minutach wróciliśmy. Ona kupiła mięso, ja załatwiłem coś na pocztę. Złośliwe plotki dotarły do jej męża, że mogłem ją w czasie jazdy do Pszczyny niecznie wykorzystać. Nadmieniam, że jego żona, chociaż młoda, zaliczona byłaby przez Balzaka do "dwurękich". W kilkanaście minut po tym wydarzeniu przyjechał z Krakowa dyrektor J. Wiltowski i dr Solewski. Wyjaśniliśmy cały epizod. Zazdrosny dozorca był zaklinany przez swoją żonę, aby nie wierzył plotkom, że nie ma ani sobie ani mnie nic do zarzucenia. Oficjalne przeprosiny przez zazdrosnego męża zakończyły ten nieprzyjemny incydent. Powiedziałem mu, że nie wszyscy uważają jego żonę za kobietę atrakcyjną, i aby nie był na tym punkcie zbyt zarozumiały.

Do innego tragicznego w skutkach wypadku doszło w Goczałkowicach w roku 65. W czasie oglądania jakiegoś emocjonującego filmu w TV żona Kulikowskiego gwałtownie zamachała rękami. Rzucił się wtedy na nią Wang, rasowy chow-chow, ulubieniec dr Anny Rumiek. Na ratunek pospieszyła właścicielka psa i w tym momencie nastąpił u niej wylew krwi do mózgu, a po chwili zgon. Wang warował przy martwej pani i nie pozwolił nikomu do niej przystąpić. Dopiero sąsiad, inż. Pohoski, przy pomocy odpowiedniej wielkości stołu, którym operował jak tarczą, potrafił wypchnąć rozjuszonego psa z telewizyjnego pokoju. Pies był groźny i musiał zostać zgładzony.

* * *

W latach 59-82, gdy pracowałem w PAN-ZBW, śmierć zbierała obfite żniwo. Umierali młodzi, w sile wieku, no i oczywiście starsi. Pierwszy pogrzeb mieliśmy kolegi Z. Żmudy. Szybko potem umarła młoda, ładna koleżanka, blondynka, która chyba otruła się gazem. Potem chowaliśmy młodego Wojciecha Bobulskiego, pogodnego, dobrego kolegę, znakomitego kierowcę, mechanika i posiadacza aktualnie modnego samochodu. Śmierć dr. Czubaka i dr. Solewskiego przyszła nagle i niespodziewanie na serce. Pierwszy umarł w poczekalni, a drugi w lesie w czasie spaceru. Kilka dni upłynęło, zanim znaleziono jego zwłoki. Dużą stratą dla ZBW była śmierć doc. K. Pasternaka. Miał ok. 50 lat i naukową karierę przed sobą. Nasz kolega Edek Rosół nie należał do wytwornych, jeżeli chodziło o dowcipy, ale po kolejnym pogrzebie przebrał miarę. Wracając z cmentarza zwrócił się "serdecznie" do naszej koleżanki, ok. 46 letniej Marii Janikowskiej: "No, teraz na Ciebie kolej, stara lewatywo". Nigdy nie zapomniała mu tego powiedzenia i postarała się, aby Edek R. zmienił pracę. Uczestniczyłem wiele razy w pogrzebach bliższych i dalszych kolegów i pracowników PAN. Upamiętnił mi się pogrzeb pana Reha z Ochab, uroczego gawędziarza. Pogoda była deszczowa, jechaliśmy z Krakowa ok. 110 km. Na tej trasie dyr. Wiltowski miał dwa defekty koła. Twierdził, że to była moja wina, bo nie zabrałem do swego wozu kolegi. S.S., więc on go zabrał, a pasażer był rzeczywiście pechowy. Z kolegą S.S. pracowałem razem w jednym dziale i jednym pokoju. Często wyruszaliśmy na połowy badawcze przeprowadzane w reżach południowej Polski. Przez ponad dwadzieścia lat można się dobrze poznać. Kolegę S.S. cechowała duża pracowitość i nieposkromiony apetyt. Nosił on wśród kolegów nazwę "Pełnotłusty", jego osiągnięcia opróżniania najrozmaitszych dań były z podziwem opowiadane. Np. raz na imieninach u koleżanki Marysi K. kolega S.S. pałaszował (było to jego ulubione powiedzenie) najpierw rozmaite wędliny, sałatki, jajka itp., a najbardziej smakowały mu śledzie w oliwie. Później przyszły desery, jakieś torty, które nasza koleżanka ze znanostwem przyrządzała. Po zjedzeniu tych tortów koledze S.S. żal zrobiło się niedokończonych śledzi, więc pani domu widząc jego spojrzenie i znając jego możliwości powiedziała: "Staszek, nie krępuj się, jedz wszystko, na co masz ochotę". No i zjadł te śledzie do końca, ale oczy były bardziej pożądlive niż możliwości żołądka. Skończyło się to zwrotną kompromitacją, nie zdążył bowiem opuścić jadalni. Pracowitość jego polegała na wyliczaniu wielu danych z pomiarów ryb. Pisał pracę o płoci i nawet dokonywał wymiany ryb z Perugią we Włoszech, przez co był sławny w całej swojej wiosce rodzinnej (listy adresowane do niego były na "profesor", chociaż był magistrem). Miał zwyczaj wypełniać ankiety podając, że zna cztery języki. W rzeczywistości było inaczej. Raz po odłowach dźwigaliśmy

z kolegą S.J. agregat elektryczny, a S.S. stał na wąskiej drodze. Krzyknąłem "pardon", aby się odsunął. Trącony lekko agregatem oburzył się i powiedział, że niby jesteśmy dobrze wychowani, a nie potrafimy przeproszać.

Hodowla jamników

W roku 64 dostałem od mej siostry Ewy 8-tygodniową jamniczkę gładkowłosą. Pochodziła z Janowa Podlaskiego od hodowcy polskich arabów, inż. Andrzeja Krzysztalowicza. Suka ładnie wyrosła. Zostałem raz zagadnięty na Plantach przez panią Krynicką, kierowniczkę sekcji jamników Związku Kynologicznego: "Powinien pan choć raz pokazać sukę na wystawie psów rasowych." W oznaczonym dniu wystawiłem naszą Adę. Oględziny psów na różnych ringach trwały od ósmej do osiemnastej. Poważni panowie i panie, cenieni w Związku Kynologicznym sędziowie, często półkłęszcząc skrupulatnie badali plusy i minusy exteriorowe psich okazów. Moja suka szczęśliwie doszła do finału i zdobyła pierwszą lokatę. Robił jej wtedy zdjęcia Władysław Klimczak, prezes Towarzystwa Fotograficznego. Natychmiast otrzymałem kilka ofert od właścicieli wyróżnionych samców, aby z dobranej pary otrzymać wartościowe potomstwo. Pani Krynicka szczerze mi gratulowała. W rok potem przyszedłem na wystawę po raz drugi, już z potomstwem Ady, które zostało szybko sprzedane. Żona moja okazała się troskliwą i fachową opiekunką szczeniąt, twierdziła jednak, że "z hodowli koni zszedłem na psy". Mieliśmy specjalny kojec, w którym szczenięca gromadka robiła swoje nieporządki. Ile mebli potrafią pogryźć takie psie pociechy, wiedzą tylko hodowcy z miast. Córka moja, Monika, pracując w Londynie w r. 1974 jako pomoc domowa w celu poznania języka, napisała list, aby przysłać jej fotografię naszej odznaczonej Ady. Jej szefowa, miłośniczka jamników, wyjeżdżała na dwa miesiące na urlop i obawiała się, że Monika nie potrafi należycie pielęgnować jej psa. Monika zgodnie z prawdą odrzekła, że miała w domu bardziej rasowego jamnika i od dziecka zna pielęgnację psów. Wtedy posiadaczka psa o zadraśniętej ambicji zażądała dowodu. Dzięki fotografii naszej suki córka dostała dobrą posadę w Londynie jako psia opiekunka. Ada dożyła 13-tu lat. Tuż przed swym zgonem zeskoczyła z tapczanu, przeciągnęła się, ziewnęła i zakończyła swój żywot. Teściowa przekarmiała ją słodyczami i na starość Ada miała nadwagę.

Spotkałem raz, chyba w 67 r., na wystawie kynologicznej w Krakowie mego kuzyna, Włodka Woyciechowskiego. Mieszkał on wtedy w Gliwicach. Wystawiał dwa bardzo dobre cocer-spaniele. Jeden z nich, Żeniek, zdobył 16 medali, 4 sasiby i inne międzynarodowe wyróżnienia. Żona kuzyna, Anna, opowiadała mi, ile emocji przeżyła na wystawie w Monaco. Obok

Żeńka do finału zakwalifikował się cocker Gracy Kelly, żony księcia Monaco. Uważała, że w tej konkurencji jej pies nie ma szans, a jednak pięciu kwalifikujących sędziów przyznało pierwszą nagrodę Żeńkowi stosunkiem głosów 3 do 2. Koszty licznych podróży z wystawy na wystawę, również poza granicę PRL, pokrywał częściowo Żeniek. Opłaty bowiem za tzw. pokrycie były u niego wysokie i należało się zapisywać na długich listach, bowiem wielbicieli cockerów nie brakowało.

Piłkarskie wspomnienia

W roku 1965 poznałem Henryka Martynę, sławnego wielokrotnego reprezentanta Polski w piłce nożnej w latach trzydziestych. Grywał w Cracovii razem z wujem mojego szwagra, Zdzisławem Styczniem, Legii i Polonii. Henryk Martyna był niewysoki, o mocnej budowie i bystrym spojrzeniu o szeroko rozstawionych ciemnych oczach. Interesował się rybami, ale raczej ze względów kulinarnych, ja zaś pragnąłem od niego dowiedzieć się o wielu szczegółach dawnej polskiej reprezentacji, którą w latach 1932-38 bardzo się interesowałem. Okazał się ogromnie ciekawym gawędziarzem, pamięć miał też doskonałą. Opowiadał o swej przypadkowej podróży do USA, jak to on, Józef Nawrot i S. Ciszewski, czołowi piłkarze ówczesnej Legii, zostali namówieni przez kapitana Batorego na rewanżowy mecz w USA. Pierwszy mecz reprezentacja Batorego przegrała w kompromitującym stosunku z drużyną jakiegoś zagranicznego statku. Popłynęli do USA. Rewanż był oczywiście udany, a międzyczasie polska prasa donosiła, że asy Legii gdzieś zniknęły. W jego wspomnieniach odżyły moje chłopięce zachwyty nad dawnymi sławami futbolu. Znowu widziałem chimerycznego Józefa Nawrota (rudy, niewysoki, na lekko krzywych nogach, niezawodny drybler, król strzelców ligowych), który umiał, jak Maradona, pomagać sobie ręką w grze niedostrzegalnie dla sędziów. Nawrot wyemigrował w czasie wojny do Anglii i nie wrócił. Najlepszym partnerem pana Henryka był obrońca, reprezentant Jerzy Bułanow z Polonii Warszawa, rosyjski emigrant po roku 1917, arystokrata, który posiadał w Warszawie na Saskiej Kępie duże place budowlane. Po wojnie od 45 r. mieszkał do śmierci w Argentynie. Dożył 72 lat w dobrym zdrowiu. Pan Henryk był mile zaskoczony, gdy wymieniał wszystkich piłkarzy z reprezentacji Ruchu, Legii, Cracovii, Wisły czy Polonii z tych dawnych lat. Pytałem go, jak wykonywał swoje niezawodne rzuty karne. Powiedział: "Bilem z całej siły szpicem". Znany sprawozdawca sportowy tych dawnych lat, Wojciech Trojanowski, miał wielki dar plastycznego przekazywania tego, co widział na boisku. Wiele lat po wojnie pracował w Radio Wolna Europa.

Tomek w Anglii

Za czasów PRL (do roku 1976) każdy wyjazd na Zachód był możliwy tylko po otrzymaniu specjalnego zaproszenia. Załatwianie paszportu trwało zwykle dwa miesiące i dłużej. Odwiedziła nas bratanica mego teścia, Ala Frost, mieszkająca od lat 40-tych w Anglii, następnie zaprosiła teścia i Tomka do siebie, aby poznali resztę jej rodziny - miała trzech braci i siostrę. Ostatni raz widzieli się z teściem w roku 1938. Ojciec Ali był osadnikiem wojskowym koło Nowogródka. Przeżyli ciężką tułaczkę po roku 39 w Sovietunion, potem byli w Afryce. Bratanek teścia, Staś Świercz, walczył pod Monte Cassino. Wreszcie cała rodzina znalazła się w Anglii, tu młodszy dorastali i się kształcili. Ojciec ich zginął zaraz w roku 39. W odnalezieniu rodziny pomógł Czerwony Krzyż. Pierwszy wyjazd do Anglii 25 lipca 1968 roku był dla Tomka i mego teścia wielkim przeżyciem. Po ukończeniu szkoły hotelarskiej również na zaproszenie rodziny wyjechała do Anglii Monika w celu lepszego poznania języka - pracowała jako pomoc domowa, co było w tych latach normalne. Tomek jako student chciał znowu wyjechać na Wyspy Brytyjskie i tam coś zarobić. Bez powodu odmówiono mu wydania paszportu. Żona moja była zrozpaczona, wszystko bowiem było przygotowane do wyjazdu. Miałem partyjnego kolegę w PAN - zdolny i życzliwy Stanisław Janikowski z Pińczowa (z jego bratem przyjaźniłem się w gimnazjum w Kielcach). Pomoc kolegi okazała się skuteczna, Tomek dostał paszport. Pracował w Londynie prawie dwa lata, zarabiał jako murarz, tapeciarski i malarz pokojowy wykonując terminowe prace w czasie urlopów posiadaczy mieszkań. Nauczył się dobrze wykonywać powierzone mu zadania. Kupił za dwa funty (!) uszkodzone auto, które wyremontował i dojeżdżał nim do pracy, co mniej kosztowało niż normalny przejazd metrem czy busem. Przed powrotem do PRL zwiedził kraje zachodnie. Wracając przez czeską granicę, pojechałem po niego z Pawłem Brunarskim. Przywiózł dobry sportowy wóz i wiele rzeczy jak patefon, radio, różne narzędzia, namiot, sprzęt sportowy i odzież, co było wtedy w kraju drogie i trudno osiągalne. Uważam, że dla niego najważniejszą rzeczą, której się tam nauczył, to była rzetelna, odpowiedzialna praca na każdym miejscu, czego w PRL właściwie nie znano lub z rzadkimi wyjątkami. Większość mówiła: "Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy."

Krakowski "taksówkarz"

W kwietniu 1972 kupujemy w Katowicach na raty fiata 1500. Mój syn, Tomek, przy kierownicy wydaje się wielce kontent. Studiuje geografię na Uniwersytecie Jagiellońskim, ma wielu kolegów. 26 czerwca tegoż roku,

jadąc do Zakopanego, na śliskim zakręcie wylądował w polu z kapustą czy brukwią. Szczęśliwie nikt z pasażerów nie ucierpiał, ale wóz miał poważnie uszkodzoną karoserię, dach do wymiany, mógł jednak wrócić do domu. Gdy mój towarzysz pracy, mgr S. Skóra dowiedział się o tym, ujrzałem na jego pełnotłustej twarzy uśmiech nieklamanej radości, której nie potrafił ukryć.

W tych latach w Krakowie było za mało taxi, na każdym postoju czekało wielu potencjalnych pasażerów. Posiadacze aut dorabiali jako nielegalni taksówkarze. Raz zatrzymała mnie lekarka i poprosiła o podwiezienie do chorego na terminową wizytę. Od tego czasu dorabiałem po pracy jako taxi. Pasażerowie bywali ogromnie rozmowni i zwierzali się z różnych spraw, mężczyźni - spraw intymnych, kobiety - o psach, kotach lub kanarkach. Kilkakrotnie, gdy podwoziłem zakonnice, tytułowały mnie "proszę księdza", nosiłem bowiem chętnie czarny sweter na jasnej koszuli i ciemne spodnie. Raz, jadąc koło kościoła na ul. Kopernika (jak zwykle w czarnym płaszczu), zatrzymał mnie przechodzień pytając: "Kiedy ksiądz spowiada?" Przypomni mi się wtedy Maciej Kosicki, o którego pomysłał 1937 roku z biskupiego gimnazjum w Kielcach wspominałem.

Gdy aut w Krakowie nadmiernie przybyło, przesiadłem się znowu na rower, któremu pozostałem wierny do dziś, bez względu na porę roku i pogodę. Jako rencista po roku 1982 zostałem siedmiokrotnie pozbawiony tego środka lokomocji przez sprytnych złodziei, inni obywatele PRL wbijali szpilki do opon. Opowiadał mi syn, że raz, jadąc autem z obcym pasażerem, usłyszał uwagę: "A cóż to za stary idiota jeździ zimą rowerem?" Syn odrzekł: "To mój ojciec". Kilkakrotnie życzliwi kierowcy dawali mi na skrzyżowaniu przejazd wołając: "Proszę, niech ksiądz jedzie!"

W Danii

Piękne wybrzeże wysp duńskich od Halleshave do Kaludsborga poznawałem we wrześniu 77 roku. (Syn w tym czasie zastępował mnie raz przy elektrycznych połowach badawczych. Poznał moich kolegów, coś mu tam dali zarobić). Pogoda dopisywała, wiały tylko często silne wiatry. Duńscy rolnicy otaczają swoje gospodarstwa wysokim żywopłotem. Każdy dysponuje własną małą elektrownią napędzaną wiatrem. Na maszcie obowiązkowo mała flaga narodowa. Liczne reklamy zawieszane są na łańcuchach i wiatr kołysze nimi hałaśliwie. Jazda na rowerze jest utrudniona, gdyż silniejsze podmuchy boczne uniemożliwiają utrzymanie równowagi, a jazda pod wiatr jest często niemożliwa.

Przebywałem w Halleshave u znajomej lekarki mego kuzyna, na małej farmie. Był ładny dom i ogród położony ok. 300 m. od morza. Nonnie, 63-

letnia lekarz-psychiatra, od 14 lat zażywała kąpeli w morzu bez względu na pogodę i porę roku. W zimowe chłodne dni kąpiel była bardzo krótka. Zanurzała się na kilkanaście sekund i odświeżona wracała. Pracowała w niedalekim szpitalu, jeździła starym Volvo, zawsze boso - uważała, że lepiej wyczuwa pedał sprzęgła i gazu. Zbierałem w ogrodzie jabłka i gruszki, których gromadziłem duże ilości w specjalnym pomieszczeniu w piwnicy. Cała rodzina Nonnie korzystała w zimie z tych zapasów. Pewnego dnia przyjechała sąsiadka Nonnie i zaproponowała, abym również jej pomógł w pracy w ogrodzie. Była to starsza, 74letnia osoba, mieszkająca w dużym, 10-pokojowym domu, z synem, właścicielem olbrzymiej hodowli tuczników. Syn był bardzo zajęty i niemal cały dzień nieobecny. Pani Karen Larsen знаła biegle trzy języki europejskie, studiowała w Paryżu i chętnie opowiadała o swej młodości - była kiedyś ładną kobietą. Chętnie wykonywała wszystkie prace domowe i w ogrodzie. Sprawność jej jak na 74-letnią kobietę była wyjątkowa. Zaprosiła mnie dlatego, że byłem z Polski. Chciała się dowiedzieć, jaka jest obecnie Polska Ludowa. Opowiadała mi, że w czasie swoich studiów w Paryżu przed 50-ciu laty poznała studenta Polaka o nazwisku Czetwertyński, co dla Anglosasów nie jest łatwe do zapamiętania. Była to jej pierwsza miłość, której nigdy nie zapomniała. Od tej pory interesuje się Polską. Wypytywała mnie o warunki socjalne w PRL, była raczej negatywnie rozczarowana. Nosiła w sobie obraz młodego polskiego studenta z arystokracji władającego biegle francuskim i niemieckim - przypuszczała, że takich było zapewne więcej. Znała Polaków przed 39 rokiem jako biedaków pracujących w majątkach niemieckich, głównie w Mecklenburg, gdzie jeździła parokrotnie w towarzystwie hr. Czetwertyńskiego odwiedzając jego arystokratycznych kolegów z paryskich uczelni. Widziała przepaść dzielącą jej wykształconego przyjaciela a pracownikami rolnymi, tzw. bandosami, jeżdżącym na "Saksy". Pytała mnie zaintrygowana, jaka jest właściwie ta Polska. Opowiedziałem jej w skrócie historię mej ojczyzny, okres rozbiorów, który spowodował to olbrzymie zacofanie w stosunku do krajów zachodniej Europy. Praca rolnika czy hodowcy w Danii była już od wielu lat zmechanizowana, oparta na mądrej kapitalistycznej konkurencji - pozwalało bogacić się rzetelnie pracującym. Do takich należał jej syn, właściciel ok. 1000 sztuk tuczarni.

Na terenie Mecklenburg w byłej DDR otworzono kilka muzeów ukazujących warunki, w jakich żyli ówcześni pracownicy rolni, głównie w latach 1920-44. Były to warunki prymitywne, ale nikt nie umierał tu z głodu, brudu i odrobactwa, jak ginęli ludzie tysiącami w obozach stworzonych przez Lenina i Stalina w Sovietunion już od 1918, aż do 1985. Wg "Gułagu" A. Sołżenicyna i statystyk prof. Z. Brzezińskiego ok. 100 milionów ludzi zostało zamęczonych, zniszczonych, zamordowanych przy gigantycznych

pracach w straszliwych warunkach i klimacie "dla dobra radzieckiej ojczyzny". Wyniki znane. W roku 1991 skończyło się imperium zła. Mentalność radziecka jeszcze długo będzie zatruwać swym trupim zaduchem obszary, na których istniała przez trzy lub dwa pokolenia. Jaki koszt musiano zapłacić za wprowadzenie ideologii fałszywego proroka, Lenina, tego dokładnie nigdy nikt nie obliczy. Tysiące szpiegów i wywiadowców, płatnych morderców, setki zamachów na terenie również zachodniej Europy (zamach na papieża) - to wszystko opłacali nędzarze z Sovietunion wbrew swej woli i wiedzy.

* * *

Latem 78 roku przyjechał z Anglii Edzio Świercz. Na przyjęciu w hotelu Francuskim są Vogtowie, Brunarscy, my i Monika z malutkim Michałem.

Edzio w Anglii stał się bogatym przedsiębiorcą. Vogt wygłosił mowę pochwalną na jego cześć. Po zakończeniu jakaś dama w moim wieku pyta mnie po angielsku, co to za piękna uroczystość w tak licznym gronie - siedziała obok samotnie przy innym stole. Wyjaśniam, że kuzyn z Anglii przybył po czterdziestu latach do ojczyzny. Dama była towarzyska, opowiadała, że w 1940 roku poznała polskiego lotnika, była jego narzeczoną, ale zginął nad Anglią. Teraz odwiedza jego rodzinę w Wadowicach i coś im pomaga. Założyła rodzinę, ma dzieci i wnuki. Zapytałem, czy zna jakieś polskie słowa. "O, tak - odrzekła i wypowiedziała bezbłędnie z dobrym akcentem: <Chrząszcz brzmi w trzcinie w Szczepieszynie, a dżdżownice tego nie słyszą.>" Zdumienie moje było wyjątkowe, bowiem owa lady nauczyła się tylko tego zdania w roku 1940 właśnie od tego lotnika, Janka Muchy. Na jego wspomnienie pojawiły się łzy w jej oczach. Wiele lat minęło, a pamięć i uczucie do polskiego chłopca pozostało.

* * *

Wielokrotnie pisałem do prasy w Krakowie na temat zdiczenia obyczajów i pospolitego chamstwa na każdym kroku: na ulicy, na stadionach sportowych, a nawet w kawiarniach czy restauracjach. Raz tylko moja mała notatka znalazła oddźwięk w Echo Krakowa z dnia 6 marca 1980 roku, ale opuszczono w niej uwagę prof. Witolda Doroszewskiego o mowie rodaków i rodaczek: „Wielki był bowiem wpływ Kościoła na wyrażanie się kobiet: "Jezus Maryja", "O, Matko Boska" itp., a knajpy na częste przekleństwa (k...) kalające usta mężczyzn.”

Oto moja notatka z Echa Krakowa:

Nie szanują siebie samych

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem kilka zdań piętnujących "polską mowę uliczną i tramwajową" - pt. "Gadanie chłopskie". Pragnę częściowo odpowiedzieć na końcowe pytanie, "za jakie grzechy?" Tych grzechów jest wiele. Brak właściwego wychowania w domu i w szkole, a co za tym idzie, brak podstawowej kultury obycia i szacunku dla otoczenia. Smutne, ale wielu gości zagranicznych twierdzi, że obecnie Polacy są zupełnie, delikatnie mówiąc, "nieobyci". Łamanie przepisów w pozornie drobnych sprawach, np. picie alkoholu w miejscu pracy czy palenie w pociągach, w przedsiionkach dla niepalących, jest u nas zupełnie bezkarne, a są przepisy przewidujące za to wysokie grzywny. Kodeks Wykroczeń - paragraf 140 i 141 - wyraźnie określa, że za używanie wulgarnych słów w miejscach publicznych kara wynosi do 3 000 zł. Kto kiedy spotkał się z egzekwowaniem tego rodzaju kar? W Polsce przepisów ludzie nie znają albo nie szanują. Stróże porządku publicznego i inne organa administracyjne nie wypełniają należycie swoich obowiązków.

Kto nie szanuje otoczenia, nie szanuje siebie samego.

W. Wietrzykowski

* * *

2 października 1983 r. odbył się uliczny bieg dookoła Lasku Wolskiego w Krakowie. Zapisalem się do tego biegu jako Wojciech Todor (moje drugie imię). Jak się kończy 61 lat to lepiej oficjalnie przy takich okazjach nie używać swego nazwiska z uwagi na ewentualny blamaż. Pogoda dopisała, było pięćdziesięciu zawodników i jedna zawodniczka. Trudy biegu wytrzymało 45 uczestników, w tym najstarszy 61-letni zawodnik Wojciech Todor z Krakowa, jak podało Echo Krakowa następnego dnia:

Ich pięćdziesięciu i ona jedna

50 zawodników i... Anna Bełtowska uczestniczyli w II Ogólnopolskim Biegu Dookoła Lasku Wolskiego na dystansie 24 km. Imprezę tę zorganizowały w 40. rocznicę powstania Ludowego Wojska Polskiego Krakowski Okręgowy Związek Lekkoatletyczny oraz nasza redakcja. Start i meta znajdowały się na Błoniach. Trudy tego biegu wytrzymało 45 uczestników. (...)

Klasyfikacja generalna: 1. Poniatowski (Wawel) 1.15, 27 - zdobywca pucharu "Tempa"; 2. Kumiszczka (Wawel) 1.16, 00; 3. Janik (Wisła)...; W konkurencji kobiet jako jedyna startowała Anna Bełtowska (Hutnik) 1. 34, 28, mijając metę w świetnej formie. Oklaskami nagrodzono tę zawodniczkę, gdy odbierała puchar Wydziału Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki Urzędu m. Krakowa.

W klasyfikacji wiekowej w grupie zawodników do 40 lat najlepszy był Hieronim Majcherek (Katowice), do 50 Ń Ryszard Obertyn (Jaworzno), a

do 60 Ń Benedykt Gugala (Kraków). Najlepszy rezultat wśród nie stowarzyszonych uzyskał Zbigniew Król (Kraków) Ń 10 miejsce. Najstarszy zawodnik - Wojciech Todor (61 lat) z Krakowa, najmłodszy - Janusz Dudała (19 lat) z Będzina.

* * *

Po śmierci mej żony, Anny, w marcu 1985 roku, postanowiłem zrealizować swoje zamierzenia, z którymi nosiłem się od początku panowania komuny: wyjechać i zakończyć żywot w kapitalistycznym ustroju. Przez 45 lat doznałem wiele upokorzeń i niedostatku materialnego, widziałem na każdym kroku oszustwo, fikcję, niekompetencję, indolencję i po prostu beznadziejność. Powtarzały się błędy i wypaczenia: w roku 1956 Poznań i Węgry, w 1968 zajęcie Czechosłowacji, 80-81 powstanie "Solidarności" i stan wojenny. Przez 45 lat nigdy nie miałem najmniejszej wątpliwości, że obłądny system Marksa i Lenina musi upaść. Po przeczytaniu Sołżenicyna i innych książek mówiących prawdę o komunie byłem pewny, że ta fikcja długo nie potrwa. Wyjątkowo trafnie przepowiedział koniec imperium zła w książce "Wielkie bankructwo" Zbigniew Brzeziński. We wrześniu 85 roku na wędrownicy górskiej zaprzyjaźniłem się z lekarką niemiecką młodszą o 18 lat. Nigdy wtedy nie przypuszczałem, że będzie to moja druga żona. W moim wieku (wtedy 66 lat) ludzie przygotowują się do pieca krematoryjnego lub budują sobie grobowce, a jednak wspólne zainteresowania literaturą, podróżami, turystyką, doprowadziły do tego, że popełniłem drugi raz małżeństwo. Nauczyłem się już żyć samotnie i nie było mi źle jak się lubi dużo czytać i podróżować. Czas miałem wypełniony, zarabiałem w prywatnych przedsiębiorstwach.

* * *

Moje podróże po 1985

Rodacy na Zachodzie

Od 1987 zacząłem podróżować - lepiej późno niż wcale. Poprzednio, w latach 1977-84, dzięki rodzinnym układom, poznałem Kopenhagę, Sztokholm, Wiedeń oraz dokładnie Berlin i Hamburg. Interesowały mnie głównie dwie dziedziny, które w każdym z tych miast starałem się poznać: jak najwięcej obejrzeć muzeów i spróbować jazdy na różnych wierzchowcach w licznych klubach jazdy konnej.

Kopenhaga

Rodacy są rzeczywiście wszędzie, najwięcej jest ich w RFN, ale również na ulicach Kopenhagi, Sztokholmu czy Wiednia często słyszałem ojczysty język. Od razu mogłem poznać, czy to ta starsza emigracja, czy najnowsza, urodzona już w PRL. Ta ostatnia bezmyślnie przeklina powtarzając łacińskie słowo "krzywa" czy hiszpański "zakręt". Smutne to i wulgarne, a przede wszystkim nudne. Czytałem kiedyś o konkursie na przekleństwa, w którym nie wolno było się powtórzyć, można zaś było używać słów innego języka. Zwycięzcą został marynarz z Anglii, który przez 28 minut wyliczał przekleństwa i otrzymał w 1937 roku nagrodę 1000 funtów.

Pierwszą stolicą Zachodu, którą dokładnie poznałem, była Kopenhaga. Mój znajomy, Christian H., mieszkał pod Kopenhagą. Miałem u niego zapewniony gratisowy nocleg i śniadanie, co dla przybysza z PRL jest sprawą ważną. Jako środka lokomocji używałem roweru. Muszę nadmienić, że rower jest moim najwierniejszym przyjacielem od roku 1930. Nigdy go nie zdradziłem, nawet, gdy dorobiliśmy się w r. 1972 fiata 1500. Syn jeździł wozem, a ja rowerem. Odbywałem więc długie wycieczki po uroczej Kopenhadze. Pewnego wieczoru po wyjściu z muzeum jadłem hot-doga u ulicznego sprzedawcy. Było pusto. Wdałem się z nim w rozmowę używając angielskiego i całkiem przyjemnie wymieniliśmy nasze zapatrywania. W pewnej chwili widząc, że jestem cudzoziemcem, zapytał, skąd pochodzę. Gdy odrzekłem, że z Krakowa, zaśmiał się i zaczął mówić całkiem zrozumiałą polszczyzną. Okazało się, że on, urodzony już w Danii, miał matkę Polkę i w dzieciństwie mówił po polsku. Inną ciekawą rozmowę miałem z żydem, który czule wspominał swoje dzieciństwo w Warszawie. Nie znał już języka polskiego - opuścił Polskę jako dwulatek - znał zaś Warszawę z opowiadań rodziców. Kopenhaga jest miastem cyklistów. Połowa mieszkańców porusza się tym środkiem lokomocji, np. koło głównego dworca stoi przy różnych stojakach ponad 3000 rowerów. Miłą rozmowę przeprowadziłem z pewną cyklistką, z którą ponad godzinę jechaliśmy w jednym kierunku. Dama ta, szczupła, elegancka, w dużych ciemnych okularach, kapelusiku, oczywiście w spodniach, wyglądała na 45 lat. Doskonale pedałowała. Na jakimś skrzyżowaniu, gdy rozstając się zmienialiśmy kierunek jazdy, powiedziałem, że jestem pełen podziwu dla jej sprawności, bo mając ok. 50 lat potrafi dwie godziny podróżować rowerem. Zdumienie moje było zupełne, gdy dama uśmiechnęła się mówiąc: "Pan jest bardzo uprzejmy, dziękuję za komplement, ja skoczyłam już 75 lat." W Danii wszyscy starsi lepiej mówią po niemiecku niż angielsku, natomiast młodzież odwrotnie. Duńczycy wielokrotnie nadmieniali, jak to dobrze być Polakiem, bo rozumie się bez specjalnej nauki język rosyjski, czeski, słowacki (tu mieli rację) jak i u nich, 90 % Duńczyków rozumie szwedzki czy norweski. Mój kuzyn

był lektorem języków słowiańskich na uniwersytecie w Kopenhadze. Zapraszał mnie na swoje seminaria. Był wrzesień i bardzo nieliczna garstka studentów bywała wtedy obecna - od 2 do 6 osób. Wykładał język rosyjski, znał czeski, słabo polski, ale dobrze niemiecki, francuski i angielski. W Kopenhadze oprócz zwiedzania licznych muzeów uprawiałem kilkakrotnie jazdę konną w znajomym klubie mego kuzyna. Zamożność właścicieli koni była nieporównywalna z "bogactwem" PRL. Każdy dysponował kilkoma końmi i specjalnym wozem dla ich przewozu. W dzielnicy bogatych oglądałem ogrody planowane przez wybitnych rzeczoznawców, jak powinny być usytuowane drzewa, krzewy, krzewinki i basen. Kopenhaga znana jest ze swobodnej erotyki, np. olbrzymi, piękny ewangelicki kościół, zwykle pusty, położony niedaleko dworca, otoczony był sex-shopami i różnymi lokalami raczej o rozrywkach nie dla duchownych. Widziałem, jak szanowne panie, wyglądające na żony profesorów czy pastorów, sprzedawały pięknie wydaną pornografię koło starego ratusza

Sztokholm

Dużo rodaków spotkałem w Sztokholmie, np. gdy wynajmowałem pokój w biurze kierującym turystów do domów prywatnych, usłyszałem, że w sąsiednim pokoju radio odbiera Warszawę. Gdy przyszła moja kolej, rozpocząłem rozmowę po polsku. Pracowniczka biura okazała się krakowianką z ul. Odrowąża, od roku tu mieszka, wyszła za mąż za Szweda. Dzięki niej dostałem pokój w pięknej dzielnicy w centrum Sztokholmu. Mieszkańcy Danii i Szwecji mają duże mieszkania, często niewykorzystane, w siedmiu czy więcej pokojach mieszka np. jedna starsza osoba. Chętnie więc wynajmują turystom i mają z tego dochód. Zwiedzałem Sztokholm również rowerem. Z 41 sztokholmskich muzeów obejrzałem 18. Największe, niezapomniane wrażenie zrobiło na mnie Muzeum Historyczne w starym zamku królewskim. Oglądając eksponaty słucha się dźwiękowego nagrania, np. patrząc na karocę królewską zaprzęzoną w cztery piękne rumaki słychać okrzyki pozdrawiające króla jadącego na koronację, stukot kół karocy toczącej się po bruku, uderzenia kopyt. Wyobraźnia przenosi widza o 450 lat wstecz. W Muzeum Morskim można zapoznać się z budową okrętów dawnych i obecnych w najdrobniejszych szczegółach. W Muzeum Przyrodniczym zwracał uwagę świetnie wypchany półzając-półorzęł. Skansen w dzielnicy Djutgarden i rozrywki hazardowe mogą wciągnąć najbardziej oszczędnego turystę. Spotkani tu Polacy opowiadali tylko, jak można zarobić korony. Byłem raz na wyścigach kłusaków. Odbywał się tu mitting zwycięzców z całej Europy. Piękny, majowy

ciepły dzień. Oprócz wyścigów kłusaków można było oglądać wiele urodziwych mieszkanek Sztokholmu w stroju topless. Nie musiały się wstydzić tego, co pokazywały.

Wiedeń

Wiedeń poznałem w roku 1980. Ceny żywności wyższe niż w Skandynawii, ludzie zupełnie inaczej nastawieni do turystów. W Danii czy Szwecji na starszego cyklistę patrzą serdecznie, przyjacielsko, w Wiedniu natomiast, gdy pyta o drogę, uważają takiego za biedaka-ryzykanta. Muzeum Marii Teresy, jedno z najciekawszych, jakie oglądałem, zajęło mi parę dni. Przebogate zbiory, ciekawe eksponaty. Dłużej zatrzymały mnie wykopaliska, np. kilogramowe złote samородki, które otrzymała Maria Teresa od cara Aleksandra. Przy tej gablocie gromadziło się wielu fotografujących turystów z USA. To samo widziałem oglądając komplet do golenia ojca Franza Józefa. Rama lustra, rączka pędzla, miseczka, duży aparat do golenia i inne drobiazgi, były ze złota.

Hamburg

Od 10 maja do 24 sierpnia 1987, dokładnie 105 dni, spędziłem w tym pięknym, ciekawym mieście. Wyjechałem przypadkowo na dłuższą wycieczkę, do znajomego mej córki, Juliusza Przywary. Ułatwił mi on pierwsze kroki i serdecznie gościł przez trzy dni. W roku 1987 liczne wycieczki z krajów demoludów zostawały tu i prosiły o azyl, np. komplet pasażerów autobusu zostawał, łącznie z kierowcą; przysyłano kierowcę-zmiennika, a i ten nie wracał. Uczestnicy wycieczek na statkach do Hamburga masowo szły do biur z prośbą o azyl. Bardzo tolerancyjne przepisy BRD ułatwiały tysiącom kandydatom emigrantom pobyt. Miałem okazję z bliska przyjrzeć się życiu tych Polaków w Hamburgu. Było ich kilkanaście tysięcy na terenie wielkiego miasta. Młodzi kierowani byli szybko do innych ośrodków i pracowali często na wsi. Mieszkając u polskiej rodziny, czekającej na wyjazd do Kanady, miałem dobre rozeznanie. Przychodziło do mnie wielu rodaków nie znających języka niemieckiego z prośbą o załatwienie spraw związanych z przyznaniem mieszkania. Po miesiącu orientowałem się niezłe w tej procedurze. Bywały wypadki, że samotna kobieta umierając zostawiała swoje małe mieszkanie całkowicie umeblowane. Otrzymywali je szczęśliwi, często przypadkowi małżonkowie cudzoziemscy. Niemcy mieli swoje nowe, piękne budownictwo w wybranych dzielnicach. Załatwiając te sprawy w wielu urzędach musiałem przyznać urzędnikom niemieckim wielką uprzejmość i często życzliwość dla tych często prymitywnych moich

rodaków. Pracowali oni "na czarno" przeważnie przy naprawie samochodów, jako pomocnicy na budowach i sprzątacze. Każdy z azylantów otrzymywał tzw. socjalne, ok. 400 DM miesięcznie, miał zapewnione mieszkanie, pranie i potrafił dopracować zwykle drugie tyle lub więcej - to byli ci uczciwi, zapracowani cały dzień. Pewna część polskiej społeczności nie zadowolala się tym, stosunkowo dobrym, poziomem życia w porównaniu do warunków, jakie dawał ustrój socjalistyczny. Wielu chciało zdobyć pieniądze na emigrowanie, głównie do USA, Kanady czy Australii. Zdobywali pieniądze drogą różnie zorganizowanej kradzieży. Wiadomo, że z domów towarowych na Zachodzie łatwo można wynieść, co się chce. Różnica między obywatelami krajów kapitalistycznych i socjalistycznych polegała w tym wypadku na tym, że pierwsi nie wyobrażali sobie, jak można coś zabrać bez zapłacenia, a drudzy - odwrotnie, płacąc dla pozorów za jakąś część ukradzionego towaru. Wśród tej złodziejskiej części polskiej społeczności krążyła fama o jakimś Polaku inżynierze władającym biegle angielskim i niemieckim, który mając nobliwą aparycję i również zdolną do wszystkiego elegancką towarzyszkę, dokonywał brawurowych i bezczelnych, często niezwykle ryzykownych kradzieży na tzw. zamówienie. Elegancka pani przy mierza futro, wychodzi nie zauważona i znika w swoim mercedesie, gdy w tym czasie inżynier aranżował fikcyjną transakcję na jakąś równie cenną rzecz z niebywałą znajomością zaabsorbowania otoczenia swoją osobą. W "Heimach", gdzie mieszkali azylanci, można było kupić wszystko za pół ceny sklepowej. Można też było zamówić jakieś specjalne obuwie czy kolor sukni. Byli specjaliści od kradzieży każdego towaru. Najtaniej kupowało się rowery, już od 5 marek, stosunkowo drogie były telewizory wynoszone przez gang murzyński. Jeden pracował w wielkim magazynie, ubierał kolegów-złodziei w chałaty służbowe i wynosili razem, niby dla kupujących, do samochodów. Murzyni handlowali też narkotykami, które otrzymywali od specjalnych kurierów. Opowiadali mi naoczni świadkowie, że po sprzedaży narkotyków u Murzynów odbywały się długie libacje z tanecznymi popisami itp. Niektóre dziewczęta niemieckie poddawały się tym murzyńskim zwyczajom i wspólnie zażywali narkotyki. Policja mimo kontroli i często brutalnej interwencji z braku dowodów nie zatrzymała nikogo. Najwybitniejsi złodzieje gromadzili już po roku kilka tysięcy dolarów lub więcej, jak wspomniany poprzednio inżynier. Złapani złodziej zanotowany w komputerze właściwie jest już zawsze podejrzany i może być nawet usunięty z kraju. Zdarzały się wypadki, że u złapanego złodzieja policja przeprowadzała rewizję i stwierdziła nienormalne zapasy kradzionych rzeczy, ale ich nie zabierała. Również kradzież artykułów żywnościowych była traktowana łagodniej, gdy złodziej twierdził, że kradnie "z głodu". Nadprodukcja środków żywności jest w BRD olbrzymia i magazynowanie stwarza poważne ekonomiczne problemy i koszty.

Kościół polski znajduje się w dzielnicy San Pauli, cieszącej się sławą najliczniejszych lupanarów i przybytków rozrywki raczej nie dla duchownych. Na każdej ulicy jest kilkanaście sex-shopów, kin porno i pokazów "na żywo". W niedzielę zbierało się kilkuset wiernych, aby wysłuchać polskiego kazania, mszy, a później w dużej parafialnej sali wypić wspólnie kawę czy herbatę, wymienić towarzyskie plotki czy dopytywać się o nową pracę. Kilkakrotnie brałem udział w tych pokościelnych zebraniach. Opowiadano mi, że zdarza się, iż w czasie rannych mszy bywalcy nocnych lokali na chwiejnych nogach zaglądali do kościoła i naigrawali się z pobożności rozmodlonych katolików. Wyprowadzano ich szybko, ale nieprzyjemny zgrzyt pozostawał. Po mszy przy kościele ustawiali swoje samochody polscy sprzedawcy kielbas, wędlin i innych narodowych specjalności, głównie bigosu, aby tu, choć po tańszych cenach, upchnąć nadmiar towarów.

Dla mnie największą przyjemnością było zwiedzanie muzeów. Najciekawszą ekspozycję miało Muzeum Etrusków, Przyrodnicze i Historyczne o dziejach Hamburga. Główny cmentarz jest jakby wielkim parkiem o powierzchni ponad 20 km². Autobus przejeżdża przez 12 Kapelle. Groby oddalone są od siebie często o kilkanaście lub kilkadziesiąt metrów, wszędzie egzotyczne drzewa i krzewy, nagrobki niewielkie. Spoczywają tu jedynie urny z popiołem - wielkie, nowoczesne krematorium znajduje się przy głównym wjeździe. Ten cmentarz pomyślano z wielkim rozmachem. Pierwszy raz widziałem na niektórych grobach napisy z lat 1688 i wcześniejszych - zachowały się dzięki odpowiedniej konserwacji. Hamburg był zniszczony dywanowymi nalotami w latach 43-44, ale odbudowano go i jest pięknym, nowoczesnym miastem.

Ogród zoologiczny jest jednym z największych w Europie.

Oglądając mecz polo między drużyną Hamburga i Argentyny miałem szczerzy podziw i uznanie dla sprawności jeźdźców, a głównie znakomitej tresury koni. Dzięki treningowi, przy bardzo niebezpiecznych upadkach wychodzili oni i konie bez poważniejszych uszkodzeń. Każdy jeździec dysponuje zwykle czterema końmi. Ustawiczne galopy, zwroty, natychmiastowe zmiany szybkości biegu konia, wymagają wielkiej precyzji i refleksu. Sport dla bogatych i śmiałych. Ile kosztuje utrzymanie i transport tylu koni - nie do pomyślenia dla mieszkańców demo-ludów. Ten sport był właśnie z tych powodów uprawiany jedynie u kapitalistów. Popularne są tu również wyścigi kłusaków, które dostarczają znawcom satysfakcji. Piękno biegu wyćwiczonego w kłusie konia jest dla wielu bardziej emocjonujące niż normalne wyścigi konne, płaskie i bez przeszkód. Totalizator we wszystkich tych biegach przyciąga wielu chętnych.

Paryż

W roku 1989, czyli w sto lat po jej wybudowaniu, wjechałem na wieżę Eiffla. W małym pokoiku na wysokości 300 m mieszkał niegdyś jej twórca, gościł tam Edisona. Te dwie postacie witają zwiedzających. Wieża ma minimalne, ale wyczuwalne odchylenia w czasie silnych podmuchów wiatru. Paryż nie robił wrażenie nie poznanego miasta. Znany jest z niezliczonych fotografii, filmów, książek, przeżrocy. Zwiedzanie wielu obiektów jest dla starszego turysty nieco męczące. Upał był wyjątkowy. Jednak w Muzeum Armii i Wojska przy placu Inwalidów zmęczenie zniknęło i mogłem godzinami podziwiać uniformy wojsk napoleońskich, najrozmaitsze akcesoria cesarskie, jego stroje - od skarpetek po kapelusz. Obok stał wypchany cesarski wierzchowiec. Nie mogłem oprzeć się małym porównaniom, o ile lepszych używa dziś przeciętny obywatel ubrań i jeździ na lepszych koniach, niż było to w latach 1800 - 1815.

Paryska Polonia jest bardzo liczna i różnorodna - od bogatych ludzi, którzy od lat tu mieszkają, do nowoprzybyłej inteligencji, szybko się adaptującej, tworzącej sobie dobry materialny byt, często jednak myślącej o powrocie do kraju. Ciekawą rozmowę przeprowadziłem z lekarzem, żydem, mieszkającym tu od roku 1950. Ukończył medycynę we Lwowie, przeżył w Polsce okupację jako lekarz w szpitalu zastępując często zmieniających się lekarzy niemieckich. Ocaliła go wybitnie nordycka uroda i nazwisko Hindenburg. Mając już ponad 80 lat zaczął pisać pamiętnik, a życiorys miał niezwykle ciekawy.

USA

Od grudnia 90 roku do sierpnia 91 przebywałem w USA. 6 grudnia spędziłem z żoną u mego kuzyna, Vito Kłoczkowskiego, syna znanego przed wojną komandora łodzi podwodnej "Orzeł". Witold mając 17 lat uciekł w 47 r. do ojca, który mieszkał wtedy na wschodnim wybrzeżu koło Bostonu. Ojciec jego ożenił się powtórnie z Polką i gospodarowali na dużej farmie. Vito pracował na farmie u ojca. Matkę stracił w Powstaniu Warszawskim, a siostra jego po ciężkim szoku miała półroczny zanik pamięci. Mając 21 lat ożenił się Vito z urodziwą, 16-letnią Reina, dziewczyną pochodzenia hiszpańskiego z Wenezueli. Dziś mają czworo udanych dzieci i liczne wnuki. Reina została babką, mając 37 lat. Vito w roku 89 odwiedził Polskę po raz pierwszy od 47, spotkał się w Krakowie ze swym byłym nauczycielem, obecnie profesorem Zdzisławem Zurzyckim, który mając 72 lata musi pracować, aby dorobić do ubogiej pensji. Vito pracował do emerytury, ale ma wszystko: piękny dom, trzy wozy, dwa traktory oraz może jeź-

dzić swobodnie i zwiedzać świat. Taka jest różnica w standardzie życia rencistów u kapitalistów i komunistów. Nadmieniam, że Vito nie ukończył studiów - pracował na farmie, a później jako majster budujący domy.

W USA łatwo nawiązuje się przyjacielskie kontakty. Podczas ранego joggingu poznałem 63-latkę, codziennie biegającą regularnie. Był Niemcem ze wschodniej części Berlina. Opowiadał wiele. Jako młody szesnastolatek służył w Hitlerjungen, a w 45 r., gdy zabrano jego rodzicom duży majątek pod Berlinem, wyemigrował. Gdy dowiedział się, że moja żona jest Niemką, wielokrotnie zapraszał nas na wspólne zwiedzanie samochodem okolicznych gór i zjazdów narciarskich, przeważnie sztucznie naśnieżanych. Mr Werner R. był ogromnie towarzyskim człowiekiem, który poznał Japonię, całą Europę, USA i umiał barwnie opowiadać, co wiedział i przeżył. Żona jego była nauczycielką, syn ożenił się z kanadyjską żydówką, co w dawnych czasach było nie do pomyślenia u Niemców.

Vito pomagał swoim synom w różnych przeróbkach i rozbudowywaniu domów. Ambicją każdego Amerykanina jest posiadanie pięknego domu z ogrodem i basenem. Kupuje się domy i często poprawia według własnych upodobań. Pojechaliśmy ze Sterling pod Bostonem do stanu Rhode Island. Tam mieszkał najstarszy syn Vita ożeniony z Czeszką - Hrobacek. Urodziwa, nowoczesna kobieta, odznaczała się wybitnym talentem kulinarnym. Przyrządzone przez nią sałatki z homara, majonezu i innych tajemniczych dodatków, miały rzeczywiście wyszukany smak i upamiętniły mi się specjalnie, bo ani w Paryżu ani w różnych restauracjach chińskich czy japońskich, nigdy czegoś takiego nie próbowałem. Nadmieniam, że nigdy nie byłem koneserem w dziedzinie kulinarnej i do dzisiaj najchętniej jadam śniadania i kolacje na stojąco.

Niezapomniane wrażenie wywarło na mnie zwiedzanie Muzeum Morskiego czy Oceanarium w Bostonie. W olbrzymim budynku mieści się akwarium, na trzy piętra wysokie o szerokości 120 metrów. Znajdowało się tam ponad 2000 gatunków ryb, od małych, o najdziwniejszych kształtach i niebywale kolorowych, do rekinów. Karmienie odbywa się co kilka godzin. Do akwarium wpływa wtedy trzech płetwonurków, którzy pływającym okazom podrzucają ulubiony rodzaj żywego pokarmu. Prospekt nadmienia, że jest to największe akwarium świata. Może ono pomieścić 180 tys. galonów wody, co jak łatwo obliczyć wynosi niecałe 720 tys. litrów. Woda jest regularnie wymieniana i utrzymywana w odpowiedniej temperaturze. Oglądaliśmy też tresowane foki, które dawały popisy jak zwykle w dobrych cyrkach. Boston jest pięknym miastem przypominającym stolicę europejskie.

6 stycznia 1991 roku wylądowałem w San Francisco. Dwukrotnie lądował nasz Boeing, w Baltimore i Indianapolis. Podróż z Bostonu trwała

stosunkowo długo, bo niemal 9 godzin. Mogliśmy porównać wikt podawany w różnych towarzystwach lotniczych. Angielskie, niemieckie, szwajcarskie czy polskie linie lotnicze, karmią swych pasażerów lepiej niż amerykańskie i obsługa w samolotach USA też nie należy do najlepszych. W San Francisco okazało się, że nasze bagaże nie przyleciały razem z nami. Pocieszono nas, że to normalna sprawa. Urzędniczka pokazała mi w poczekalni kilkadziesiąt walizek, które właśnie przyleciały z różnych lotnisk i będą dostarczane pod właściwy adres w ciągu najbliższych dni. Uwierzyłem jej, bo umiała opowiedzieć to z czarującym uśmiechem i przepraszała wyjaśniając, że praca przy przenoszeniu bagażu z samolotu na inny samolot jest mało ciekawa i wykonują ją przeważnie mało inteligentni ludzie. Na trzeci dzień nasze walizki zostały nam dostarczone do domu.

Córka moja, Monika, wraz ze swym mężem i dwojgiem dzieci od dwóch lat mieszkała w Sacramento. W maju 90 r. urodziła trzecie dziecko, Mateusza. Pracowała jako tłumaczka. Zna angielski i rosyjski, więc w szkołach łatwo otrzymała pracę przy testowaniu wielkiej ilości dzieci uchodźców z Sovietunion. Oczywiście, wychowując malutkie dziecko musiała, musiała pracę przerwać, natomiast zięć mój, inżynier-elektryk, pracował na dwóch posadach - dosłownie od 6 rano do 2-giej w nocy. W tym czasie miał kilka godzin na odpoczynek i obiad. Zięć mój stosunkowo dobrze zarabiał jako rozwoziciel pizzy w Sacramento. Był dobrym kierowcą, szybko poznał dokładnie miasto, również szybko przyswoił sobie znajomość języka. Został przodownikiem rozwozicieli i otrzymywał odpowiednie premie. Po kilku miesiącach kupił prawie nową toyotę. Zaraz następnego dnia zrabował mu ją murzyn, przykładając mu do głowy pistolet, żądając kluczyka i pieniędzy. Szczęśliwie po dwóch miesiącach policja złapała rabusia i auto powróciło do właściciela. Na liczniku było ok. 20 tys. mil więcej. Jadąc raz rowerem przez miasto ok. godz. 13-tej usłyszałem strzały i ujrzałem, jak ludzie uciekają z pobliskiej restauracji. Okazało się, że jakiś nie-normalny posiadacz broni zastrzelił bez powodu czterech, spokojnie się posilających, nieznanym mu osobnikom. Córka moja, Monika, raz będąc samotnie z małym dzieckiem na wieczornym spacerze w olbrzymim parku spostrzegła, że jakiś murzyn jedzie za nią powoli autem. Wiedząc, jak częste są w USA wypadki porwania dzieci, skierowała się do najbliższego domu, gdzie widziała światło. Pozwolenie na broń było niepotrzebne, więc każdy mógł sobie kupić, jaką chciał.

Tzw. apartament, czyli trzypokojowe mieszkanie z przyległościami i klimatyzacją, kosztuje miesięcznie ok. 450 dolarów wwyż, zależnie od dzielnicy. Ubezpieczenie dwóch samochodów wynosi ok. 2000 dolarów rocznie. Jak wiadomo, bez samochodu nie można pracować, bo dojazd do miejsca pracy trwa nawet ponad dwie godziny w jedną stronę. Polonia w Sacramento, którą poznałem głównie w kościele św. Salomei, składała się

z ok. 50-ciu rodzin. Pragnę wymienić kilka nazwisk młodych zdolnych emigrantów, jak Piotr Okoński, już obywatel Kanady, przeniesiony do Kalifornii, spec od programów komputerowych; P. Lupa, inżynier budowlany pochodzący z Limanowej; działacze solidarnościowi, panowie Woroniecki i Machalica z Czechowic i inni. Ci ludzie umieli się szybko dostosować do warunków - znali doskonale język angielski, w swoim zawodzie reprezentowali wysoki poziom i odpowiednio dobrze zarabiali. Z małymi wyjątkami nie zamierzali wracać, nawet już do wolnej Polski po roku 89.

Ciekawe spotkanie miałem z panią Krystyną Machalica. Poznałem ją w 60 lub 61 r. Pracowałem wtedy w Goczałkowicach i często bywałem w odległych o 7 km Czechowicach. Pani Krysia, sprzedawczyni w sklepie z lampami, żyrandolami itp., blondynka podobna do dobrego anioła, taką pozostała przez dalsze 30 lat. Miała teraz dwóch dorosłych, zdolnych synów, piękny dom, trzy nowe wozy osobowe i jeden półciężarowy. Urządzała party dla co najmniej 3040 osób. Na przyjęciu Świąt Wielkanocnych poznałem u niej inną ciekawą osobę, dzięki której odbyłem piękną wędrowkę samochodem przez całą Kalifornię, część Oregonu i Nevady. Pani Anna Wade kończyła w tym dniu 60 lat i przyjmowała z tego powodu wiele życzeń. Była żoną amerykańskiego sierżanta, którego poznała we Francji. Tam bowiem się urodziła z polskich rodziców, emigrantów z Podlasia. Opowiadała mi o swej rodzinie Gąsiorowskich. Ojciec był postawnym i odważnym mężczyzną, pracował jako karbowy w jakimś dworze. Pani Anna znała doskonale francuski i angielski, natomiast po polsku mówiła całkiem zrozumiale, ale gwara chłopską, której nauczyli ją rodzice. Zwracała się do mnie w ten sposób: "A Wojtek wi? Moja matula to ogromnie lubieli kwaśne mliko ze źmiokami". Gwara ta zupełnie nie pasowała do tej światowej osoby. Miałem dla tej kobiety ogromny szacunek. W czasie naszej prawie dwutygodniowej podróży opowiadała mi po angielsku bardzo ciekawe rzeczy z historii Francji, o Ludwiku XIV i XV. Jej mąż, Jimmy, mógł zaimponować wielu globtroterom. Znał 49 stanów USA - przypadek sprawił, że ominął Kolorado. Był w Australii, Polinezji, Japonii, Chinach, planuje wyjazd do wschodniej Europy i byłego Sovietunion. W czasie jego służby w armii USA pani Anna musiała 28 razy zmieniać miejsce zamieszkania. Wychowała jedną córkę, doczekała się wnuka. Mieli ładny dom w Sacramento, jednak Jimmy wolał spędzać cały rok w wozie campingowym, do którego nas zaprosili. Były w tym wozie cztery miejsca sypialne, łazienka z tuszem, dobrze zaopatrzona lodówka, kuchnia gazowa, oświetlenie z akumulatora lub podłączało się do gościnnych domów. Wielu Amerykanów w wieku emerytalnym podróżuje tak całe lata. Niektórzy nie mają już domów, tylko jeżdżą gdzie chcą - w lecie zwiedzają chłodniejsze stany, a zimą wybierają Florydę czy Kalifornię. Widziałem nad Pacyfikiem olbrzymie wozy campingowe, na 10 i więcej osób, wyposażone w luksusowe łazienki, sypialnie

itp. W czasie wędrówki przez Oregon i Kalifornię często jadaliliśmy w tzw. turystycznych restauracjach. Obiad kosztuje przeciętnie 7 dolarów, stół zastawiony wieloma potrawami - jest prawie wszystko: zakąski, sałatki, ryby, grzyby, desery, kompoty, różne zupy. Każdy wybiera sobie, co chce, i może dowolnie powtarzać. Podziwiałem Jimmego. Ważył 130 kilogramów i potrafił zjeść za trzech.

Jimmy znał wiele ciekawostek ze świata zwierząt, opowiadał jak najlepszy wykładowca. Kalifornia jest wyjątkowo pięknym i bogatym stanem, ma olbrzymie uprawy winogron. Oglądaliśmy winnice z gigantycznymi zbiornikami win, których wiele gatunków można w takiej winnicy kosztować gratis. Z zasady później zawsze się kupi parę butelek. Wybrzeże nad Pacyfikiem ma ogromnie urozmaiconą linię brzegową, przyływy sięgają w wielu miejscach ponad 2 metry. W tej podróży Jimmy odwiedzał swych licznych krewnych, jeden z nich miał 103 lata. Mieszkał w prywatnym pensjonacie. Pensjonariusze płacili tam dość wysokie koszty utrzymania: ponad 700 dolarów miesięcznie plus dodatek za uciążliwe pilnowanie ludzi chorych umysłowo lub kalekich. Właścicielem tego pensjonatu był murzyn urodzony w Belize, dumny ze swego pochodzenia. W USA, a szczególnie w Kalifornii, jest olbrzymia mieszanina narodowości. Raz w Oregonie zajechaliśmy na nocleg do leśnika. Miał obszerny, pięknie położony dom pod lasem. Z pochodzenia był Portugalczykiem, jego żona Francuzką. Jimmy był jedynym rdzennym Amerykaninem w tym towarzystwie. Moja żona reprezentowała Niemcy, ja - Polskę, Anna - z pochodzenia Polka - miała obywatelstwo najpierw francuskie, potem USA. Rozmawialiśmy po angielsku, ale często Anna i gospodyni przechodziły na francuski i mogliśmy podziwiać szybkość ich wypowiedzi. Zjedliśmy nowoczesne śniadanie składające się wyłącznie z owoców. Jimmy nie był tym zachwycony, ale ja nie czułem głodu przez cztery godziny. Oregon ma górzyste trasy, w zimie bardzo niebezpieczne z powodu oblodzenia. Jak wielkie są sekwoje w Parku Narodowym w Kalifornii, ukazują liczne fotografie - samochody normalnie przejeżdżają przez bramę wyciętą w starym drzewie. Widziałem przekrój drzewa - ponad 4 tysiące lat i cała niemal historia naszej cywilizacji jest w nim zaznaczona. Sklepy i małe muzea znajdują się w wydrążonym drzewie.

Jednym z najpiękniej usytuowanych jest jezioro Tahoe na granicy Kalifornii i Nevady. Niedaleko był kręcony film znany i z naszej telewizji. Jako pamiątka po filmie pozostało rancho spełniające rolę małego muzeum. Objazd jeziora dostarcza niezapomnianych wrażeń. W słońcu pięknie srebrzą się ośnieżone góry, poniżej zieleń lasów, a w dole granatowe wody bardzo głębokiego jeziora. Są pewne odcinki trasy, gdzie droga prowadzi stosunkowo wąskim pasem - ma szerokość dwóch samochodów, a ok. 800-metrowa przepaść roztacza się po obu stronach jadącego. Widok bardzo piękny, ale i groźny.

Ciepły klimat Kalifornii przyciąga rencistów. Liczyłem dni słoneczne. Styczeń, luty, kwiecień i maj miały po więcej niż dwadzieścia dni pogodnych, marzec natomiast był deszczowy, ale i tak słońce świeciło przez trzynaście dni. W styczniu jest ok. 25 stopni Celsjusza w dzień, w nocy ok. 10. Dwa tygodnie spędzone w wozie campingowym były trochę męczące, ale będę je zawsze mile wspominać.

W Sacramento poznałem wybitnego wioślarza z Krakowa, pana Romualda Tomasa. Był przed wojną uczniem Rogera Vereya, naszego sławnego olimpijczyka z roku 1936. Pan Tomas wyjechał z Polski ok. roku 1960, kilka lat mieszkał w Afryce, a potem osiadł w Kalifornii. Wiosłu pozostał wierny całe życie. Wiele nagród i medali zdobi jego gabinet. Wielokrotny zwycięzca jedynek ostatnio zwyciężył w zawodach, w których uczestniczyli najlepsi seniorzy z całego świata. Zawsze aktywny trenuje i szkoli wioślarską młodzież mimo swych 69 lat.

Jak uczynni i przyjaźnie nastawieni są niektórzy nasi rodacy, przekonałem się, gdy moja żona miała kłopoty ze wzrokiem i musiała być dokładnie przebadana. Małżonka pana Tomasa, okulistka pracująca w dużej przychodni lekarskiej, postarała się o gratisowe przebadanie oczu mojej żony przez najlepszych specjalistów, niby dlatego, że moja żona też jest lekarką. Jak kosztowne jest badanie i leczenie w USA, przekonałem się osobiście. W dniu 11 stycznia dostałem w nocy ataku kamieni nerkowych. Zdarzyło się to pierwszy raz i nie wiedziałem, co robić. O spaniu czy leżeniu nie było mowy. Wezwane pogotowie przyjechało natychmiast. Zabrano mnie do szpitala i tam w ciągu trzech godzin dokładnie przebadano - stwierdzono przejście kamienia nerkowego. Otrzymałem zastrzyk i tabletki, ból minął zupełnie. Po kilku dniach przyszedł rachunek wynoszący 2700 dolarów. Byłem ubezpieczony, więc firma ubezpieczeniowa zapłaciła.

Krótsze wycieczki turystyczne

Oskar Ernst to nazwisko kierowcy autobusu turystycznego "Studious", z którym odbyliśmy dwie podróże do Koblencji, doliny Renu i Mozeli w roku 1994 oraz do Włoch, Toskanii, na Elbę w roku 1996. Rzadko spotyka się ludzi z takim poczuciem humoru, a był przy tym znakomitym kierowcą. Po całodziennej, uciążliwej podróży, dotarliśmy do północnego Tyrolu na nocleg w niewielkim miasteczku. Ciasno zabudowane stare uliczki, duży nowoczesny bus - dojazd do hotelu wymagał niebywałej precyzji. Każdy zakręt to nowa przeszkoda. Wyszliśmy z wozu i obserwowaliśmy: Zmieści się, czy nie? Przechodnie zatrzymują się i coraz więcej widzów z zaciekawieniem przygląda się, jak kierowca dosłownie na centymetry manipuluje wozem między budynkami - raz w jedną, raz w drugą stronę. Trwało to kilkanaście minut. Ulotniło się z emocji nasze zmęczenie. Oskar zmęczony,

ale zadowolony ustawił wreszcie bus na hotelowym parkingu. Gdy wyszedł, zobaczył liczną, ponad 200 osobową widownię. Wtedy zapytał z rozbijającą miną: "Ludzie! Co, nigdy nie widzieliście autobusu?" Został nagrodzony burzą długotrwałych oklasków. Był też inny dojazd do tego hotelu, drogą okrężną, ale o tym powiedziano nam następnego dnia. Oskar był człowiekiem pogodnym, wysokim, przystojnym blondynem, każdemu życzliwy, o niebywałym poczuciu humoru, stwarzał ciepłą, wesołą atmosferę podczas długich podróży. Bardziej pasowałoby do niego nazwisko Lustig (wesoły) niż Ernst (powaga). Szkoda, że był palaczem.

Wycieczki autobusowe, dwutygodniowe lub 10-dniowe, stwarzają okazję do wzajemnego poznania się. Jako zwykle najstarszy w nielicznym gronie męskim podziwiałem wielokrotnie sprawność i hart ducha turystek ode mnie starszych, np. zwiedzamy Florencję, ok. 400C, wiele zabytków, ale również wśród nas są zabytkowe postacie powyżej 76 lat. Obwieszane często zabytkowym złotem noszą telefony komórkowe lub radia. Moja sąsiadka dzielnie chodzi z laską, ale musi odpoczywać. Przysiadamy podczas zwiedzania kościółka. Opowiada mi, że przeszła poważną operację, ma trzy sztuczne stawy w kolanach i biodrze. Przypominam sobie, że również w Norwegii przy podejściu na ośnieżony 1800-metrowy szczyt lepsze były ode mnie dwie panie o dwa lata starsze.

Rodos

Do ciekawszych wysp greckich należy zapewne Rodos, którą odwiedziłem w maju 1998 roku. Ciepły klimat (270 słonecznych dni w roku) przyciąga licznych turystów. Co rok spędza tu urlopy ok. 400 tys. gości, głównie Niemców, Anglików i mieszkańców chłodnej Skandynawii. Wyspę o 1400 km², 78 km długości, 38 km szerokości zamieszkuje ok. 110 tys. tubylców. Ok. 2000 turystów rocznie zostaje tu na stałe, głównie kobiety przyciągnięte towarzyskimi walorami i męską urodą Greków. Pewien procent przedsiębiorczych handlowców szuka jednak większych możliwości w zachodniej Europie.

Historia Rodos sięga do roku ok. 3000 przed Chr., kiedy pojawili się tam pierwsi osiedleńcy. Z lat 1000-500 znane już były trzy wioski: Lindos, Kamiros i Laksos. W roku 490 wyspę zdobyli Persowie, w 408 założono stołeczne miasto Rodos, od roku 164 przed Chr. panowali tu Rzymianie. Po roku 395 naszej ery, po podziale Imperium Rzymskiego, wyspę zdobywali kilkakrotnie Persowie i Saraceni. W latach 1309-1522 władał tu zakon rycerski joannitów, następnie niemal przez 400 lat panowała tu władza turecka, aż do 1912, gdy Włosi pokonali Turków pod Psinthos. Od roku 1943 przez dwa lata wyspę okupowali hitlerowcy, Anglicy przejęli ją w 45, a w roku 1947 przyznano Rodos Grecji.

Znany jest każdemu siódmy cud antycznego świata, kolos z Rodos. Miał 33 m wysokości, odlany został z brązu w latach 294-282 przed Chr. przez Charesa z Lindos. Uległ zniszczeniu podczas trzęsienia ziemi w roku 226 przed Chr. (inne źródła podają, że autorem kolosa był Karitos).

Szczególnie ciekawe są zabytkowe stadiony, ruiny murów obronnych oraz resztki akropolów w prawie każdym mieście. W miasteczku Lindos do zamku położonym na niewysokim szczycie jest zorganizowany przejazd na osiołkach - ok. 200 takich osiodłanych wierzchowców czeka na zarobienie 1000 drachm (wartość 5 DM). Droga na szczyt to kilkaset metrów, wszędzie sklepy, restauracje i rozłożone najrozmaitsze dobra na sprzedaż. Turystów nie brakuje, wielojęzyczny tłum daje zarobić dobrze zorganizowanym handlowo Grekom. Taxi na Rodos są trzykrotnie tańsze niż w BRD, również jadłodajnie oferują raczej dobre i tanie jedzenie. Drogo kosztuje wynajem auta (80-100 DM), motoru (30 DM) czy roweru (6 DM) dziennie. Przy zwiedzaniu kościołów panie w kostiumach kąpielowych ubierają przygotowane okrycia i spódnice, których wiele leży w przedsionku. Jest tu zwyczaj ustawiania kapliczek przy drogach, na miejscach śmiertelnych wypadków. Kapliczki są murowane, większe, mniejsze lub zwykłe małe skrzynki blaszane z krzyżem, a w środku świeca i jakieś kwiaty. Przed każdą taką kapliczką pobożni kierowcy żegnają się, co może też sprzyjać tak licznym wypadkom.

Rodos jest znana widzom kinowym jako miejsce nakręcenia filmu Działa Nawarony. Główni aktorzy, Anthony Quinn i Gregory Peck do dzisiaj ozdabiają swymi podobiznami liczne pracownie ulicznych malarzy.

* * *

Nauka i wykształcenie w rodzinie

Z ustnych przekazów wiadomo nam było, że nasz pradziad ze strony ojca, Piotr, był lekarzem - znany z portretu i gęsiego pióra. Nie wiem, czy i jakie studia kończył dziad Teodor, był jednak dobrym właścicielem i gospodarzem majątku Brzezina i folwarku Sierżawy. To dzięki jego możliwościom finansowym ojciec mój, Waclaw, i stryj Włodzimierz studiowali Sorbonę i Petersburg. Waclaw ukończył studia technologiczne, miał dyplom inżyniera chemika, nie pracował jednak w tym zawodzie. Włodzimierz był krótko docentem nauk przyrodniczych Uniwersytetu Lwowskiego. Przed swą przedwczesną śmiercią (umarł mając 30 lat) zdążył opublikować w 1916 r. pracę naukową o rozmnażaniu się jamochłonów (czytałem ją, jest w zbiorach PAN w Krakowie).

Z mego rodzeństwa najmłodsza Marysia uzyskała tytuł doktora nauk technicznych na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Praca jej o

specjalnej stali do budowy czołgów miała jakieś znaczenie dla przemysłu zbrojeniowego PRL i Sovietunion. Marysia podczas studiów na Akademii pomagała mniej zdolnym koleżankom w naukach ścisłych. Bywały wypadki, że nawet zdawała w ich zastępstwie egzaminy z matematyki czy fizyki. Obecnie ze swym mężem inżynierem, Jackiem Łempickim, twórczo pracuje od 12 lat nad publikacją o świętych wizerunkach Maryi w kościołach, kościółkach i kaplicach w Polsce. Siostra Ewa studiowała na pierwszym roku SGGW w Warszawie, ale wybuch wojny 1939 uniemożliwił dalszą naukę. Brat Włodek ukończył liceum techniczne w Radomiu. W roku 1943 ukończyliśmy, brat Włodek i ja, Szkołę Rolniczą w Czernichowie. W latach 1946-48 studiowałem na Akademii Handlowej w Szczecinie, której nie ukończyłem i razem z żoną Anną przesiedliłem się do Krakowa.

Od 1959, po ukończeniu kursów połowów elektrycznych, byłem pracownikiem naukowo-technicznym w PAN. Wspecjalizowałem się w tej dziedzinie. Badania naszego Zakładu Biologii Wód PAN w Krakowie obejmowały Polskę Południową, a również Czechosłowację. Pracowałem raczej w dobrym zdrowiu do emerytury w roku 1982.

Syn Tomek ukończył wydział geografii na Uniwersytecie Jagiellońskim, a córka Monika Technikum Hotelarskie w Krakowie. Syn pracował w swym zawodzie kilka lat, córka kilka miesięcy przed wyjściem za mąż.

* * *

Konie w moim życiu

O niektórych koniach już pisałem wcześniej, ale ponieważ były one pasją mego życia, więc i szkic specjalny o tych pięknych zwierzętach.

► Pierwsze zapamiętane to gniade cugowe. Furmanem w latach 1925-28 był Jankiewicz. Nasza mama jeździła w damskim siodle na ładnej, małej karogniadej klaczy. Pierwszy raz widziałem właśnie u tej klaczy bliźnięta, które się niestety nie wychowały. Według relacji mego starszego brata, Włodka, był u nas do roku 1927 kucyk, na którego wsadzano mnie jako dziecko. Rządca, głuchy Eligiusz Krełowski jeździł na burym, niewielkim koniu, zwanym Wierzchowcem (długie lata potem woził on mleko do Starachowic z Drobiakiem, właściwie Janem Gliwą).

► W roku 1928, gdy wożono kamień na budowę nowej obory, rządca pozwolił mi przejechać się - wtedy wydarzył się opisany już wypadek z długotrwałym omdleniem.

▶ W roku 1930 z moim bratem i Pietrkiem Kaliszem urządziliśmy pierwsze wyścigi na koniach Kwiatek, Koza i Kara.

▶ W roku 1933 od "wujka" Bielińskiego zostały kupione dwie klacze dereszowate i bardzo potem zasłużoną, siwą, wysokiej klasy półkrwi Baśkę, która dała kilka dobrych źrebiąt: Witosą, Walusię i Szronka. Baśka długo była klaczą wierzchową, a potem wszechstronnie użyteczną - łagodna, poczciwa i zawsze o znakomitej kondycji. Gniady Witos był koniem, na którym we wrześniu 1939 udałem się w podróż na wschód uciekając przed Niemcami. Okulał i po 30 kilometrach został zawrócony do domu. Styczność z końmi miałem w 39 roku w czasie pracy jako chłopiec do pomocy przy koniach u Mariana Fabrycego, majora opiekującego się stadniną koni z Kozienic. Prowadził on 72 młode (trzyletnie) ogiery zakładu treningowego i 8 ogierów czołowych. Były wśród nich najlepsze: Bafur, Villars, King Idler. Ja miałem pod bezpośrednią opieką ogiera o imieniu Mer.

▶ W roku 1940 drogą wymiany przybył do nas Kłaniacz z 15 KOP, dobrze ujeżdżony wojskowy wierzchowiec. Służył wiernie naszemu stukilogramowemu administratorowi, Witoldowi Wróblewskiemu. Nauczyłem się na nim brać przeszkody. Był wtedy u nas kary ogier bez rasy, miernej wartości wierzchowiec. Dwie klacze z Tranken, kasztanka i kara Mery, krótko służyły pod siodłem.

▶ W roku 1942 jako praktykant w Garbaczu u pani K. Jagińskiej używałem pod siodłem złośliwego ogiera arabskiego, Irtysza. Siwy, "przy stojny" koń miał dziwny nawyk - potrafił złapać zębami za nogę jeźdźcy i ściągnąć go z siebie. Ostrzegano mnie przed tym, ale dwukrotnie omal mu się to nie udało. Mimo dobrych butów palce u nóg miałem boleśnie pokąsane. Ogier miał powody, aby być złośliwy. Zaburzenia w życiu seksualnym czyniły go okresowo niezdolnym, a potem miewał nadmiar niewykorzystanej energii. Dlatego też do wielkiego wyczynu sportowego używa się głównie wałachów. Poza sportem i treningiem nie mają te konie innych naturalnych, niezaspokojonych potrzeb. W Garbaczu poznałem wtedy inż. Jaglarza z Krakowa. W wiele lat potem, w 1984 roku, jeździłem u jego syna, kierownika stadniny w Udorzu, na znakomitym gniadym Erosie.

▶ W roku 1943 we Wronowie, w czasie mojej pierwszej pracy zarządzającego, jeździłem na Kaunitzu, ogierze trakeńskim. Bandyci zrabowali mi wtedy siodło.

▶ W roku 1944 (luty-lipiec) praca w Pławowicach w dobrach hrabiego Ludwika Hieronima Morstina. Siwy Ofir i Malaga, dobre, ale małe konie

arabskie. Hussein od sąsiada i cugowy kasztan były wtedy końmi, których dosiadałem. Na tym kasztanie w czasie partyzantki miałem upadek - o czym wspominałem - z silnym omdleniem. W sierpniu 1944 w Sansygnio-
wie jako kurier u "Tysiąca" jeździłem na masywnej kasztance o imieniu Wierna.

▶ Od kwietnia 1945 praca w Racocie i jazda na wielu znakomitych wierzchowcach: Analfabet, Seitensprung, Olga, Boronin, Wenera i inne.

▶ W roku 1959 udział w filmie Krzyżacy - główna szarża na kasztanie Aniołek.

▶ W roku 1977 w czasie podróży do Danii w klubie konnym korzystałem z długiej jazdy na dużej kasztance.

▶ W roku 1982 i 84 uprawiałem na kilku koniach wielokrotnie sport konny w klubach KKJK u A. Gołdy i w prywatnym klubie w Nowej Hucie.

▶ W roku 1984 wyjazd do Udorza, do Marka Jaglarza. Znakomity, dobrze ujeżdżony, gniady Eros i inne dwa czy trzy konie, na których jeździłem razem ze Stanisławem Deskurem z Sancygniowa [bratem A.M. Deskura, kardynała w Watykanie i powiernika papieża].

▶ Belou w DDR w roku 1989. Kilkakrotne jazdy na ładnej kasztance i ryzykowna galopada z przeszkodami w lesie pod kierownictwem Uwe Ritter na karej szybkiej Marion.

▶ Sacramento 1991. Zaznajomienie się z sąsiadką i jej końmi, kasztanem Streider i siwym Epo - upamiętniające zdjęcie na tle widnokręgu dalekiej Nevady.

Ciekawe obserwacje przeprowadziłem na koniach sportowych. Najbardziej spokojne, można powiedzieć "najlepiej wychowane" i ułożone, to konie niemieckie i angielskie, więcej, wszystkie konie z Zachodu. Dużo gorzej jest z końmi byłych demo-ludów. Brakuje im w wielu wypadkach oglądy. Wiąże się to z kulturą obsługi i pielęgnacji. W 1959 przy nakręcaniu "Krzyżaków" przyłapałem rekruta, który kopał w brzuch konia przy podciąganiu poprzęgu. Twierdził, że gdy tego nie robi, to koń się nadyma. Tak się złożyło, że ten kopany ładny kasztan z foremną łysiną został po kilku dniach moim wierzchowcem. Miał łatwo fruujący zad - czynił to we własnej obronie, był jakby ciągle przestraszony i ostrożny. Przyniosłem mu cukier i zacząłem traktować niezwykle delikatnie, nie używając ani ostróg

ani żadnego narzędzia kary. Nie były potrzebne, a koń stawał się z każdym dniem łagodniejszy, reagował na normalną łydkę i wodze, uniknęło z jego oka zastraszenie i niepokój.

Sport w moim życiu

Sport odgrywał w moim życiu ważną rolę, a w pewnych okresach może najważniejszą. W 1945 roku jako zootechnik w PSK Racot pod fachowym okiem koniuszego i wachmistrza 15 pułku ułanów, Ludwika Stawińskiego, trenowałem jazdę przeszkodową. Warunki mieliśmy bardzo dobre, stosunkowo duży wybór koni, fachowe przygotowane tory przeszkód. Po pół roku intensywnego treningu pan Ludwik powiedział: "Panie Wojtku, jesteś pan nawet dobry, ale na wyczynowego jeźdźca jesteś pan za duży i za ciężki" (180 cm, 75 kg). Niewątpliwie miał rację. Drobniejsi jeźdźcy osiągalni lepsze wyniki niż ja. Pewnego dnia pan Ludwik zaproponował mi jazdę na świeżo pozyskanym ogierze z Sierakowa. Był to ładny kasztan o trochę beczkowatym ożebrowaniu. Nosił niemiecką nazwę Seitensprung. Nie skojarzyłem sobie od razu tej nazwy z jego usposobieniem. Otóż prawidłowo "najechany", przed przeszkodą robił klasyczny unik ustawiając się bokiem. W takiej sytuacji jeździec zwykle fruwał nad przeszkodą, a Seitensprung spokojnie galopował do stajni. Nie mnie jednemu to się przydarzyło.

W dwa lata później na Akademii Handlowej w Szczecinie grałem w siatkówkę, w pierwszej reprezentacyjnej szóstce AZS wystąpiłem jednak tylko kilka razy. Słyszałem wtedy: "Wojtek, ty jesteś za mały, ty musisz mieć wyskok przy zbiegu do 100 cm", a ja miałem ok. 80-cio centymetrowy. Kilka lat później czytałem, jak reprezentant Resovii, Zbigniew Jasiukiewicz, grał w Pradze w Hali Zbrojówki. Na parkiecie był najmniejszy (180 cm) i widownia początkowo z niego pokpiwała, ale gdy piłka uderzona przez niego przy zbiegu odbiła się od parkietu i dotknęła sufitu, dostał olbrzymie brawa i owacje, bo publika w tej sali jeszcze czegoś takiego nie widziała.

W latach 60-tych byłem już starym "wodniakiem". Pracowałem od lat w ZBW w Goczałkowicach, miałem pozwolenie na prowadzenie łodzi motorowych, byłem ratownikiem pływackim, nienajgorszym kajakerem i skifistą. W czasie rejsu na jeziorach w Giżycku koledzy chcieli zrobić mi chrzest wylewając na mnie, leżącego na ławeczce, wiadro wody. Udawałem, że śpię. Usłyszałem ich skradanie się - udaremniłem im wielce zdumionym dokonanie wodnego śmigusa.

Trzy dyscypliny sportowe uprawiałem wiele lat, oczywiście jako amator: pływanie, biegi i rower. W młodości biegałem najchętniej 100 i 200 m.

W różnych zawodach szkolnych i akademickich byłem pożytecznym zawodnikiem. Do biegów powyżej 10 km przekonał mnie ceniony redaktor TV, Jerzy Hopfer. Jego propagowanie biegów maratońskich zrobiła wiele dobrego dla tysięcy amatorów biegania. Długo ćwiczyłem, aby wytrzymać godzinę w biegu i więcej. Serce musi być fachowo kontrolowane, bowiem po ukończeniu 50 lat biegacze mają przykre niespodzianki. Biegałem regularnie 2 razy w tygodniu przez cały rok.

Wspomnę o trzech faktach, które wydarzyły mi się, gdy ukończyłem 60 lat. Moja "słabość" czy próżność została w jakiś sposób usatysfakcjonowana. Raz było to w okolicy Chrzanowa, gdy do przystanku autobusowego dzieliło nas ok. 500 m. Widać było z daleka nadjeżdżający autobus, mieliśmy szansę do niego dobiec. Ruszyło nas chyba pięciu, trasa była prostopadła do szosy, przy której był przystanek. W połowie, tj. mniej więcej po 300 m biegu, moi młodszy, ok. 40-letni przypadkowi towarzysze, gdy ich wyprzedzałem, zawołali: "Panie starszy, zatrzymaj pan autobus". Dobiegłem do ruszającego wozu i poprosiłem kierowcę, aby zaczekał. Po prawie dwóch minutach zziębnięci, zasapani, nieco już brzuchaci panowie doszli do przystanku.

Drugi fakt. Byłem w marcu 1981 roku na wczasach w Otmuchowie. W tzw. Zamku towarzystwo było usportowione. Raz jeden, mocno zbudowany młody człowiek, zrobił zakład, że weźmie dwie nasze towarzyszki pod pachy i wniesie je na strome półpiętro zamkowych schodów. Zakład wygrał. Rozbudził tym moją ambicję. Nosilem w ten sposób moją żonę, spróbowałem więc też z tymi dwiema paniami - zrobiłem to samo co on. Zważyliśmy później obydwie: pani Ewa ważyła 46 kilogramów, a pani Janka 48. Obydwie pracowały jako modelki Telimeny w Łodzi, były szczupłe i raczej wysokie (Janka miała 170 cm), rozłożenie więc ich ciężaru było prawie idealne. Przypomniało mi się wtedy to, co oglądałem jako 6-letni chłopiec w mych rodzinnych stronach. W tych latach czynne jeszcze były wiatraki. Jeden z nich stał na wzgórzu ok. 1 km od naszego domu. Chodziliśmy tam często. Widziałem jak żona młynarza brała pod pachę worek ziarna i marszerowała po prymitywnych schodach wiatraka na górę. Worek ze zbożem waży ok. 50 kg i jest bardzo niewygodny do dźwigania w ten sposób.

Na wczasach w Otmuchowie biegałem również regularnie. Raz spotkałem 7-osobową grupę dziewcząt biegnącą z trenerem. Były to zawodniczki z miejscowego klubu i szkoły. Pobiegłem za nimi. Marcowy dzień był wyjątkowo piękny, powietrze czyste. Biegło mi się świetnie. Może po 40-tu minutach usłyszałem jak mówią do siebie: "Na dziś mam dosyć", potem głos trenera: "Panienki, nie wstyd wam, za wami biegnie jakiś staruszek." Po kilkunastu minutach panny usiadły na trawie, a ja pobiegłem dalej. Nie miały ciągłego treningu w zimie i odpowiedniej kondycji.

Przypomnę jeszcze bieg Dookoła Lasku Wolskiego, o którym już wspomniałem, i w którym uczestniczyłem jako najstarszy 61-letni zawodnik. U nas otrzymuje się w nagrodę pamiątkową plakietkę, inaczej jest na Zachodzie. Tam zwykle są dewizowe nagrody do 1000 \$. Z trzech moich ulubionych konkurencji: pływania, biegu i jazdy na rowerze, utworzono obecnie trójbój zwany "trójbojem dla mocnych".

Syn mój Tomek (ur. 1949) jako ośmiolatek wygrał geograficzny Quiz dla dorosłych i otrzymał w nagrodę pudło czekoladek. Będąc żołnierzem z cenzusem wygrywał konkursy literackie i inne - dostawał za to nagrody w postaci książek lub kilku dni urlopu. Pomagał pisać zadanie maturalne dla żony dowódcy. Jako student geografii na turnusie w Górach Świętokrzyskich obronił przed chuliganem koleżankę (nic o tym nie mówił). Żona była ogromnie zadowolona, gdy syn zdobył na zawodach lekkoatletycznych, organizowanych przez jej zakład pracy, chyba pięć razy pierwsze miejsce (skok w dal, bieg na 100 i 200 m oraz w pływaniu i jakieś drugie). Był dobrym płetwonurkiem. Jako 16-latek prowadził auto. Do dziś uprawia siatkówkę i chętnie chodzi w góry.

Córka Monika (ur. 1951) na szkolnych zawodach pływackich była zwykle w czołówce. Również w biegach na krótkich dystansach druga za koleżanką Wandą P. Zdobywając złoty czepek pływacki Monika okazała się lepszą pływaczką niż jej wszechstronnie wysportowany mąż, Boguś.

Wszechstronnie wysportowany będzie też zapewne syn Moniki, Michał (ur. 1977). Od dwulatka uprawia pływanie, obecnie narty, dzudo, ciężary i inne nowoczesne dyscypliny sportowe. Jako dwulatek popisywał się skokami startowymi na pływalni. Wielokrotnie to czynił, aż pływalnia opustoszała, bowiem wszyscy podziwiali małego, który znakomicie nurkował i łatwo przepływał połowę basenu. Żona była do łez wzruszona, gdy później liczni widzowie przychodzili pytając, gdzie ten maluch tak nauczył się pływać. „W Pakistanie, gdzie rodzice mieli basen do dyspozycji”.

Mój brat, Włodek, należał w gimnazjum do najlepszych matematyków i najsilniejszych uczniów. Siła ta przydawała się nieraz w obronie mnie, młodszego brata, przed agresją starszych kolegów. Synowie jego, Wacek, Piotr i Wojtek, również odznaczyli się siłą i zdolnościami motorycznymi, np. podczas mityngu sportowego dorównywali w biegach i rzutach zawodowym lekkoatletom.

Siostra Ewa całe życie odznaczała się szczupłą sportową sylwetką, potrafiła pokonać w kometkę mego usportowionego syna, Tomka, a była już wtedy chyba babcią. W młodości dobrze strzelała do kaczek. Do wybitnych brydżystów należał jej mąż, Julek Treutler. Jego uczniowie osiągnęli dobre

wyniki w międzynarodowych zawodach brydża sportowego. W czasie podróży na Zachód wygrywał nawet poważne kwoty w dewizach. Był on dowcipny i lubiany w towarzystwie.

Palenie papierosów

Palenie tytoniu i gra w karty należały w latach mej młodości do dobrego tonu. Kto nie grał w brydża i nie palił, uważany był za dziwaka. Nie wiadano wtedy, jak szkodliwa jest dla zdrowia nikotyna. Było wiele reklam gloryfikujących palenie, np. wierszyki w kalendarzach z lat 30-tych "HERBEWO", które z siostrą Marysią możemy i dziś zarecytować:

12 wierszyków na cześć tutek i bibulek "Herbewo"

Pałą, gdy jest polowanie, tak panowie, jak i panie. (styczeń)

Gdy po tańcu gwarno w sali, papierosa każdy pali. (luty)

Zimno jeszcze, choć już marzec, pali syn i ojciec-starzec.

W kwietniu zwykle jest święcone - z papierosem lżej trawione.

Ciepły maj, wieczorna rosa - rozkosz palić papierosa.

W czerwcu leci pod niebiosa lotnik paląc papierosa.

Żniwiarz, kiedy spocznie kosa, kręci sobie papierosa. (sierpień)

Na manewrach wprost z zapalem pali wojsko z generałem. (wrzesień)

(siostra Marysia pamięta październik i listopad)

Ot, choinka, darów stosy, a dla starszych papierosa. (grudzień)

Jak wspomniałem, ojciec nasz był namiętym palaczem i została po nim ładna, czarna skórzana papierośnica ze srebrnym monogramem, która przyczyniła się do tego, że i ja przez jakiś czas paliłem, ale nigdy nie byłem nałogowcem, nigdy nie czułem tzw. głodu nikotynowego. Powodem był brak uświadomienia i przykład starszych, którzy w jakiś sposób imponują smarkaczom. W gimnazjum "Kostki", z małymi wyjątkami, palili księża, wychowawcy i nauczyciele. Dla uczniów klas maturalnych była specjalna palarnia, a młodsi Ćmili zazwyczaj w WC. Po roku 1945, gdy napływały do nas paczki UNRRA, otrzymywaliśmy po cztery papierosy w każdej paczce - były to dobre, wonne papierosy, a przy tym gratisowe. W roku 1948 na uczelni w Szczecinie tylko nieliczni nie byli palaczami. Palącą również była moja żona, a później w pracy ogromna większość. Gdy pełniłem obowiązki pływackiego ratownika, ograniczyłem palenie do minimum, wiedziałem bowiem, że przy nurkowaniu palacze mieli o wiele gorsze wyniki. Całkowicie rzuciłem palenie w roku 1959 za przykładem pewnego jeźdźca

z filmu "Krzyżacy", który mimo 67 lat imponował kondycją, wytrzymałością i niebywałą witalnością (wspomniałem już o tym wiarusie armii Budionnego).

W tym czasie ukazywały się już liczne publikacje o szkodliwości palenia. Bardzo mnie to interesowało, bo żona moja miała początki astmy. W jakiś czas potem zostałem aktywnym członkiem Towarzystwa Antynikotynowego, którego wiceprezes, dr R. Mazurkiewicz, publikował znakomite artykuły potępiające palaczy jako szkodników społecznych, zatruwających dymem swoje otoczenie w miejscach pracy, zaśmiecających petami ulice, dworce i parki. Udowadniał np. że mieszkanie palaczy musi być częściej malowane, bo dym wszędzie osiada. Podawał naukowo udowodnione fakty, ilu palaczy wcześniej umiera. Powiedzenie: "Dla palaczy kar nawał: rak, astma i zawał." Stało się namacalnie udowodnione. Z Zachodu przychodziły wieści o zakazie palenia w pociągach, autobusach czy samolotach. Czytaliśmy o wygranych procesach, gdy wieloletni niepalący stracił zdrowie, bowiem pracował w zadymionych pomieszczeniach. Przynosiłem do domu te prasowe dokumenty i dzieci moje nie wzięły papierosa do ust. Niestety, moja żona miała astmę dziedziczną po dziadku, a palenie i częste przeziębienia sprzyjały rozwojowi choroby, która zabrała ją w roku 1985 - ukończyła 64 lata.

W rok potem spotkałem niemiecką lekarkę, Margrit Meissner, niepalącą, ale chorą na cukrzycę, która w roku 1988 została moją drugą żoną. Mimo że 18 lat później urodzona niż ja, potrzebuje mojej opieki i pomocy przy szokach cukrzycowych, które są ogromnie niebezpieczne dla samotnych cukrzyków. Wiele razy, gdy traci przytomność, ratują ją tylko natychmiast zastosowane zastrzyki.

Na Zachodzie ludzie chętnie powtarzają, że lepiej być zdrowym i bogatym, niż chorym i biednym - po 75 latach mogę śmiało orzec, że każdy może swoje zdrowie w jakiś sposób poprawić przez racjonalne uprawianie sportu, dietę i higieniczne życie. Dotyczy to również sfery ducha, jak starożytni mówili: "In corpore sano sanus animus" (W zdrowym ciele zdrowy duch). Każdy jest kowalem swego losu. Dość banałów.

I trochę luźniej. Rok 1992. Cieszy mnie, gdy moja żona Margrit szuka swoich okularów i prosi, aby je znaleźć. Gdy po chwili przynoszę jej, pyta mnie, jak to robię, że tak szybko znajduję. Wyjaśniam jej, że to moje potężne powonienie umożliwia mi znalezienie przedmiotu przepojonego jej zapachem. Wącha okulary i twierdzi, że nie czuje. Trochę wierzy moim słowom, jak przystało panience, wychowanej w posłuszeństwie wobec starszych panów.

Gdzie jest moja ojczyzna?

Do roku 1945 była nią niewątpliwie Polska. Biorąc udział w akcjach AK wydawało mi się, że moja działalność może przyczynić się do odzyskania wolnej Polski. W roku 44 widziało się wiele różnych orientacji u leśnych dowódców. Brzoza II, który zginął wraz z całą swoją grupą pod Skalbmierzem był komunizującym. Zginął w walce o Polskę - jaka ona ma być, nie wiedział, podobnie jak innych tysiące młodych ludzi. Byli w lesie, to było ważne, to była wielka przygoda po czterech latach marazmu, niewoli i patrzenia, jak Niemcy niszczyli żydów i wysyłali kogo chcieli do obozów koncentracyjnych.

Politykę Sovietunion ujrzeli wszyscy w czasie powstania w Warszawie. Stalin patrzył jak giną Polacy, a Niemcy niszczą naszą stolicę. Od tej chwili straciłem wiarę w cel dalszej walki. Siły ze Wschodu na terenie Polski były dominujące. To, co działo się między rokiem 1945 a 1989, znamy niedokładnie, panował fałsz i gigantyczna obłuda. Jeszcze długo będziemy się dowiadywać o tajemnicach KGB czy UB. Wiadomo np. co działo się po wejściu Armii Czerwonej do Chojnic. Uznali Chojnice za miasto poniemieckie i wiele kobiet zostało zgwałconych, część młodych dziewcząt miało do końca psychiczny uraz.

Od roku 45 nurtowała mnie myśl opuszczenia kraju, w którym komuniści przejęli władzę. Każdy niekomunistyczny kraj mógłby wtedy być moją nową ojczyzną. Myślałem o Szwecji, Danii, Finlandii. Dopiero w roku 1988, w trzy lata po śmierci mej żony Anny, zdecydowałem się opuścić rodzinny kraj, który był dla mnie złą macochą. Obiecywał wiele, a pozbawił wszystkiego, również wiary i nadziei. Patrzyłem na wynaradawianie się Ślązaków i wszystkich tych, którzy mieli jakiegokolwiek powiązania rodzinne z Niemcami. Rządy komunistów doprowadziły przez ok. 30 lat do wynaradowienia ponad 2 milionów Polaków na ziemiach zachodnich Pomorza i na Mazurach. Dla kogo PRL była ojczyzną? Nawet partyjni nie mówili o miłości ojczyzny, tylko o Leninie i ideach marksizmu. Mieli egoistyczne cele. Obłęd kultu Stalina ośmieszał i doprowadzał do całkowitego cynizmu. Kto wierzył, że psychopata i kat, morderca milionów, jest Porankiem naszej wspólnej ojczyzny - jak go malował Gierasimow, a my musieliśmy wieśzać te malunki w zakładach pracy?

W roku 90 przysłuchiwałem się we Francji ciekawej rozmowie ok. 80letnich seniorów: Francuz-dziennikarz, Polak-pisarz i najciekawiej mówiący żyd-lekarz-literat z Polski, który po roku 45 poczuł się "obywatelem świata". Twierdził, że gdzie się człowiek urodził, to przypadek. O wszystkich decyduje najbliższe otoczenie, religia, wykształcenie. Potępiał każdy nacjonalizm, a najbardziej niemiecki i polski, bo znał je z najgorszej strony.

O komunistach nie chciał mówić - uważał ich za nieuleczalnie chorych, jak umysłowo trędowatych. Słusznie przypuszczał, że dni komuny są policzone. Katolików uważali za mniej tolerancyjnych od protestantów. Zgadzałem się co do tego, że każda religia w jakiś sposób ogranicza wolność myśli ludzkiej. Przypomniałem sobie, jak to w r. 43 Maria Ośniałowska, matka poety Mariana, na moje zdziwienie, że tak przyjaźnie rozmawia z oficerami niemieckimi, odrzekła: "Dla mnie każdy człowiek indywidualnie jest dobry, dopóki nie przekonam się o jego podłości.

Narodowość, rasa itp. nie odgrywa żadnej roli, podobnie jak religia".

Od roku 1988 mieszkam w Niemczech. Pierwsze dwa lata spędziłem w byłym DDR, a raczej w licznych podróżach po Europie zachodniej. Moja obecna żona, Margrit, jest niemiecką lekarką. Straciła swój względnie zamożny dom w Królewcu. Jako dziecko została przesiedlona do DDR, przeszła ciężkie okresy, dopóki nie ukończyła studiów i nie rozpoczęła pracy zawodowej. Do zjednoczenia Niemiec czuła się jak półwięzień, choć miała względny dobrobyt. Do 45 roku swego życia była samotna. Swoją rodzinę mieszkającą w RFN mogła pierwszy raz odwiedzić dopiero, gdy została rencistką w r. 1986. Wszyscy, oprócz prominentów, którzy musieli 45 lat przeżyć pod rządami komunistów, czują się pokrzywdzeni i upokorzeni warunkami, jakie stwarzał realny socjalizm.

Zanik kultury współżycia w Polsce zaczął się w roku 45, gdy prymitywni ludzie doszli do tzw. władzy, a później panowało i rozpowszechniało się pospolite chamstwo i brak jakiegokolwiek szacunku dla siebie i otoczenia. Jeżeli ordynarne przekleństwo słyszy się w Polsce na każdym kroku, to jest to zasługą rządów chamów. Do roku 45 zjawisko było rzadkością. Ludzie starali się podciągać w każdej dziedzinie. Obecnie pogadanki na ten temat wprowadza polskie radio (październik 91). Po ostatnich demokratycznych wyborach sytuacja staje się tak zawikłana, że nie wiadomo, kto będzie rządził. Smutne, ale Polacy znowu nie zdali egzaminu.

W czasie dość długiej podróży pociągiem z Paryża do Kolonii przysłuchiwałem się rozmowie dwóch Niemców. Poważni, ok. 60-letni panowie, obaj ekonomiści, jeden był katolikiem, drugi protestantem. Tematem wymiany ich poglądów była kolonizacja na świecie dokonana przez Europejczyków. Porównywali bardzo dokładnie i wnikliwie rozwój gospodarczy społeczeństw skolonizowanych przez katolików i protestantów. Jak wiadomo, obecnie najbardziej zorganizowane i zamożne kraje to USA, Kanada, Australia i Nowa Zelandia, skolonizowane głównie przez protestantów, natomiast Ameryka Południowa i Środkowa, gdzie panuje język hiszpański i portugalski, były kolonizowane przez katolików. Sytuacja w tych krajach jest często tragicznie zła, politycznie i gospodarczo. Trudno winić za ten stan rzeczy gorliwych katolików, którzy często modlą się o pomoc i łaskę boską, a mniej pracują. Protestanci mają od dziecka wpojone:

"Wszystko, co robisz, wykonuj jak najlepiej, jak najdokładniej." Nie oglądają się na pomoc boską, a kościoły są zwykle puste, natomiast wyniki ekonomiczne są widoczne. Rozmawiali później o światowych finansach. Orzekli na podstawie aktualnej statystyki, że największym bogactwem dysponuje Japonia, w 20-tce największych banków na świecie 16 to banki japońskie, na 7 miejscu jest Bank Francuski, na 9 Deutsche Bank we Frankfurcie, i jeszcze dalej dwa banki francuskie. Ciekawe, że olbrzymi amerykański kapitał rozlokowany jest w dużej ilości banków, a największy z nich znajduje się ze swym potencjałem dopiero na 27 pozycji, poniżej banków japońskich i niemieckich. Na pozycji 29 jest Bank Szwajcarski, na 35 Bank Londyński, Włoski na 36 i trochę niżej dwa inne włoskie, w Turynie i Mediolanie.

Z zainteresowaniem obejrzałem tę światową statystykę. Jak w tym towarzystwie wyglądają kapitały Sovietunion i innych postkomunistycznych państw, lepiej nie wspominać. Przez 74 lata w Rosji i 45 lat w Polsce fikcja gospodarki realnego socjalizmu robiła z ludzi niewolników i nędzarzy w imię świetlanej przyszłości. Dzisiaj widzimy i odczuwamy jej skutki. Jak mogła ta obłądana ideologia poparta zbrodnią i fałszem trafić komuś do przekonania? Olbrzymia część partyjnych prominentów tylko żerowała na społeczeństwie dla osobistych korzyści, co ujawnia się teraz wyraźnie w całym obozie postkomunistycznym.

Spółeczeństwo komunistyczne to społeczeństwo "kastratów", pozbawione przedsiębiorczości, prywatnej inicjatywy, twórczej iskry działania i zdobywania. W Rosji trzy pokolenia, a w naszych demo-ludach dwa, były odzwyczajone od samodzielnego, normalnego życia.

Ciekawą charakterystykę Cyrankiewicza z r. 1939 przytacza Jan Nowak, a właściwie Zdzisław Jeziorański, w książce Kurier z Warszawy. Świetnie napisane wspomnienia. Cyrankiewicza spotkał w czasie, gdy obaj pojmani przez Niemców i transportowani pociągiem do Niemiec uciekli w Łagiewnikach pod Krakowem. Cyrankiewicz krytykował wtedy rząd polski i uważał, że klęska wrześniowa nie zaistniałaby, gdybyśmy stawili czoła Niemcom razem ze ZSRR. Po 17 września 39 r. poznaliśmy prawdziwe oblicze Stalina. Później Cyrankiewicz sam chętnie podróżował mercedesem w czasie premierowania, miał on też własny kodeks drogowy. Błędy te i wypaczenia trwały przez 45 lat.

Mnie one od systemu odrzuciły.

Komunistyczne rządy nie potrafiły zapewnić obywatelom nawet regularnego zaopatrzenia w papier toaletowy, proszki do prania, artykuły higieny dla kobiet. Nie chcę nawet wspominać, jak długo stało się za chlebem, mlekiem czy innymi artykułami codziennego użytku. Sprawa mięsa po 40 latach organizacji komunistycznej wyglądała gorzej niż w czasie wojny 40-45, a obiecywali prześcignąć produkcję kapitalistów Zachodu.

Chruszczow powtarzał to wielokrotnie w latach 60-tych. Komunistyczni promineneci mieli wszystko, przydzielali sobie na ten cel dewizy, talony na samochody, wykupywali złoto za państwowe pieniądze. Piotr Jaroszewicz przywłaszczył sobie ileś milionów marek niemieckich, które były przeznaczone dla poszkodowanych więźniów obozów koncentracyjnych - do roku 92 ta sprawa nie została wyjaśniona. Potrafili zaś zapełniać więzienia niewinnymi, wydawać wyroki śmierci na zasłużonych dla Polski (Pilecki, Tatar i tysiące innych). Tacy prokuratorzy jak Zarakowski, Różański, wydawali wyroki lekką ręką, a typy z NKWD, np. Bierut, podpisywali je bez mrugnięcia powieką. Fałsz i oszustwo pleniło się. Dziwne, że Gierkowi pożyczano na Zachodzie tak wielkie sumy, marnowane potem przez złą politykę i gigantyzm niczym umotywowany.

Przez 45 lat bytowania w PRL walczyłem o zdobycie środków pierwszej potrzeby, jakie takie ubrania i jedzenie. Ileż razy bywałem głodny i chodziłem w dziurawych butach, nawet wstyd powiedzieć. Opuszczałem PRL i mogłem zaśpiewać według znanej piosenki Osieckiej: "Teraz dla mnie devolaje, i Paryże, i Szangchaje."

Gdy w październiku 1988 roku przesiedliłem się do ówczesnej DDR, moja siostra Ewa, która potrafiła pisać piękne i ciekawe listy, przysłała mi list o sześciu numerowanych stronicach. Ku memu zdziwieniu brakowało stron 3 i 4. Wtedy trudno było o połączenie telefoniczne z PRL, więc postanowiłem czekać - może omyłkowo nie umieściła w kopercie tych dwóch stron. Sprawa następnego dnia się wyjaśniła, gdy znalazłem brakującą część listu, bez koperty, w skrzynce pocztowej z dopiskiem "Meissner". "Stasi" w DDR otwierali i kontrolowali wszystkie listy osób podejrzanych, do których i ja należałem jako pochodzący z Polski. Mój obecny przyjaciel, Lothar Sachse, ex-major DDR, człowiek o nieprzeciętnej fantazji i inteligencji (doktor praw), potomek Augusta Mocnego (wszyscy nieślubni potomkowie króla mieli prawo nosić nazwisko Sachse, a było ich ponad 380) przyznał mi się po 8 latach przyjaźni, że on wiedział o tym, iż każdy mój krok był śledzony, również gdy przez miesiąc 89 r. przebywałem we Francji. Na udowodnienie tego podał, jakie ogłoszenie dawałem do gazety, wiedział on, co robiłem i gdzie mieszkalem podczas mego pobytu w USA, chociaż było to już w roku 90. Wywiad "Stasi" jeszcze działał. Uważano mnie w Goldberg za milionera z uwagi na moje liczne i długie podróże po świecie.

Wybrali wolność

Nie wrócił z Francji po roku 45 Tadeusz Łada, jego brat Jurek wyemigrował do Kanady. Dzieci Marysi Łempickiej od 80 roku we Francji, syn Włodka Wietrzykowskiego, Marek, od roku 88 w Niemczech, syn Jurka

Targowskiego we Francji, syn Wojtka Targowskiego w Australii. Krysia Janicka-Platerowa w Kanadzie, syn Lali Janeckiej w Australii. Córki doktora Z. Capińskiego w Holandii, córki Klimczyk-Wilmańskiej w Belgii i Holandii, Fromowie w Kanadzie. "Motylarz" z PAN w BDR (zginął w wypadku samochodowym), Dwidka Czarnek w Wiedniu, Rayscy w Irlandii od stanu wojennego, synowie Danuty Kalińskiej w USA. Kilka z tysięcznych przykładów wśród znajomych. Tysiące ładnych Polek emigruje przez małżeństwa z cudzoziemcami.

Jak wygląda statystyka emigrantów z PRL? Do Niemiec prawie 2, 5 miliona w ramach łączenia rodzin, a inni do USA, Kanady, Australii i na zachód Europy. Najlepsza i najzdolniejsza część społeczeństwa wybiera emigrację. W ciągu 45 lat istnienia PRL - można przypuszczać - ok. 7-8 milionów wybrało wolność.

Ostatnia fala emigracji "Solidarności" po roku 1981 nie kwapi się do powrotu, do rzekomo wolnej, ale bardzo biednej i źle rządzonej Polski.

Członkowie naszej rodziny, którzy zginęli na wojnie lub w warunkach stworzonych po 1945 przez PRL:

Antoni Jabłoński, ppłk 11 pułku ułanów - od kuli bolszewickiej w roku 1920;

Ksawery Zalewski, dyplomata w Tyflisie - otruty przez wywiad sowiecki w roku 1938;

Józef Jabłoński, oficer rezerwy - zamordowany w Katyniu w roku 1940;

Jerzy Zalewski, ppłk zawodowy kawalerii - zgładzony w Warszawie przez Gestapo w roku 1943;

Stanisław Egiejman (mąż Ireny Zalewskiej), ex-dyrektor gimnazjum J. Kochanowskiego w Radomiu - zamęczony przez UB w styczniu 1947 roku.

Aleksandra Wietrzykowska, matka moja - bezprawnie usunięta w 1945 r. z rodzinnego domu, co niewątpliwie przyczyniło się do jej przedwczesnej śmierci (w 56 roku życia) w lutym 1949 roku.

Na zakończenie pragnę wyjaśnić, dlaczego prawie całe życie byłem częściowym nieudacznikiem, dlaczego nasza najlepsza Mama w jakiś sposób bardziej dla mnie była troskliwa. Ona jedna wiedziała, że jako niemowlę upuściła mnie dziewczyna służebna na podłogę i miętka jeszcze potylicą uległa spłaszczeniu, co mogło spowodować pewien niedorozwój umysłowy. Znane było powiedzenie o ludziach ograniczonych: "On musiał upaść na głowę". Moja Mama była wyrozumiała na moje nienajlepsze postępy w nauce, byłem mniej zdolny od mej młodszej siostry, Marysi, która już jako kilkuletnie dziecko potrafiła mówić z pamięci bardzo długie bajki po dwukrotnym usłyszeniu. Ja musiałem ćwiczyć pamięć - dobrze służy mi ona do dziś. Pamiętam, jak koledzy nazywali mnie "Spłaszczona główka", co widoczne jest na wielu fotografiach. Rysownik E. Pławiński robiąc mi pamiątkowy szkic w roku 1959 uwidoczniał to wyraźnie.

Moja najbliższa rodzina

Pradziadkowie:

Piotr Wietrzykowski i Helena z d. Odrowąż Chlewicka

a. Dziadkowie ze strony ojca:

Teodor Wietrzykowski (1854 - 1923) i Henryka z domu Jabłońska (1864 - 1933)

b. Dziadkowie ze strony matki:

Józef Henryk Targowski (1849 - 1901) i Józefa z domu Bielińska (1861 - 1901)

Rodzice:

Wacław Wietrzykowski (1882 - 1927) i Aleksandra z domu Targowska (1892 - 1949)

Rodzeństwo:

Włodzimierz Wietrzykowski (1919), ożeniony z Anną Kruziel

Ewa Wietrzykowska (1919), po mężu Treutler

Maria Wietrzykowska (1925), po mężu Łempicka

i ja, Wojciech Wietrzykowski (1922), ożeniony po raz pierwszy z Anną Świercz, po raz drugi z Margrit Meissner, od której przejąłem nowe nazwisko.

Dzieci:

Tomasz Wietrzykowski (1949), ożeniony z Teresą Kozowoy

Monika Wietrzykowska (1951), po mężu Małecka

Wnuki:

Inga Wietrzykowska (1976)

Jan Wietrzykowski (1980)

Michał Małecki (1977)

Beata Małecka (1981)

Mateusz Małecki (1990)

Indeks nazw własnych

A

Alksandrowicz Stefan

Andrycz Nina

Arct dr

B

Balice

Balon Eugen

Baltimore

Bandrowski Władysław

Barcik

Barciński Florian

Barnaś Kazimierz

Barszczewska Elżbieta

Baszowice

Beck Józef

Berlin

Bero Marek

Bero Maria

Bębenek Dudek

Białka

Bieliński

Bierut

Bobulski Wojciech

Bodzentyń

Bojanowski Józef

Bojanowski Maciej

Boksyce

Boreusztajn

Boston Brandt

Brunarski Paweł

Brzesko Nowe

Brzezie

Brzeziński Zbigniew

Brzoza II
Brzozowska
Budionny
Budzyńscy
Budzyński Jan
Bukato Leon
Bukojemski
Bułanow Jerzy
Buszczyński
Bydgoszcz
Byszewski
Byszewski Roman
Byszewski Władysław
Bytom

C

Caban Jerzy dr
Capiński dr
Chares
Chełm
Chełmoński
Chocimów
Chojnice
Chrzanowski Andrzej
Chrzanów
Chwałki
Cichocki
Cikowski dr Ciszak dr Ciszewski S. Copi
Cupiał Witold Cybiński Antoni
Cymerska
Cyrankiewicz
Cywińska Irena
Czaplińska Izabela
Czechowice Czengiera
Czernichów
Czerwony Kloster
Czetwertyński
Czubak dr

D

Dembiński Tomasz
Deskur Andrzej (kardynał)
Deskur Józef
Deskur Stanisław
Dębiński
Dobrzański Henryk
Doroszewski Witold
Drobniak
Droste Jacek
Dulińscy

E

Edison
Egiejman Irena
Egiejman Janina
Egiejman Maria
Egiejman Stanisław
Egiejman Zofia
Eiffel
Erlich
Ernst Oskar

F

Fabrycy (generał)
Fabrycy Marian (major)
Farley
Fijas
Formański
From
From Bolesław
Frost Ala

G

Garbacz
Gąsiorowski
Gierasimow
Gierek
Gliwa Jan
Gliwice

Goczałkowice Goldberg Gołda A.

Gołoszyce

Gombrowicz

Gościcki Sławomir

Górski

Górski Józef

Góry Świętokrzyskie

Groblewski

Gromiec Stanisław

Gron Karol

Gryga Zenon

Gryżyna

Grzegorzowice

Grześ (furman)

Gumowski Wojciech

Gutek

Gutowa

H

Halleshave

Hamburg

Hamercheld

Hay Stanisław

Hebda

Hebdzyńska Zofia

Hempel

Hemplowa-Platerowa

Hindenburg

Hlond (kardynał)

Hofmokl-Ostrowski

Hopfer Jerzy

Horoch

Horodyński

Hrobacek

I

Imiela Bogusław

Indianapolis

J

Jabłoński Andrzej
Jabłoński Antoni
Jabłoński Józef Jadowniki
Jaglarz inż.
Jaglarz Marek
Jaglińska
Janecka
Janecka Lala
Janecka-Platerowa Krystyny
Janecki Czesław (Cenio)
Janecki Franciszek
Janecki Jerzy
Janikowska Maria
Janikowski Stanisław
Jankiewicz
Jaroszewicz Piotr
Jaruzelski
Jasiukiewicz Stanisław
Jasiukiewicz Zbigniew
Jedliński
Jeleniów
Jeziorański Zdzisław
Jędzejów
Jojne

K

Kalenik Mieczysław Kalifornia Kalin P.
Kalinowski
Kalińska Danuta
Kalisz Pietrek
Kaludsborg
Kamińska-Rozmiarek Janina
Kamiński Piotr
Kanie
Kański Zdzisław
Karaszewicz Jerzy
Karbownicki
Karewicz Emil
Karitos

Kelly Grace
Kielce
Kieruczenko Bogumił
Kieruczenko Celestyna
Kieruczenko Eugeniusz
Kieruczenko Kazimierz
Kieruczenko Leopold Kieruczenko Marian
Kijów
Kiszkis Jerzy
Klar
Klimczak Władysław
Klimczyk-Wilmańska
Kloczkowski Witold (Vito)
Kłodzko 5
Kołder dr
Komornicka
Konarski
Kopenhaga
Kosicki Maciej
Kossak
Kościan
Kotkowski Franciszek (Tyło)
Kotkowski Ignacy
Kotlice
Kowalewski Krzysztof
Kowalski Stanisław
Kowalski Waław
Kozarzewski Zbigniew Kozienice Kraczkiewicz inż.
Krajewska Mirosława
Kraków
Krełowski Eligiusz
Kronenberg
Królewiec
Kruszewski Stanisław Krynicka
Kryształowicz Andrzej
Kuczyński
Kulikowski (Kuflikowski ?)
Kupisz Jan
Kurów
Kusociński

Kuźmiński Zbigniew
Kwarczyński

L - Ł

Langiewicz
Larsen Karen
Latała Paweł
Latawiec
Łądek Zdrój Leliwa-Roycewicz
Limanowa
Lindner Sławomir
Lindos
Londyn
Loranty Jan
Loranty Sewer
Lublin
Lubniewice Lupa P.
Lwów
Łagów
Łańcut
Łazariew
Łempicka Maria
Łempicki Jacek
Łomno
Łopuszna
Łódź

M

Machalica
Machalica Krystyna
Maciejowice
Malczewska
Małecka Monika
Małecki Bogusław
Małecki Mateusz
Małecki Michał
Małkiewicz Józefa
Małkiewicz Stanisław
Martyna Henryk
Mazurkiewicz

Mazurkiewicz Władysław
Mecklenburg
Michalski
Michalski Jan
Michalski Wojciech Michna Czesław Michniewicz por.
Międzyzdroje
Mikołajczyk
Mirogowo (=Mirogonowice)
Moczar
Monaco 8
Morstin Ludwik Hieronim Morstin Nina Mróz (kował)
Mulak dr
Musiewicz

N

Nabiałczyk Tadeusz
Nagorzyce
Nawrot Józef
Niemczyk (mgr)
Niemczyk Leon
Niepokojczycki Jerzy
Niuta (babcia)
Nonnie
Nosów
Nowa Słupia
Nowak Jan (Jeziorański)
Nowakowski
Nowicki Czesław
Nowogródek
Nowy Jork
Nudyże

O

Ochaby-Pruchna
Oczkoś
Okoński Piotr
Okorski Zbigniew
Olsztyn
Onacik Andrzej
Opatów

Orczyk
Oregon
Orłowski
Osochówna Halina
Ośniałowska Maria
Ośniałowski Marian
Oświęcim
Otmuchów

P
Panuszewski
Paryż
Parzęczewo Pasternak K.
Pawłów
Peck Gregory
Petersburg
Piątkiewicz
Pichelski Jerzy
Piechal Marian
Pietrzak Jan
Pietsch
Pilecki
Pinczów
Pinkas Jerzy
Pionki
Pisarek Marian Pławiński E. Pławowice
Pniewski Jerzy
Podzamcze
Pohoski inż.
Pokrzywnica
Pomianowski Gustaw
Poniński
Postawka Franciszek
Potocki
Poznań
Prawocheński
Prudnik
Przyborowski
Przybytniewska
Przygoda Stanisław 29

"Pszczółka"

Pszczyna

Pytkowski

R

Rachtan Rachwał

Racot

Radkowice

Radom

Rafalski Mieczysław

Rauszer

Rayscy

Reina

Reklewska Róża

Reklewski Wincenty

Ritter Uwe

Rodos

Rogowski Andrzej

Rokossowski

Romer

Rosol (Rosół) Edward

Rostworowski Emanuel

Rostworowski Hubert

Rozwadów

Rómmel Karol

Różański

Rubinsztein

Rumiek Anna dr

Rydz Śmigły

Rzepin

S

Sacramento

San Francisco

Sandomierz Sansygniów

Schuch Stanisław

Serwatowicz

Sieradowice

Sieraków

Sierzawy

Skalbmierz
Skalski Stanisław
Skarżysko
Skolimowski Skotnicki Skóra S.
Skrzypczyk Eugeniusz
Słupia Nowa
Słupia Stara
Sobolewscy Solewski dr
Sołtyk
Sołtys Hanka
Sołżynicyn
Sopot
Soszowice
Stalowa Wola
Staniszewska Grażyna
Starachowice
Starachowice-Wierzbnik
Styczeń Zdzisław
Suchecki Adam
Suchodolski
Suchowa Zofia
Surhów
Surma Władysław
Syracuse
Szachter Nusym
Szajewski Andrzej Szalawski Andrzej
Szczecin
Szczepański von
Szembek Stanisław
Szklarska Poręba
Sztejn bok
Sztokholm
Szulc Władysław Szwek Jan inż.
Szyfman Arnold
Śląski Michał
Śniatynie
Świercz Edward
Świercz Jan
Świercz Stanisław
Święty Krzyż

T

Tahoe
Tarczek
Targowska (stryjenka z Winiar)
Targowski Józef
Tarnów
Tatar
Todor
Tomas Romuald
Tomaszewski inż. Tomaszów
Treutler Ewa
Treutler Janka
Treutler Juliusz
Trofimowicz Bolesław
Trojanowski Wojciech

U

Uchorów
Udorze
Urbańska Zofia
Usarzów

V Vernet

Verney Roger
Vogel
Vogt 9
Voit Stanisław
Vouy de la

W

Wade Anna
Wade Jimmy
Walasiewicz
Wanic dr
Warszawa
Waśniowo
Waśniowo
Weber Stanisław
Wesołowski
Wesołowski Walenty

Wiedeń
Wielgus
Wielichowo
Wieliczka
Wieszczycka Maryla
Wietrzykowska Anna Wietrzykowska Ewa
Wietrzykowska Maria
Wietrzykowska Monika
Wietrzykowska Teodora
Wietrzykowska Zofia
Wietrzykowski Marek
Wietrzykowski Piotr
Wietrzykowski Teodor
Wietrzykowski Tomasz
Wietrzykowski Waclaw
Wietrzykowski Włodzimierz
Wietrzykowski Wojciech
Wilno
Wiltowska Hanka
Wiltowski Janusz
Winiary
Wojtasiewicz Zdzisław
Wojtyła Karol
Wolanowski Lucjan
Wolański Stanisław
Wolman Ala
Wolmanowa Maryla
Wolny Stanisław
Wołoszowski Stanisław Wołowski Jacek
Worona
Woronecki
Woronecki
Woyciechowska Zofia
Woyciechowski Maciej
Woyciechowski Stanisław
Woyciechowski Włodzimierz
Woźniak Waclaw
Woźnial (furman)
Wójcik Jan
Wronów

Wroński Hubert
Wróbel
Wróblewski Witold
Wysocki Stanisław
Wyszecki Grzegorz

Z
Zakopane
Zakrzewski 1
Zalewska Leokadia
Zalewski Jerzy
Zalewski Ksawery
Zamojska
Zarakowski
Zgierz
Zin
Zofipol

Ż
Żebrak
Żeromski
Żmuda